

Czesław Miłosz

Zniewolony Umysł

ZNIEWOLONY UMYSŁ JAKO PARABOLA

“Zniewolony umysł” należy do dzieł szczególnie narażonych na zniekształcający odbiór. Dzieje się tak za sprawą świata przedstawionego w tym utworze, którego większość składników możemy odnieść wprost do konkretnej, niezawołowanej rzeczywistości. Czytelnikowi “Zniewolonego umysłu” żadnych kłopotów nie nastrecza umiejscowienie jego bohaterów w czasie i przestrzeni. Pojawiają się nazwy geograficzne: Europa Środkowa i Wschodnia, Polska, Warszawa, Kraków... Informację o czasie niosą wyrażenia typu: “przed drugą wojną światową”, “wybuchła wojna - nasz kraj stał się częścią imperium Hitlera” czy też: “był maj 1945”. W trakcie lektury odnajdujemy takie elementy opisywanej rzeczywistości, jak: “obóz koncentracyjny w Oświęcimiu”, “okrzyk Heil Hitler”, “Armia Czerwona”, “oddziały SS”, “Biuro Filmu Polskiego” itp., itd.

Tło i sensy polityczne “Zniewolonego umysłu” przesłoniły większości czytelników tej książki zawarte w niej sensy etyczne - najistotniejsze być może dla zrozumienia utworu Miłosza, a zapowiadane już przecież w tytule książki. Interpretatorzy “Zniewolonego umysłu”, biorący udział w kampanii mającej na celu zniesławienie i zdyskredytowanie intelektualne pisarza, który zdecydował się na pozostanie na Zachodzie, robili wszystko, aby jego książka istniała w świadomości społecznej przede wszystkim jako fakt polityczny. W tej perspektywie “Zniewolony umysł” był przede wszystkim dziełem antykomunisty i hipokryty. Nie zamierzamy polemizować tutaj z tymi żalonymi i historycznymi dziś interpretacjami. Bowiem nie o polityczne sensy dzieła Miłosza nam tu chodzi: przyjrzyjmy się możliwości lektury “Zniewolonego umysłu” skrajnie odmiennej od na ogół praktykowanych.

Znany francuski socjolog literatury, Robert Escarpit, za jedno z kryteriów dzieła literackiego uznał “podatność na zdradę”, czyli “zdolność stania się dzieła w każdym momencie jego historii czym innym niż tym, czym było, oczywiście w innym momencie”. Najpodatniejsze na zdradę wydają się utwory o charakterze parabolicznym. Istnieją jednak dzieła, których paraboliczność uwydatniona zostaje dopiero w wyniku owej zdrady. Do nich właśnie zaliczyć możemy “Zniewolony umysł”. Przypomnijmy na dowód powyższych słów wspomnienie Czesława Miłosza z festiwalu poetyckiego w Rotterdamie. W rozmowie z Ewą Czarnecką tak oto opowiada on o spotkaniu z pewnym indonezyjskim poetą: “I kiedy dowiedział się, jak się nazywam, to aż przysiadł: - Pan nie wie, że pan jest naszym bohaterem narodowym? - Jak to? - mówię. - Bo pana «Zniewolony umysł» to myśmy przetłumaczyli i rozpowszechnili. I to jest nasza główna broń w walce z obecnym rządem. - To ja mówię: - Przecież wasz rząd jest prawicowy. - On na to: - No tak,

ale co to ma za znaczenie - tak samo jest totalitarny. Pan napisał książkę przeciw absolutyzmowi władzy. Ta książka jest ewangelią naszych intelektualistów, którzy walczą z rządem”¹. Miłosz w innym miejscu tej samej rozmowy powie jeszcze: “Polska była tylko materiałem przykładowym. Ale w moim zamierzeniu chodziło o pokazanie fenomenu światowego, nie lokalnego, polskiego. Polska to tylko egzemplifikuje.” Wg Karla Jaspersa “Zniewolony umysł” jest “dziełem nie tyle politycznym, co moralnym, podyktowanym przez głos sumienia w imię obrony podstawowych wartości”. Witold Gombrowicz napisze wręcz, że “analiza sprawy komunizmu nie jest tym, co najciekawsze w «Zniewolonym umyśle»”. Za kluczową jego ideę uzna on udokumentowanie tezy, że “człowiek może zrobić wszystko z drugim człowiekiem”.

Tak więc odbiór książki Miłosza w świecie niekomunistycznym uwalnia ją z regionalnych uwarunkowań. “Zniewolony umysł” zaczyna znaczyć nie przez wschodnioeuropejski konkret, który wykorzystuje, ale przez jego “moralistyczne i filozoficzne uogólnienie”, a to przecież jedna z cech charakterystycznych paraboli.

Narazając się na zarzut przykładania zbyt dużej wagi do rzeczy drobnych przypomnijmy, że przypowieść w “Zniewolonym umyśle” rozpoczyna się już od motta. Przytoczone przez Miłosza słowa Starego Żyda z Podkarpacia wyrażają najogólniej mówiąc bunt wobec myślenia totalitarnego. Owe “sto procent” czyjejs racji, tak bezwzględnie potępiane przez autora motta, poddaje Miłosz wnikliwej obserwacji i analizie w dalszej części książki. O istocie “Zniewolonego umysłu” nie decyduje, jak by chcieli tego niektórzy, atak na komunistyczne rządy w Europie Wschodniej, lecz ważny dla każdego człowieka, niezależnie od momentu historycznego, w jakim się on znajdzie, drobiazgowy wręcz opis tego, jak “z głębi autentycznej tęsknoty do jedności wyrasta pokusa kapitulacji, która stanowi klucz do zrozumienia myślenia totalitarnego. Pokusa, by zakończyć wreszcie nie kończącą się udrękę i ściągnąć niebo na ziemię, załatwić sobie pewność, teraz, zaraz; wprowadzić pewność już teraz i tutaj, nawet za cenę przemocy. Pokusa, by przeprowadzić przedwczesną syntezę prawdy - jak mówi Paul Ricoeur. Gest zrozumiały, tak ludzki, w swych skutkach przecież zgubny.”²

Miłosz głównym przedmiotem swoich rozważań czyni ludzki umysł. Penetruje zatem wnętrza człowieka, i to w dodatku postawionego wobec konieczności wyboru drogi życiowej. Opisywane przez Miłosza wybory nie podlegają jednoznacznej ocenie, jak by sugerować to mogło dosłowne odczytanie tytułu interesującej nas książki. Zasadnym wydaje się potraktowanie pojęcia “zniewolony umysł” jako szeroko rozumianej alegorii, która spełniając rolę naczelnego elementu konstrukcyjnego porządkuje świat przedstawiony utworu. Przy jej to pomocy może zostać

¹ Ewa Czarnecka: “Podróżny świata. Rozmowy z Czesławem Miłoszem”, Nowy Jork 1983.

² Por. Fidelius: “O myśleniu totalitarnym”, “Aneks” 35 (1984).

przekazana myśl moralna przypowieści Miłosza. "Zniewolony umysł" nie jest tworem statycznym. Miłosz nie ukazuje nam bowiem stanu, lecz skomplikowany proces, w trakcie którego, podobnie jak w średniowiecznej psychomachii, Cnota i Występek walczą o duszę ludzką. Aby nam to przedstawić, Miłosz sięga po literackie środki wyrazu.

Trzy pierwsze rozdziały książki ilustrują walkę o tytułowy Umysł na trzech jej głównych arenach. Należą do nich: Prawda, Szlachetność i Miłość. Nowa Wiara musi pozyskać jednostkę na wszystkich wymienionych płaszczyznach - jedynie to ją zadowoli. Staje jednak bezradna przed Umysłem., w którym Prawda pokonuje Fałsz, Szlachetność zwycięża nad Nikczemnością, a Miłość jest silniejsza od Nienawiści bądź odwrotnie. Nowa Wiara decyduje się w takiej sytuacji na kompromis. Nie dysponując możliwościami ingerencji w konflikt, jaki się toczy pomiędzy siłami działającymi wewnątrz człowieka, zadowala się ona zewnętrznymi oznakami jej przyjęcia. Zewnętrzne również, bo pochodzące spoza istoty ludzkiej, są siły, którym poddaje się godzący się na kompromis Umysł. Miłosz przedstawia je w formie alegorycznych obrazów: Murti-Binga, Metody i Ketmana.

"Rozdźwięk między wiedzą a uczynkami", "rozdwojenie woli", "poczucie grzechu", postępowanie w myśl zasady: "widzę i uznaję Dobro, ale idę za Ziem" - wszystko to zrodziło literaturę alegoryczną. Te same niemalże przyczyny legły przecież u źródeł powstania "Zniewolonego umysłu". A Miłosz, tak jak i jego poprzednicy borykający się z podobnymi problemami, posłużył się alegorią. Wprawdzie "pigułki Murti-Binga" przenoszące światopogląd drogą organiczną wymyślił Stanisław Ignacy Witkiewicz, ale sens alegoryczny zyskały one dopiero w dziele Miłosza. Murti-Bing w "Zniewolonym umyśle" to w rzeczy samej uosobiona abstrakcja, której nie można zrozumieć skupiając się wyłącznie na jej znaczeniu literalnym. Murti-Bing nie służy bowiem Miłoszowi do nazwania konkretnego przedmiotu. Murti-Bing jest trzeciąsiłą podsuwaną przez Nową Wiarę - Umysłowi, w którym Prawda zмага się z Fałszem. Miłosz dramatyzuje opis doświadczeń psychicznych, opowiadając dosłowną niemalże historię zażywania pigułek zawierających światopogląd. Tak jak to bywa w przypowieści, autor "Zniewolonego umysłu" odwołuje się wprawdzie do "doświadczenia znajomego" odbiorcy, następnie zaś uświadamia mu podobieństwo tego, co znane, z tym, co jest przedstawiane w opowieści. Prawidłowe odczytanie opowiadanej przez siebie historii zapewnia Miłosz krótkim zreferowaniem "Nienasycenia" Witkiewicza. Odbiorcy "Zniewolonego umysłu" znana jest również, poza wynalazkiem mongolskiego filozofa, codzienna sytuacja przyjmowania środków farmakologicznych oraz osiąganych dzięki nim efektów. Miłosz, opowiadając o adaptacji intelektualistów do nowych warunków społecznych, aby ułatwić zrozumienie istoty wewnętrznej przemiany dokonującej się wbrew naturze człowieka, ukazuje podobieństwo tej sytuacji do

doświadczeń “znajomych” odbiorcy. Takie posłużenie się jednym doświadczeniem w celu “rzucenia światła” na drugie jest zabiegiem charakterystycznym dla przypowieści. Podobnie zresztą jak i alegoryczna bitwa między upostaciowanymi cechami charakteru. I tak na przykład prawdziwa, realnie istniejąca, otaczająca bohaterów “Zniewolonego umysłu” pustka metafizyczna zostaje pokonana przez „jeden system, jeden język pojęć”, czyli przez siły Fałszu, bo przecież “taki, co mówi, że ma sto procent racji, to paskudny gwałtownik, straszny rabuśnik, największy łajdak”.

Jednostka, dążąc do wpisania się w nową rzeczywistość społeczną i polityczną, ulega pokusie przyjęcia Murti-Binga, rezygnuje z głoszenia Prawdy pomimo jej dostrzegania. Ale to tylko pierwszy etap. Następnym jest głoszenie Fałszu: “pacjent zasiada i pisze artykuł pozytywny i dziwi się sam sobie, że idzie mu tak łatwo”. Tym sposobem stalinowska Nowa Wiara doprowadza w istocie do zwycięstwa Fałszu, którego wiernym sojusznikiem w walce przeciwko Prawdzie okazuje się Murti-Bing. Jednostce pozostaje jedynie “spokojny smutek kogoś, kto wie, że kłamie i lituje się nad ludźmi pozbawionymi pełnej świadomości”. Murti-Bing to pierwsza alegoria schizofrenii, jaką spotykamy na kartach “Zniewolonego umysłu”. Drugą jest Metoda włączająca się do walki między Szlachetnością a Nikczemnością. Jednostka zdaje sobie sprawę z tego, że szlachetny człowiek nie wstydzi się swoich myśli, lecz Nikczemność podszeptuje, że w obecnej sytuacji “argumenty rozsądnych ludzi” nikogo nie są w stanie poruszyć. Tu pojawia się Metoda - jedyny uprawomocniony sposób mówienia. Jej alternatywą jest “zamilknięcie” i dlatego też Metoda zwycięża w większości przypadków. Triumf Metody jest równoznaczny z wygraną Nikczemności, bo jak inaczej nazwać “udowadnianie tego, co w danej chwili jest potrzebne władcom”.

Pojęcie Metody stworzone przez Miłosza dalekie jest od naukowej precyzji. Na kartach “Zniewolonego umysłu” jest ona bytem samodzielnym, posiadającym swoiste cechy, charakter, a także zdolność do niezależnego działania. Metoda jest zatem “tajemnicza”, “elastyczna”, “nikt jej dobrze nie rozumie”, „Jest jak wąż”, “ma czarodziejską moc”, lecz i “liczne słabe strony”, można jednak “czuć się przez nią sterroryzowanym”, “być w jej węzowym uścisku”, ulegać jej “naciskom”, należy ostrożnie podchodzić do “rozprawy z Metodą”, a nawet liczyć się z jej “triumfem”, bo przecież “korzysta z odkryć Marksa i Engelsa”.

Metoda opisana przez Miłosza jest czymś pośrednim między słownikową metodą, rozumianą jako sposób postępowania, zespół czynności i środków użytych dla osiągnięcia celu, metodologią, czyli znawstwem metod badań, budowy systemów naukowych, wyrażania i utrwalania osiągnięć nauki, oraz metodą, określającą szczegółowe normy postępowania pozwalające na osiągnięcie wyznaczonego celu. Do tego wszystkiego należy jeszcze dodać coś spoza definicji, to znaczy osobowość.

Umysł ludzki po przyjęciu Murti-Binga i skazaniu się na Metodę znajduje się jak najbliżej totalnego zniewolenia. Z pomocą przychodzi mu wówczas Ketman - czyli technika kamuflażu - trzecia alegoria schizofrenii w "Zniewolonym umyśle". Ketman nie wspomaga jednak żadnej z walczących stron i tym różni się od poprzednio omówionych trzech sil. Zdaje się on spełniać rolę rozjemcy, który doprowadza skłóconych przeciwników do małżeństwa. Oto na przykład ten sam człowiek odczuwa pogardę dla Rosji, "a zarazem głośno manifestuje na każdym kroku swój podziw dla jej osiągnięć w różnych dziedzinach, nosi pod pachą pisma i książki rosyjskie, nuci rosyjskie piosenki". Pomocny zdezorientowanej jednostce Ketman, nakazujący jej "milczenie o swoich prawdziwych przekonaniach", obiecujący obronę własnych myśli i uczuć, prowadzi w istocie do ostatniego stadium zniewolenia Umysłu. Ketman okazuje się następną pułapką zastawioną przez Nową Wiarę na jej adeptów.

Opisane powyżej trzy uosobione abstrakcje, zezwalające nam na wpisanie "Zniewolonego umysłu" w tradycję literatury posługującej się alegorią, nie są jedynymi, jakie pojawiają się w początkowych rozdziałach książki. Nie zyskałyby one racji bytu, gdyby nie ta czwarta, której na imię Strach. On to głównie przyczynia się do kapitulacji intelektualistów i do ostatecznego przyjęcia Nowej Wiary, bo przecież nie skłania ich do tego autentyczne poddanie się determinizmowi Historii.

Działanie sił wykorzystywanych przez Nową Wiarę w staraniach o zniewolenie ludzkich umysłów pokazał Miłosz na przykładzie biografii czterech postaci: Alfya, Bety, Gammy i Deltę. Oczywiście bez trudu możemy rozszyfrować te pseudonimy, ułatwia nam to wspólna z autorem "Zniewolonego umysłu" tradycja narodowa i literacka. Działanie takie nie wydaje się jednak uzasadnione, chyba że dla poszukiwaczy sensacji. Sam Miłosz pisze, iż "dziejów pisarzy używa jako przykładu". A czyni tak dlatego, gdyż to pisarze właśnie "odnotowują zmiany zachodzące w sobie i w innych". W świetle tej wypowiedzi uznać możemy przedstawione w "Zniewolonym umyśle" postaci za typowe. Skłania nas do tego również fakt pozbawienia ich nazwisk. Mamy więc prawo, aby wnosić, że są one ważne jako przykłady pewnych ogólnoludzkich postaw wobec życia. Utwór, w którym spotykamy tak skonstruowanych bohaterów, bez wahania możemy zaliczyć do grupy dzieł parabolicznych.

Z pewnością nie wskazałem wszystkich cech pozwalających umieścić "Zniewolony umysł" w tradycji przypowieści. Wnikliwej analizie poddać by można na przykład warstwę leksykalną utworu. Pewna jej część wydaje się posiadać Kafkowsko-Orwellowski rodowód. Oto pojawia się odległe "Centrum", które "rządzi edyktami", opisywany kraj jest zaś prowincją jakiegoś "Imperium". Podobnie jak w "Roku 1984" pojawia się "Partia" pisana z dużej litery, miast "Policji

Myśli” mamy wprowadzić policję bezpieczeństwa, ale za to “On”, przywołany we fragmencie o “Ketmanie czystości rewolucyjnej”, kojarzy się nieco z osobą “Wielkiego Brata”.

To rzecz jasna tylko sygnały, których celem było jedynie zwrócenie uwagi na “Zniewolony umysł” jako na fakt natury literackiej. Za takim jego odczytaniem przemawiają argumenty pochodzące spoza tekstu, to znaczy zamiar autora, recepcja przez zaangażowanych politycznie czytelników z państw nie-komunistycznych, a także przez wybitnych intelektualistów, oraz argumenty, których dostarcza nam tekst: zastosowanie literackich środków wyrazu, w tym posłużenie się alegorią, możliwość moralistycznego i filozoficznego uogólnienia opisywanych zjawisk, przedstawienie postaci typowych, pozbawionych nazwisk, słownictwo poetyckie, nie naukowe.

Dzieło literackie potraktowane jako fakt polityczny zostaje odarte zarówno z wartości artystycznych, jak poznawczych. Tych pierwszych po prostu się nie dostrzega, te drugie zaś należy zwykle zanegować, i to najczęściej przed lekturą. W chwili obecnej, gdy książka Miłosa dociera po raz pierwszy do odbiorców nieuprzywilejowanych, otwiera się możliwość nawiązania do dawnych dyskusji i rozpoczęcia nowych. Mam jednak nadzieję, że “Zniewolony umysł” znajdzie czytelników, którzy potwierdzą słuszność przedstawionego tutaj modelu interpretacji.

DARIUSZ PAWELEC

Jeżeli dwóch kłóci się, a jeden ma rzetelnych 55 procent racji, to bardzo dobrze i nie ma się co szarpać. A kto ma 60 procent racji? To ślicznie, to wielkie szczęście i niech Panu Bogu dziękuje! A co by powiedzieć o 75 procent racji? Mądrzy ludzie powiadają, że to bardzo podejrzane. No, a co o 100 procent? Taki, co mówi, że ma 100 procent racji, to paskudny gwałtownik, straszny rabuśnik, największy łajdak.

STARY ŻYD Z PODKARPACIA

OD AUTORA

Jest mi trudno określić w kilku słowach charakter tej książki. Próbuję w niej przedstawić, jak pracuje myśl człowieka w demokracjach ludowych. Ponieważ przedmiotem moich obserwacji było środowisko pisarzy i artystów, jest to rodzaj studium przede wszystkim tej grupy, która w Warszawie czy Pradze, Budapeszcie czy Bukareszcie odgrywa ważną rolę.

Trudność polega na tym, że ludzie piszący o dzisiejszej Europie Środkowej i Wschodniej są to zwykle politycy opozycyjni, którym udało się wydostać za granicę - albo byli komuniści, którzy proklamują publicznie swoje rozczarowanie. Nie chciałbym, aby zaliczano mnie do jednych albo do drugich, bo to nie byłoby zgodne z prawdą. Należałem do najliczniejszej może kategorii tych, którzy z chwilą kiedy ich kraje stały się zależne od Moskwy, starają się okazywać posłuszeństwo i są używani przez nowe rządy. Stopień zaangażowania politycznego, jakiego się od nich żąda, zależy od indywidualnego wypadku. Co do mnie, me byłem nigdy członkiem partii komunistycznej, chociaż pracowałem w latach 1946-1950 jako dyplomata warszawskiego rządu.

Powstaje pytanie, dlaczego będąc daleki od ortodoksji godziłem się na to, aby być częścią administracyjnej i propagandowej maszyny, mogąc łatwo, z powodu pobytu na Zachodzie, zerwać swoje związki z systemem, którego cechy coraz wyraźniej ujawniały się w mojej ojczyźnie. Mam nadzieję, że przemiany zachodzące w moich przyjaciółach i kolegach, jakie poddaję analizie, choć w części odpowiedzą na to pytanie.

Przez te lata miałem uczucie człowieka, który może poruszać się dość swobodnie, ale wlecze za sobą wszędzie długi łańcuch przykuwający go do jednego miejsca. Ten łańcuch był częściowo zewnętrznej natury - również jednak i - co może ważniejsze - był we mnie samym. Zewnętrznej: wyobraźmy sobie uczonego, który ma swoje laboratorium w jednym z miast Europy Wschodniej i któremu na tym laboratorium zależy. Czyż łatwo byłoby mu wyrzec się go i czy nie godziłby się raczej płacić wysoką cenę, byle tylko nie stracić tego, co ma w jego życiu tak wielkie znaczenie? Tym laboratorium był dla mnie mój język rodzinny. Jako poeta tylko w moim kraju miałem moją publiczność i tylko tam mogłem publikować swoje utwory.

Łańcuch był również wewnętrzny: to są, obawiam się, sprawy mało nadające się do szkicowego ujęcia. Są ludzie, którzy dość dobrze znoszą wygnanie. Inni odczuwają je jako wielkie nieszczęście i gotowi są pójść daleko w kompromisie, byleby nie stracić ojczyzny. Poza tym należy wziąć pod uwagę, jak silnie wciąga człowieka Gra. Jak wielu ludzi w Europie Wschodniej byłem zaangażowany w Grę: ustępstw i zewnętrznych oświadczeń lojalności, podstępów i zawiłych posunięć w obronie pewnych walorów. Ta Gra - ponieważ nie jest pozbawiona niebezpieczeństw - wytwarza solidarność wśród tych, którzy ją uprawiają. Tak też było i ze mną. Czułem się solidarny

z moimi przyjaciółmi w Warszawie i akt zerwania przedstawiał mi się jako nielojalny. Wreszcie - były względy ideologiczne.

Przed rokiem 1939 byłem młodym poetą, którego wiersze znajdowały uznanie w niektórych kawiarniach literackich Warszawy; moja poezja, jak poezja francuska, którą szczególnie ceniłem, była mało rozumiała i zbliżona do surrealizmu. Mimo że moje zainteresowania były głównie literackie, nie były mi obce problemy polityki. Nie zachwycał mnie ówczesny polityczny system. Przyszła wojna i okupacja nazistowska. Spędziłem pod nią szereg lat - i to doświadczenie bardzo mnie zmieniło. Przed wojną moje zainteresowania problemami społecznymi wyrażały się w dorywczych wystąpieniach przeciwko skrajnie prawicowym ugrupowaniom i przeciwko antysemityzmowi. Pod okupacją zyskałem większą świadomość społecznego znaczenia literatury, a okrucieństwa nazistowskie silnie wpłynęły na treść moich utworów; równocześnie moja poezja stała się bardziej rozumiała - jak dzieje się zwykle, kiedy poeta chce zakomunikować coś ważnego swoim czytelnikom.

W 1945 kraje Europy Wschodniej zostały podbite przez Nową Wiarę idącą ze Wschodu. W intelektualnych kołach Warszawy stało się wtedy rzeczą modną porównywać komunizm z pierwszym chrześcijaństwem, "The Decline and Fali of the Roman Empire" Gibbona rzeczywiście zasługuje na czytanie w dzisiejszych czasach i dostarcza wiele analogii. Północ Europy, na której - dzięki zwycięstwom Czerwonej Armii - można było Nową Wiarę zaszczepić, była z gruntu pogańska. Aby puścić w ruch aparaty państwowe, trzeba było oczywiście zrobić użytek z pogan. Zdarzyło się, że byłem - przez sam fakt swojej wrogości wobec prawicowych doktryn totalitarnych - uważany za "dobrego poganina", to jest takiego, który - jak można było się spodziewać - stopniowo zostanie przekonany o słuszności ortodoksji.

Mój stosunek do nowej świeckiej religii, a przede wszystkim do Metody, na której się ona opiera (do Metody Diamatu, czyli materializmu dialektycznego, jednakże nie w ujęciu Marksa i Engelsa, a w ujęciu Lenina i Stalina), był nieufny. Nie znaczy to, że nie doznawałem na sobie, podobnie jak inni, jej potężnego wpływu. Starłem się siebie przekonać, że potrafię zachować swoją niezależność i ustalić pewne zasady, których nie będę musiał przekroczyć. W miarę jak rozwijała się sytuacja w demokracjach ludowych, granice, w których mogłem się poruszać jako pisarz, były coraz ciaśniejsze - ale pomimo wszystko nie chciałem uznać się za pokonanego.

Dla wielu ludzi fakt, że obywatel jednego z krajów demokracji ludowej szuka schronienia na Zachodzie, jest czymś oczywistym. Dla wielu innych, których sympatie zwrócone są ku Wschodowi, ktoś, kto ma egzystencję zapewnioną w Warszawie czy Pradze i decyduje się na ucieczkę, musi być szaleńcem. Po moim zerwaniu - stało się to w Paryżu - jeden z francuskich psychiatrów partyjnych wysunął tezę, że prawdopodobnie jestem pomieszany. Sądzę, że ucieczka

tego rodzaju nie jest ani dowodem szaleństwa, ani postępkiem, którego sens jest oczywisty. Należy ją oceniać według właściwości każdego poszczególnego wypadku.

W moim kraju dość późno - w latach 1949-50 - zażądano od pisarzy i artystów, aby uznali bez zastrzeżeń "socjalistyczny realizm". Było to równoznaczne z zażądaniem od nich ortodoksji filozoficznej w stu procentach. Ze zdziwieniem spostrzegłem, że nie jestem do tego zdolny. W ciągu wielu lat prowadziłem wewnętrzny dialog z tą filozofią - jak również dialog z kilkoma przyjaciółmi, którzy ją przyjęli. Emocjonalny sprzeciw zdecydował o tym, że odrzuciłem ją bezapelacyjnie. Ale dzięki temu właśnie, że przez długi czas ważyłem argumenty pro i contra, mogę napisać tę książkę. Jest ona zarówno próbą opisu, jak dialogiem z tymi, którzy opowiadają się za stalinizmem, i dialogiem ze sobą samym. Jest w niej tyleż obserwacji co introspekcji.

Pozycja pisarza w demokracjach ludowych jest bardzo dobra. Pisarz może tam poświęcić się wyłącznie pracy literackiej, która przynosi mu dochody co najmniej równe pensjom najwyższych dygnitarzy. Jednak cena, jaką musi płacić za to wolne od trosk materialnych życie, jest moim zdaniem nieco za wysoka. Mówiąc to obawiam się, że mogę przedstawić siebie w świetle nieco zbyt pochlebny, jako człowieka, który podejmuje decyzje wyłącznie z nienawiści do tyranii. W rzeczywistości myślę, że motywy ludzkiego działania są skomplikowane i że nie dadzą się sprowadzić do jednego motywu. Byłem skłonny zamykać oczy na wiele ohydnych faktów, byleby mi pozwolono w spokoju zajmować się metryką wiersza i tłumaczyć Szekspira. Wszystko, co mogę, to stwierdzić fakt, iż odszedłem.

Teraz staram się zrobić użytek z moich doświadczeń. Chciałbym pokazać, że życie w krajach, jakie znalazły się w obrębie Wschodniego Imperium, kryje w sobie wiele tajemnic. Za każdym razem kiedy myślę o nowym systemie społecznym, jaki dane mi było poznać, odczuwam zdumienie; może coś z tego zdumienia przedostało się na karty tej książki. „Jak można być Persem?” - zapytywał Montesquieu chcąc wyrazić stan umysłu Paryżan wątpiących o tym, czy jakakolwiek cywilizacja niż ta, którą znali, jest możliwa. „Jak można żyć i myśleć w krajach stalinizmu?” - wielu zapytuje dzisiaj. Jest to jednym słowem okazja, żeby zbadać, jak przystosowuje się do niezwykle trudnych warunków istota ludzka.

A może to lepiej, że nie byłem jednym z wiernych. Moje odejście nie pozostawiło mi tej nienawiści, jaka często pochodzi z poczucia odstępstwa i sekciarstwa. Jeżeli sądzono mi jest pozostać do końca życia poganinem, nie znaczy to, że nie powinienem starać się możliwie najlepiej zrozumieć Nową Wiarę, której hołduje dzisiaj tylu ludzi zrozpaczonych, rozgoryczonych i nigdzie indziej nie znajdujących nadziei. Jednak "zrozumieć" nie znaczy tutaj wszystko przebaczyć". Moje słowa są równocześnie protestem. Doktrynie odmawiam prawa do usprawiedliwienia zbrodni popełnianych w jej imieniu. Współczesnemu człowiekowi, który zapomina o tym, jak nędzny jest

w porównaniu z tym, czym może być człowiek - odmawiam prawa do mierzenia przeszłości i przyszłości własną miarą.

I - MURTI-BING

Dopiero w połowie dziewiętnastego wieku mieszkańcy wielu krajów europejskich zyskali, w sposób na ogół przykry, świadomość, że zawile i zbyt trudne dla przeciętnego śmiertelnika książki filozoficzne mają wpływ całkiem bezpośredni na ich losy. Porcja chleba, jaką jedli, rodzaj ich zajęcia, życie ich własne i ich rodzin zaczęło zależeć, jak mogli to stwierdzić, od takiego czy innego rozstrzygnięcia sporów o pryncypia, którym dotychczas nie udzielali wcale uwagi. Filozof w ich oczach był rodzajem marzyciela, którego dywagacje nie miały żadnych realnych skutków. Normalni zjadacze chleba, nawet jeżeli z wielką nudą zdawali egzaminy z filozofii, starali się o niej jak najszybciej zapomnieć jako o czymś, co nie służy do niczego. Wielka praca myśli, dokonywana przez marksistów, mogła więc łatwo uchodzić w ich oczach za jeszcze jedną odmianę bezpłodnej zabawy. Nieliczne tylko jednostki rozumiały znaczenie tej obojętności, jej powody i przypuszczalne następstwa.

W roku 1932 w Warszawie ukazała się dziwna książka. Była to dwutomowa powieść pt. "Nienasylenie". Autorem jej był St. I. Witkiewicz, filozof, malarz i pisarz. Książka ta, podobnie jak jego poprzednia powieść "Pożegnanie jesieni", nie mogła liczyć na dużą ilość czytelników. Język używany przez autora był trudny, pełen nowych słów, które Witkiewicz sam tworzył, brutalne opisy scen erotycznych sąsiadowały z całymi stronami dyskusyj o Husserlu, Carnapie i innych współczesnych teoretykach poznania. Poza tym nie zawsze dawało się odróżnić powagę od błazeństwa, a temat zdawał się być czystą fantazją.

Akcja powieści rozgrywała się w Europie, ściślej w Polsce, w jakimś bliżej nieokreślonym momencie przyszłości, który zresztą można było określić równie dobrze jako teraźniejszość, to jest mogłyby to być lata trzydzieste czy czterdzieste, czy pięćdziesiąte. Środowisko przedstawione było to środowisko muzyków, malarzy, filozofów, arystokracji i wyższych wojskowych. Cała książka nie była niczym innym niż studium rozkładu: szalona muzyka oparta na dysonansach; perwersje erotyczne; rozpowszechnione używanie narkotyków; bezdomność myśli na próżno szukającej oparcia; fałszywe nawrócenia na katolicyzm; skomplikowane schorzenia psychiczne. Działo się to wszystko w chwili, kiedy mówiono, że cywilizacja zachodnia jest zagrożona i w kraju, który był wystawiony na pierwsze uderzenie armii ze Wschodu: armią tą była armia mongolsko-chińska, panująca na terytorium od Oceanu Spokojnego do Bałtyku.

Bohaterowie Witkiewicza są nieszczęśliwi, gdyż brak im jakiegokolwiek wiary i poczucia sensu ich działalności. Ta atmosfera bezwładu i bezsensu rozpościera się nad całym krajem. Wtedy to pojawia się w miastach duża ilość przekupniów sprzedających w sekrecie pigułki Murti-Binga.

Murti-Bing był to mongolski filozof, któremu udało się wyprodukować środek przenoszący “światopogląd” drogą organiczną. Ów “światopogląd” Murti-Binga, który zresztą stanowił siłę armii mongolsko-chińskiej, był zawarty w pigułkach w formie niejako skondensowanej. Człowiek, który zażył pigułki Murti-Binga, zmieniał się zupełnie, zyskiwał pogodę i szczęście. Zagadnienia, z którymi dotychczas się borykał, nagle przedstawiały mu się jako pozorne i niegodne troski. Na ludzi zajmujących się nimi patrzył już z uśmiechem pobłażania. W pierwszym rzędzie dotyczyło to nierozwiązalnych trudności ontologii (które pasjonowały samego autora). Człowiek łykający pigułki Murti-Binga przestawał być wrażliwy na jakiegokolwiek elementy metafizyczne, takie objawy jak dzikie ekscesy sztuki przeżywającej “nienasycenie formą” traktował już jako głupstwa przyszłości, nadejścia armii mongolsko-chińskiej nie uważał już za tragedię swojej cywilizacji, wśród swoich współobywateli żył jak zdrowe indywiduum, otoczone przez wariatów. Coraz więcej ludzi przechodziło tę kurację pigułkami Murti-Binga, a ich spokój w ten sposób zdobyty pozostawał w jaskrawym kontraście z nerwowością ich otoczenia.

W kilku słowach epilog: wybuchła wojna i doszło do spotkania armii zachodniej ze wschodnią. W decydującej jednak chwili, przed wielką bitwą, wódz armii zachodniej, w którego wierzone bezgranicznie, udał się do kwatery głównej przeciwnika i poddał się, w zamian za co został z wielkimi honorami ścięty. Armia wschodnia zajęła kraj i rozpoczęło się nowe życie realizowanego murti-bingizmu. Bohaterowie powieści, dręczeni poprzednio “nienasyceniem” filozoficznym, poszli na służbę nowego ustroju, pisząc zamiast dysonansowej dawnej muzyki marsze i ody, malując zamiast dawnych abstrakcji obrazy społecznie użyteczne. Ponieważ jednak nie mogli się całkowicie pozbyć dawnej swojej osobowości, stali się znakomitymi okazami schizofreników.

Tyle o powieści. Jej autor nieraz dawał wyraz przekonaniu, że religia, filozofia i sztuka dożywają ostatnich swoich dni, że jednak bez nich życie nie jest nic warte (był twórcą systemu ontologicznego nawiązującego do monadologii Leibniza). Dnia 17 września 1939 r. na wiadomość, że Armia Czerwona przekroczyła wschodnią granicę Polski, popełnił samobójstwo zażywając dużą dawkę weronalu i przecinając sobie żyły.

Wizja Witkiewicza spełnia się dzisiaj w najdrobniejszych szczegółach na wielkich obszarach europejskiego kontynentu. Być może światło słońca, zapach ziemi, drobne uciechy codziennego życia, zapomnienie, jakie daje praca, mogą zmniejszyć nieco napięcie dramatu rzadko spotykanego w historii. Ale pod powierzchnią codziennych krzątań się i zabiegów trwa świadomość nieodwołalnego wyboru. Człowiek musi albo umrzeć - fizycznie czy duchowo - albo odrodzić się w sposób jeden, z góry zdefiniowany, przez zażycie pigułek Murti-Binga. Ludzie na Zachodzie skłonni są często rozpatrywać los krajów nawracanych tylko w kategoriach przymusu i

przemocy. To jest niesłuszne. Poza zwyczajnym strachem, poza chęcią uchronienia się przed nędzą i fizycznym zniszczeniem działa pragnienie wewnętrznej harmonii i szczęścia. Los ludzi zupełnie konsekwentnych, niedialektycznych, takich jak Witkiewicz, jest przestrogą dla niejednego intelektualisty. Zresztą dokoła siebie widzieć on może odstrasżające przykłady: po ulicach miast błąkają się jeszcze cienie nieprzejednanych, tych, co nie chcą w niczym brać psychicznie udziału, wewnętrznych emigrantów zżeranych przez nienawiść, aż nic w nich już nie zostaje prócz nienawiści i są jak puste orzechy. Żeby zrozumieć sytuację pisarza w krajach demokracji ludowej, trzeba mówić o racjach jego działania i utrzymywanej przez niego z wielkim trudem równowadze. Cokolwiek się powie, Nowa Wiara daje ogromne możliwości czynnego, ruchliwego życia. A murti-bingizm dla intelektualisty przedstawia bez porównania większe powaby niż dla chłopów czy nawet robotników. Jest to świeca, dookoła której krąży on jak ćma, aby wreszcie rzucić się w płomień i z trzaskiem łamiących się skrzydeł dokonać całopalenia na chwałę ludzkości. Pragnienia tego nie wolno lekceważyć. Krew płynęła obficie w Europie w czasie wojen religijnych i kto dzisiaj wstępuje na drogę Nowej Wiary, spłaca dług tej europejskiej tradycji. Sprawa jest dużo poważniejsza niż sprawa przemocy.

Spróbuję sięgnąć do tych wielkich pragnień i mówić o nich, jakby naprawdę można było analizować to, co jest ciepłą krwią i samym ciałem człowieka. Gdybym chciał opisywać powody, dla których ktoś staje się rewolucjonistą, oczywiście nie potrafiłbym być ani dostatecznie wymowny, ani dostatecznie wstrzemięźliwy. Przyznaję, że mam zbyt wiele szacunku dla tych, co walczą ze złem - niezależnie od tego, czy słuszny jest ich wybór celów i metod, czy błędny. Tutaj jednak chcę zatrzymać się na szczególnej odmianie: na intelektualistach, którzy się adaptują, co zresztą nie zmniejsza wcale ich świeżo nabytej gorliwości i zapału.

Istnieje, jak mi się zdaje, kilka centralnych węzłów w ich dojrzewaniu do przyjęcia Murti-Binga.

„Pustka. Środowisko przedstawione przez Witkiewicza Odnacza się tym, że nie istnieje w nim już religia.

W krajach demokracji ludowej, tak jak wszędzie, religia już dawno przestała być filozofią całych społeczeństw, to jest wszystkich klas. Dopóki najlepsze umysły były zaprzątnięte dyskusjami teologicznymi, można było mówić o niej jako o systemie myślenia całego społecznego organizmu, a wszystkie sprawy najżywiej zajmujące obywateli były do niej odnoszone i omawiane w jej języku. Ale to należy do zamierzchłej przeszłości. Poprzez fazy stopniowe doszliśmy do braku jednolitego systemu pojęć, który by łączył chłopą orzącego konnym pługiem, studenta zajmującego się logistyką i robotnika w fabryce samochodów. Stąd dotkliwe poczucie oderwania, abstrakcji, jakie gnębi inteligencję, a w szczególnym stopniu tych, co są „twórcami kultury”. Na

miejsce religii przyszła filozofia, która jednak wędrowała w dziedziny coraz mniej dostępne dla niespecjalistów. Rozmowy bohaterów Witkiewicza o Husserlu niewiele mogą obchodzić nawet średnio wykształconych czytelników, natomiast szerokie masy wciąż związane były z Kościołem w sposób tylko emocjonalny i tradycyjny, bo zabrakło intelektualnej ostrości i odnowy. Muzyka, malarstwo czy poezja stały się czymś najzupełniej obcym przeważającej większości obywateli. Szerzące się teorie sztuki wyraźnie wskazywały na jej rolę jako substytutu religii: “uczucia metafizyczne” miały się wyrażać w “napięciach czystej formy”, a więc forma zyskiwała bezwzględną przewagę nad celem. Doszło do tego, że wybitnie treściową sztukę ludów pierwotnych zaczęto interpretować jako znakomitą deformację samą w sobie, w oderwaniu od historycznego podłoża, od sposobu myślenia i odczuwania pierwotnych cywilizacji.

Być w masie: wielkie pragnienie “alienowanych” intelektualistów. Pragnienie tak silne, że próbując je zaspokoić, wielu z nich przeszło drogę od skrajnie totalitarnych pomysłów, wzorowanych na Niemczech hitlerowskich, do Nowej Wiary. Co prawda łatwo stwierdzić, że totalitarne programy prawicy były niezwykle nędznym środkiem. Zaspokojenia, jakich mogły dostarczyć, sprowadzały się do zbiorowego ciepła: tłum, usta otwarte do krzyku, czerwone twarze, marsze, ręce z podniesionymi łaskami. Gorzej było, gdy się sięgało do racjonalnego uzasadnienia. Ani kult Rasy, ani nienawiść do osób innego pochodzenia, ani przesadne upiększanie tradycji własnego narodu nie były zdolne usunąć poczucia, że cały taki program jest improwizacją na chwilowy użytek i wisi w powietrzu. Co innego murti-bingizm. Daje on podstawy naukowe i za jednym zamachem wyrzuca na śmietnik pozostałości ubiegłych epok: filozofię pokantowską, która coraz mniej miała związków z życiem ludzi i dlatego otoczona została powszechną pogardą; sztukę tworzoną dla tych, co nie mieli religii, a nie chcieli się przyznać przed sobą, że jakiegokolwiek polowanie na “absolut” poprzez zestawienia barw czy dźwięków jest brakiem odwagi w domyśleniu rzeczy do końca; mentalność magiczno-religijną chłopów. Zamiast tego wszystkiego przychodzi jeden system, jeden język pojęć. Woźny i windziarz w domu wydawniczym czytają tych samych klasyków marksizmu co dyrektor firmy i pisarze przynoszący swoje rękopisy; robotnik i badacz historii mogą się odtąd porozumieć. Oczywiście różnica poziomu umysłowego, jaka istnieje pomiędzy nimi, nie jest mniejsza od tej, jaka dzieliła w wiekach średnich doktora teologii i wiejskiego kowala. Ale podstawy są wspólne. Wielka schizma została obalona. System materializmu dialektycznego połączył wszystkich i filozofia (to jest dialektyka) uzyskała znowu wpływ na życie, a traktować ją zaczęto tak poważnie, jak traktuje się tylko wiedzę i umiejętność, od znajomości której zależy chleb i mleko dla dzieci, własna pomyślność i bezpieczeństwo. Intelektualista znów stał się użyteczny. On, dotychczas poświęcający myśleniu i pisaniu chwile wolne od pracy zarobkowej w banku czy na poczcie, zyskał miejsce na ziemi, był przywrócony

społeczności. Ci, którzy dotychczas uważali go za nieszkodliwego pomyłeńca: właściciele fabryk jeżdżący pięknymi samochodami, arystokraci ceniący z nauki i sztuki to tylko, co uznawał snobizm, kupcy zajęci wyłącznie pieniędzmi - odpłynęli w niebyt albo radzi są, jeżeli wolno im dostać posady szatniarzy i podawać palto dawnemu swemu pracownikowi, o którym mówiło się w przedwojennych czasach, że "podobno coś pisze". Tych zaspokojen ambicji nie należy upraszczać: są one tylko zewnętrzną oznaką społecznej przydatności, symbolami uznania, które umacniają na każdym kroku poczucie przywrócenia.

Absurd. Chociaż nigdy nie wspomina się o metafizycznych motywach, które mogą doprowadzić do całkowitej zmiany poglądów politycznych, motywy te, jak się zdaje, działają i można je obserwować u najwrażliwszych, najbardziej inteligentnych - i najbardziej neurotycznych. Wyobraźmy sobie dzień wiosenny w mieście, w jakimś kraju podobnym do opisywanego w powieści Witkiewicza. Jeden z jego bohaterów idzie na spacer. Dręczy go to, co można nazwać ssaniem absurdu. Jaka jest racja istnienia tych wszystkich przedstawicieli gatunku homo, tej bezsensownej krzątaniny, tych uśmiechów, tych zabiegów o pieniądze, tych zwierzęcych i niemądrych rozrywek? Przy odrobinie przenikliwości łatwo podzielić przechodniów na szereg typów, odgadnąć ich przynależność klasową, ich obyczaje i to, co ich w tej chwili zaprzęta. Perspektywa czasu ulega skrótowi: wiek dziecięcy, dojrzały i starość przechodniów zbijają się w jedno, upływają w ciągu sekundy, na miejscu przechodnia jest już tylko powietrze. Rozpatrywane na planie fizjologicznym istnienie tego właśnie przechodnia zamiast innego - nie ma żadnego sensu. Wnikając natomiast w ich umysły, odkryje się tam niesłychane brednie. Nie zdają sobie oni zupełnie sprawy z tego, że nic nie jest ich własne, że wszystko należy do formacji historycznej, która ich zrodziła: ich rodzaj zatrudnienia, ich stroje, ich ruchy, ich odmiana uśmiechu, ich wierzenia i poglądy. Są wcieloną siłą inercji właśnie przez to, że ulegają złudzeniu, iż są sobą, nie będąc żadnym sobą. Gdyby to były dusze, jak uczył Kościół, czy monady Leibniza! Ale tamta wiara została już przekreślona. Co zostaje, to wielki wstręt do trwania szczegółu, do tej mentalności, dla której każde zjawisko istnieje osobno: jeść, pić, zarabiać, obłapiać, rodzić dzieci. I co dalej? Czy to powinno trwać? Dlaczego ma trwać? Takie pytanie jest już niemal równoznaczne z tym, co się nazywa nienawiścią do burżuazji.

Niech powstanie nowy człowiek, który nie ulega, ale przekształca świat i myśli w skali całego globu i sam stwarza formację historyczną zamiast być jej niewolnikiem. Tylko tak absurdalność jego fizjologicznego trwania może być odkupiona. Trzeba go zmusić siłą, przez cierpienie, do zrozumienia. Dlaczego nie ma cierpieć? Powinien cierpieć. Dlaczego nie może służyć jako nawóz, dopóki jest zły i głupi? Jeżeli intelektualista zna mękę myśli, nie należy tej

męki oszczędzać innym, tym którzy dotychczas rechotali, pili, żarli, opowiadali głupie dowcipy i w tym widzieli piękno życia.

Intelektualista mruży z rozkoszy oczy przypatrując się, jak burżuazja - a również burżuazyjność w ludziach - jest dręczona. Jest to sowita nagroda za poniżenie, jakie czuł, kiedy musiał być jednym z nich i kiedy zdawało się, że nie ma wyjścia z tego kręgu narodzin i śmierci. Wstydlive rumieńczyki inteligentów nigdy nie nawykłych do ostrego, surowego myślenia, nagle złapanych w potrzask, na przykład zagnanych na akademię w rocznicę rewolucji, akademię, która jest im nienawistna - dają mu chwile upajające. Chłopi zakopujący uciulane złote monety i słuchający zagranicznego radia w nadziei, że wojna uratuje ich od wstąpienia do kołchozów, na pewno nie mają w nim sojusznika. A przecież jest czuły i dobry - jest przyjacielem człowieka, ale nie człowieka takiego, jaki jest. Takiego, jaki powinien być. Nie można go jednak porównywać ze średniowiecznym inkwizytorem. Tamten torturując ciało wierzył, że pracuje nad zbawieniem indywidualnej duszy. Ten pracuje nad zbawieniem ludzkiego gatunku.

Konieczność. Strach przed myśleniem na własny rachunek jest jego cechą. Nie żeby po prostu ba! się dojsć do konkluzji niebezpiecznych. Jest to strach przed jałowością, przed tym, co Marks nazwał nędzą filozofii. Pisząc te słowa nie jestem bynajmniej wolny od podobnego strachu. Człowiek (przyjmijmy to założenie) może być tylko jednym z instrumentów w orkiestrze, którą dyryguje bogini Historii. Dopiero wtedy głos, jaki wydobywa ze swego instrumentu, coś znaczy. W przeciwnym razie jego najbystrzejsze nawet refleksje pozostaną rozrywką pięknoducha. To nie tylko jest kwestia, jak zdobyć się na odwagę i jak wystąpić przeciwko innym. To o wiele bardziej zjadliwe pytanie, jakie stawia się samemu sobie: czy można rozumować poprawnie i pisać dobrze, jeżeli nie płynie się jedynym nurtem, który jest realny, to jest - który ma w sobie żywotność, ponieważ jest w zgodzie z ruchem rzeczywistości czy też z prawami Historii? Wiersze Rilkego mogą być bardzo dobre, a jeżeli są dobre, to znaczy, że istniało w epoce, w której powstały, jakieś dla nich uzasadnienie. Wiersze podobnie oddane kontemplacji nie mogą powstać w demokracjach ludowych - nie dlatego, że trudno by je było wydrukować, ale dlatego, że u ich autora impuls do ich napisania będzie u samego źródła zamącony: zabrakło obiektywnych warunków, aby mogły powstać podobne wiersze. Dlatego w głębi serca intelektualista, o którym mowa, nie wierzy w pisanie do szuflady. Poddając się cenzurze i szczegółowym żądaniom komisji wydawniczych klnie i jest zrozpaczony. Równocześnie jednak powstaje w nim głęboka niewiara w wartość literatury nie zaopatrzonej w "imprimatur". Gdyż otrzymanie "imprimatur" nie oznacza, że wydawca ocenia wartości artystyczne książki czy spodziewa się jej powodzenia u publiczności. "Imprimatur" jest znakiem, że książka pozostaje w zgodzie z doktryną, to jest, że autor jej umie utrzymać się w nurcie jedynie płodnym, a płodnym dlatego, że nurt ten odzwierciedla z naukową precyzją

przemiany rzeczywistości. Materializm dialektyczny (w ujęciu stalinowskim) odzwierciedla te przemiany a równocześnie je kształtuje: kształtuje warunki społeczne i polityczne, w których człowiek przestaje umieć pisać i myśleć inaczej niż trzeba, a równocześnie to “trzeba” musi zaakceptować, ponieważ poza tym “trzeba” nie może powstać nic wartościowego. Oto kleszcze dialektyki. Pisarz poddaje się nie tylko dlatego, że się boi o swoją skórę. Boi się on o coś cenniejszego - o wartość swego dzieła, które zbaczając na manowce “filozofowania” staje się, w mniejszym czy większym stopniu, zwykłą grafomanią. Kto znajdzie się w dialektycznych kleszczach, musi uznać, że myślenie prywatnych filozofów nie podparte cytatai autorytetów jest głupstwem. Jeżeli tak jest, cały wysiłek musi być zwrócony ku utrzymaniu się na linii - i nie będzie tu już żadnej granicy, na której można by się zatrzymać. Kto powie A, musi powiedzieć B. Natomiast A przetyka się dość łatwo. Jest to pierwsza, niedostrzegalna pigułka Murti-Binga, podawana w najrozmaitszych potrawach stanowiących menu współczesnego intelektualisty. Żeby ją spostrzec, trzeba wyjątkowo wytrenowanego umysłu, a co więcej: trzeba wewnętrznego porządku, a nie pustki. Nie jestem filozofem i nie jest moją ambicją badanie tego A.

Nacisk zorganizowanej maszyny państwowej jest niczym w porównaniu z naciskiem przekonywującej argumentacji. Byłem w Polsce na zjazdach przedstawicieli różnych dziedzin sztuki, gdzie po raz pierwszy omawiano teorię socjalistycznego realizmu. Stosunek sali do mówców wygłaszających przepisowe referaty był zdecydowanie wrogi. Wszyscy uważali socjalistyczny realizm za urzędowo narzucaną teorię, prowadzącą do opłakanych wyników, jak dowodził tego przykład sztuki rosyjskiej. Próby wywołania dyskusji nie udawały się. Sala milczała. Zwykle znajdował się jeden odważny, który przypuszczał atak pełen hamowanego sarkazmu, przy milczącym, ale wyraźnym poparciu całej sali. Odpowiedź referentów miażdżyła atakującego znacznie lepiej przeprowadzoną argumentacją i aby wypadła jeszcze mocniej, zawierała całkiem dokładne pogroźki pod adresem kariery i przyszłości niesfornego osobnika. Oto schemat: argumentować i stwarzać niezbędne warunki siłą. Hubka i krzesiwo. Młot i kowadło. Pożądana iskra pojawi się. Jest to matematycznie pewne.

Twarze słuchaczy na tych zjazdach nie były zbyt czytelne, bo wprawa w maskowaniu uczuć osiągnęła już spory stopień doskonałości. Były one jednak dość czytelne, aby zauważyć szybko zmieniające się nastroje. Gniew, lęk, podziw, niedowierzenie, zamyślenie - przechodziły falami. Miałem wrażenie, że biorę udział w widowisku zbiorowej hipnozy. W kularach ci ludzie mogli później śmiać się i dowcipkować. Ale harpun został rzucony i trafił. Dokądkolwiek się skierują, będą nieśli w sobie ostrze. Czy sądzę więc, że dialektyka użyta przez referentów była nie do odparcia? Tak, była niemożliwa do odparcia, jeżeli się nie prowadziło całkiem zasadniczej dyskusji o metodzie. Do takiej dyskusji nikt z obecnych nie był przygotowany. Prawdopodobnie byłaby to

dyskusja o Heglu, którego nie czytała publiczność złożona z malarzy i pisarzy. Zresztą nawet gdyby ktoś chciał z tym wystąpić, nie dopuszczono by go do głosu. Dyskusja na podobne tematy jest - i to z lękiem - podejmowana tylko w najwyższych kręgach mędrców.

Na przykładzie zjazdów artystycznych widać dysproporcję pomiędzy uzbrojeniem teoretyka i tych, których ma on odpowiednio urobić. Jest to pojedynek czołgu z piechurami. Nie żeby każdy teoretyk był bardzo inteligentny i wykształcony. Jednak na twierdzenia wypowiedziane przez niego składa się bogaty dorobek myślowy mistrzów i komentatorów. Każde zdanie ma spoistość i celność - co nie jest zasługą danego teoretyka, ale dzieł, z których się nauczył. Jego słuchacze są wobec tej maszyny całkowicie bezbronni. Mogliby co prawda wytaczać argumenty zaczerpnięte z obserwacji życiowej - to jednak jest równie mało wskazane, jak zapuszczanie się w problemy podstawowe zastrzeżone dla Najwyższych. Ścieranie się teoretyka z publicznością odbywa się na niezliczonych zebraniach związków zawodowych, organizacji młodzieży, w świetlicach, w fabrykach, w gmachach biurowych, w izbach wiejskich, na całym nawracanym obszarze Europy. I nie ulega wątpliwości, że teoretyk wychodzi zwycięzcą z tych zapasów.

Nie należy się więc dziwić, jeżeli pisarz czy malarz wątpi w celowość oporu. Gdyby miał pewność, że dzieło dokonywane przez niego wbrew linii oficjalnie zaleconej ma wartość trwałą - zdecydowałby się zapewne i nie troszczyłby się o druk czy branie udziału w wystawach, pracując nad takim dziełem w przerwach między bardziej zdawkowymi zatrudnieniami, przynoszącymi mu pieniądze. Sądzi jednak - w większości wypadków - że takie dzieło byłoby artystycznie słabe - w czym nie myli się zanadto. Jak powiedziałem, zabrakło obiektywnych warunków. Obiektywne warunki potrzebne do zrealizowania dzieła artystycznego są zjawiskiem, jak wiadomo, bardzo złożonym: wchodzi tu w grę pewien krąg odbiorców, możliwość kontaktu z nimi, odpowiednia atmosfera, a co najważniejsze - uwolnienie się od wewnętrznej, mimowolnej kontroli. "Nie mogę pisać, jak chciałbym - przyznał mi się młody poeta - w mój własny strumień wpada tyle dopływów, że ledwo zatamuję jeden, już czuję drugi i trzeci i czwarty. Jestem w środku frazy i już poddaję tę frazę marksistowskiej krytyce i wyobrażam sobie, co powie teoretyk X i Y - i kończę frazę inaczej, niż miałem zakończyć."

Ta właśnie wewnętrzna niemożność - jakkolwiek mogłoby się to wydawać paradoksalne - przekonuje intelektualistę, że słuszność jest po stronie najdoskonalszej - bo jedynej - Metody. Gdyż potwierdza ją doświadczenie. Dialektyka: przewidzieć, że dom się spali, po czym rozlać benzynę koło pieca. Dom się pali, moje przewidywania są spełnione. Dialektyka: przewidzieć, że twórczość artystyczna niezgodna z socjalistycznym realizmem będzie bez wartości, po czym umieścić artystę w warunkach, w których taka twórczość jest bez wartości. Przewidywania są spełnione.

Przykład z poezji: oprócz poezji o znaczeniu politycznym dozwolona jest poezja liryczna, pod warunkiem, że jest ona: 1) pogodna, 2) nie zawierająca żadnych elementów myślowych, które by wykraczały poza zasady powszechnie przyjęte (w praktyce oznacza to opisy przyrody i uczuć do osób najbliższych), 3) zrozumiała. Ponieważ poeta, któremu nie wolno myśleć w wierszu, ma automatycznie skłonność do cyzelowania formy, oskarża się go o formalizm.

Nie tylko literatura i sztuka krajów demokracji ludowej dostarcza intelektualistom potwierdzenia, że inaczej być nie może. Wiadomości, jakie przedostają się z Zachodu, umacniają go w jego przekonaniu. Świat zachodni jest to świat z powieści Witkiewicza. Ilość aberracji erotycznych i filozoficznych jest tam zawrotna. Epigoni naśladowają epigonów, przeszłość naśladowuje przeszłość. Ten świat trwa, jakby nie było drugiej wojny światowej. Wszystko to jest doskonale znane umysłowym klanom w Europie Wschodniej - ale znane jako etap przebyty, za którym nie warto się oglądać. Jeżeli nowe zadania i problemy są uciążliwe i zdolne doprowadzić wielu do zupełnego załamania - to w każdym razie są to zadania i problemy bardziej współczesne, a dyscyplina myśli i obowiązek prostoty reprezentują coś niewątpliwie cennego. Praca naprawdę wybitnych uczonych i artystów na Zachodzie wymyka się uwadze, natomiast z nowszych nazwisk zna się tylko "demokratów" (jest to delikatne omówienie, oznaczające, że nie ma się do czynienia z poganinem). Rekompensatą za wszelkie dolegliwości jest więc pewność, że należy się do świata nowego, który zwycięża, choć nie jest to ani świat wygodny, ani tak radosny, jak wynikałoby to z własnej propagandy.

Sukces. Tajemniczość posunięć politycznych decydowanych na górze, w odległym Centrum; atmosfera nabożeństwa, ściszonych głosów, gdy mówi się o prawdziwie wybitnych osobistościach; niezmierny obszar Euro-Azji, gdzie całe narody mogą się roztopić bez śladu; wielomilionowe armie; skuteczność terroru; precyzja dysput (ci, co naprawdę rządzą, są filozofami - oczywiście nie w znaczeniu tradycyjnej filozofii, ale dialektyki); pewność zawładnięcia całą kulą ziemską; wielkie rzesze zwolenników na wszystkich kontynentach; przemysłność kłamstw zawsze hodowanych z ziarna prawdy; pogarda dla niewykształconych filozoficznie przeciwników i ich burżuazyjnej, a więc zdeterminowanej pochodzeniem, niezdolności do myślenia (klasy skazane na zagładę przez prawa historii giną, bo są dotknięte niedowładem rozumu); stałe i systematyczne przesuwanie się na Zachód granic Imperium; niespotykane nigdzie indziej wydatki na cele badań naukowych; praca przygotowawcza do rządzenia wszystkimi ludami świata. Czy to mało? To dosyć, aby zafascynować intelektualistę. Tak gruntuje się w nim fatalizm historyczny. "Ja stawiam na tego konia - przyznaje cynicznie w chwili szczerości. - To dobry koń. Można na nim zajechać daleko."

Kiedy nadchodzi chwila przyjęcia porcji Murti-Binga w całości, delikwent przeżywa to boleśnie, jest zrujnowany wtedy nerwowo i nieraz choruje. Wie, że jest to rozstanie się z dawnym sobą i przekreślenie dawnych przywiązań i przyzwyczajzeń. Jeżeli jest pisarzem, nie umie utrzymać pióra w ręku. Cały świat zdaje mu się czarny i bez błysku nadziei. Dotychczas pisząc spłacał daninę minimalną: w swoich artykułach czy powieściach przedstawiał zło stosunków kapitalistycznych. Krytyka życia w ustroju kapitalistycznym nie jest jednak trudna i można ją przeprowadzać uczciwie, a postacie szarlatanów giełdy, feudałów, zakłamanych artystów, przywódców nacjonalistycznych bojówek, które zna z czasów przedwojennych i wojennych, są wdzięcznym materiałem dla szyderstwa. Teraz jednak musi zacząć aprobować (w terminologii urzędowej nazywa się to przejściem z etapu realizmu krytycznego do etapu realizmu socjalistycznego; nastąpiło to w krajach demokracji ludowej w okolicach roku 1950). Operację, jakiej ma na sobie dokonać, niektórzy z jego kolegów mają już za sobą. Ci patrzą na niego i kiwają głowami ze współczuciem. Sami to przeszli, jedni ostrzej, inni słabiej, znają dobrze przebieg - i znają wynik. "Ja jestem już po przełomie - powiadają pogodnie. - Ale Z się męczy. Siedzi u siebie w przedpokoju na kufrze cały dzień, z twarzą w dłoniach."

Najcięższe do przezwyciężenia jest poczucie winy. Niezależnie od takich czy innych przekonań każdy człowiek w krajach, o których mowa, tkwi w porządku cywilizacji narastającej wiekami. Rodzice jego byli przywiązani do religii albo co najmniej odnosili się do niej z szacunkiem. W szkole zwracano dużo uwagi na wychowanie religijne, pozostały w nim w każdym razie złoża emocjonalne i ocena takich postępków, jak krzywdzenie bliźniego, kłamstwo, morderstwo, zachęcanie do nienawiści - jako postępków brzydkich, chociażby miały one służyć wzniosłym celom. Poza tym oczywiście uczył się historii swego narodu, czytał z upodobaniem dawnych poetów i myślicieli, był dumny z tego dziedzictwa, a wielowiekowe walki w obronie granic jego ojczyzny czy - w ciemnych chwilach obcej okupacji - w imię jej niepodległości nie pozostawiały go obojętnym. Lojalność wobec przeszłości, pełnej ofiar i wysiłków jego rodaków dążących do utrzymania niepodległego państwa, przedstawiała mu się, świadomie czy podświadomie, jako rzecz dodatnia. Poza tym uczono go od dziecka - i przeniknęło to weń głęboko - że kraj jego należy do cywilizacji wywodzącej się z Rzymu i że stanowi część Europy, że więc ten związek należy kultywować i cenić.

Teraz, wiedząc że przekracza bramę, z której nie ma powrotu, czuje, że robi coś złego. Tłumaczy sobie, że jest to dziedziczne obciążenie - i jego własnej przeszłości, i przeszłości jego kraju. Tylko wydzierając z korzeniem to, co minęło bezpowrotnie, stanie się wolny. A jednak walka trwa, szale się ważyć. Okrutna walka, jakiej nie znały liberalne epoki. Walka anioła z demonem - tak, wie to. Ale który z nich jest aniołem, a który demonem? Oto jasna twarz znana mu

z dzieciństwa - więc to jest anioł? Nie, ta twarz okrywa się zmarszczkami ohydnej szpetoty: to stary ład, to durnie w korporanckich deklach, powozy jaśniewielmożnych, starczy kretynizm polityków, uwiad zachodniej Europy, to zmierzch, dekadencja, mistyka instytucji, które się skończyły. Oto druga twarz - potężna i skupiona, twarz jutra, które go przyzywa. Anielska? Wątpliwe.

Głośno mówi się o patriotyzmie, o nawiązaniu do najlepszych, bo postępowych tradycji narodu, o pietyzmie dla przeszłości. Nikt jednak nie jest tak naiwny, aby tę fasadę traktować poważnie. Odbudowa pewnej ilości zabytków historycznych czy wydawanie dzieł dawnych pisarzy nie zmieni dostatecznie wymownych i ważniejszych faktów: kraj stał się prowincją Imperium i jest rządony edyktami z Centrum, przy zachowaniu autonomii, która będzie się coraz bardziej zmniejszać. Być może okres niepodległości narodów jest już skończony i podobne pomysły należy złożyć w muzeum. A jednak przykro jest pożegnać się z marzeniami o federacji równych narodów, o zjednoczonych stanach Europy, w których różne języki i różne kultury miały te same prawa. Nie jest przyjemnie poddawać się hegemonii jednego narodu, który wciąż jest raczej prymitywny, przyznawać bezwzględną wyższość jego obyczajom i instytucjom, nauce i technice, literaturze i sztuce. Czy trzeba złożyć aż tak wielką ofiarę w imię zjednoczonej ludzkości? Narody zachodniej Europy - myśli pisarz - przejdą tę fazę później i znacznie łagodniej. Możliwe, że zdołają zachować lepiej swoje kultury i swoje języki. W tym czasie jednak cała Europa Wschodnia będzie już używać chętnie języka uniwersalnego, to jest rosyjskiego, a zasada "kultura narodowa w formie, socjalistyczna w treści" w najlepszym wypadku będzie oznaczała monolitową jedność kultury regulowanej z Centrum, przy zachowaniu w poszczególnych krajach ornamentów miejscowych w postaci folkloru. Aż wreszcie syn stepów kirgizkich będzie pasł konie nad Loarą, a Sycylijczyk sadił bawełnę w turkmeńskich dolinach i tak zrealizowane zostanie Cite Universelle. Pisarz przegląda gazety, w których propagandyści wzywają do walki o wyzwolenie narodów kolonialnych spod ucisku kolonialnych potęg i uśmiecha się. O, zręczności dialektyki! O, umiejętności rozłożenia etapów!

Gorzkie jest to wszystko. I ci prorocy Wiosny Ludów. I Karol Marks. I te wizje ludzkości braterskiej. Więc jednak nie da się nic rozwiązać bez hegemonii i bez żelaznej ręki Władcy. Ale Władca? Narodowy poeta polski opisując swoją podróż na Wschód, dokąd jechał w roku 1824 jako polityczny więzienny cara, przyrównywał duszę narodu rosyjskiego do poczwarki i pytał z niepokojem, jaki owad wyleci z tej powłoki, kiedy ukaże się słońce wolności: "Czy motyl jasny wzniesie się nad ziemię, czy ćma wypadnie, brudne nocy plemię?" I dotychczas nic nie wróży radosnego motyla.

Pisarz z wściekłością myśli o komunistach na Zachodzie. Co za błązny. Można im wybaczyć ich deklamacje, jeżeli są potrzebne do propagandy. Ale oni wierzą w znaczną część tego, co głoszą o błogosławionym Centrum - i to już jest niewybaczalne. Zaiste, nic nie da się porównać z pogardą, jaką czuje dla tych sentymentalnych kabotynów.

Mimo oporu, mimo chwil rozpaczony moment wreszcie nadchodzi. Może to się zdarzyć w nocy, przy rannym śniadaniu, na ulicy. Coś jakby metaliczny dźwięk przełączanego trybu. Ależ nie ma innej drogi. To jest jasne. Jak kula ziemską długa i szeroka nie ma innego zbawienia. Błysk ten trwa sekundę, ale odtąd zaczyna się poprawa. Po raz pierwszy od długiego czasu pacjent je ze smakiem, ruchy jego nabierają sprężystości, wraca rumieniec. Zasiada i pisze artykuł "pozytywny", i dziwi się sam sobie, że idzie mu tak łatwo. Ostatecznie nie było powodu robić wiele hałasu o nic. Zupełnie proste. Jest już "po przełomie".

Operacja taka jednak nie przechodzi bez śladu. Pozostaje po niej szczególny rodzaj przygaszenia, wyrażającego się często we wzroku i w grymasie ust. Jest to spokojny smutek kogoś, kto pożywał owoców z drzewa wiadomości dobrego i złego, kogoś, kto wie, że kłamie i lituje się nad ludźmi pozbawionymi pełnej świadomości. On ma poza sobą to, co tylu innych jeszcze czeka.

W roku 1945 przyjechał do Polski wybitny dziennikarz sowiecki. Był to starszy pan o wyglądzie burżuazyjnego adwokata. Jego moc o wielkiej zręczności i całkowitym braku skrupułów, o czym świadczył zresztą upór, z jakim utrzymywał się na swoim wysokim stanowisku pomimo rozlicznych czystek, dożywając szanownego wieku. Dziennikarz ten, po powrocie z objazdu paru prowincjonalnych miast polskich, opowiadał ze śmiechem w gronie miejscowych pisarzy o przygodzie, jaka spotkała ich wycieczkę na Śląsku. Ktoś puścił tam pogłoskę, że przyjechała delegacja zachodnich aliantów. Na dziennikarza (jego brzusek i poczciwy wygląd tubylca zachęcały do podobnie wylewnych objawów zaufania) rzucił się ktoś na ulicy, zaczął go ścisnąć i radośnie krzyknąć: "Panie! Anglicy przyjechali!" - "Zupełnie jak na Ukrainie w 1919 roku" - zakończył swoje opowiadanie dziennikarz. Był ubawiony tą powtarzalnością bezpłodnych nadziei. Pochlebiali mu też, że jest przedstawicielem kraju rządzonego według niezawodnych przewidywań: powoli naród za narodem wzbogaca kolekcję, tak jak być miało i musiało. Nie jestem pewien, czy nie było w jego śmiechu również tej litości górowania, jaką gospodyni czuje dla myszy złapanej w pułapkę.

Pisarz "po przełomie" spodziewa się, że któregoś dnia przyjedzie jako taki właśnie korespondent do jednego z nowo zdobytych krajów zachodnich. Myśl o tym nie jest nieprzyjemna. Oglądanie ludzi, którzy nie wiedzą nic i wszystkiego muszą się dopiero nauczyć, dostarcza na pewno chwil słodczy. Gospodyni wie, że klatka, w którą złapała się mysz, nie jest szczególnie miłym miejscem pobytu. Na razie jednak obywatele krajów zdobytych nie będą wiele rozumieli z

tej nowej sytuacji. Dźwięki orkiestr, łopot narodowych sztandarów, pierwsze zapowiedzi dawno oczekiwanych reform wprowadzą ich w stan podniecenia. Tylko on, świadek, będzie jak bóstwo sięgał w przyszłość, która będzie twarda, bo musi taka być, bo takie są prawa Historii.

W epilogu powieści Witkiewicza bohaterowie, którzy poszli na służbę murti-bingizmu, stają się schizofrenika-mi. Również w tym rzeczywistość jest zgodna z jego fantazją. Można zdobyć się na "przełom" i funkcjonować doskonale, i pisać czy malować jak trzeba, ale w głębi istnieją ciągle jeszcze dawne miary moralne i estetyczne, a tak powstaje rozdwojenie. To rozdwojenie jest powodem wielu trudności codziennego życia. Tropienie niewłaściwych myśli i odchyłeń jest dzięki niemu ułatwione, bo murti-bingista z wielką przenikliwością wczuwa się w swego przeciwnika. Jest w nim równocześnie nowa faza i dawna faza, co razem czyni zeń doświadczonego psychologa i stróża myśli jego braci o zręczności większej niż spryt dawnych poczciwych kryminalnych detektywów.

Można się spodziewać, że młode pokolenie, wychowane już od początku w nowym ustroju, pozbędzie się rozdwojenia. Nie da się jednak tego przeprowadzić prędko. Trzeba by się było całkowicie uporać z Kościołem, co jak wiadomo nie należy do zadań prostych i wymaga wiele cierpliwości i taktu. A nawet przy całkowitym wyeliminowaniu tej poważnej ostoji irracjonalnych odruchów pozostają literatury narodowe, które, rozważając rzecz chłodno, wywierają wpływ szkodliwy. Na przykład utwory najwybitniejszych polskich poetów są nacechowane niechęcią do Rosji, a dawka katolickiego filozofowania, jaką można w nich znaleźć, jest niepokojąca. Niektórych z tych poetów państwo musi drukować i rozpowszechniać w szkołach, bo są to klasycy, uważa się ich za twórców literackiego języka i za zwiastunów rewolucji. Umieścić ich na indeksie znaczyłoby myśleć niedialektycznie i wpaść w grzech lewactwa.

Dylemat jest trudny, znacznie trudniejszy niż w Centrum, gdzie identyfikacja kultury narodowej z interesem ludzkości zrobiła tak duże postępy (i gdzie również są kłopoty, bo młodzież wbrew rozsądnym perswazjom poszukuje książek Dostojewskiego). Prawdopodobnie więc typ schizofrenika nie zaginie w najbliższej przyszłości.

Ktoś mógłby powiedzieć, że lekarstwo, jakie stosuje Murti-Bing, jest sprzeczne z naturą ludzką. Nie byłby to zbyt mocny argument. Składanie masowych ofiar ludzkich bóstwu przez Azteków czy kaleczenie własnego ciała przez eremitów w pierwszych wiekach chrześcijaństwa nie wydaje się nam godne pochwały, a jednak praktykowano to przez długi czas i z powodzeniem. Siłą motoryczną nowoczesnych społeczeństw stał się kult, który w szaleństwie nie ustępuje w niczym najbrutalniejszym nakazom pierwotnej magii: kult złota. Patrząc z tej perspektywy Murti-Bing nie wykracza poza wymagania ludzkiej natury.

Czy człowiek, który przechodzi operację Murti-Binga, zyskuje wewnętrzną harmonię i pogodę, to już inna sprawa. Zyskuje harmonię w stopniu względnym, wystarczającym do działania. Lepsze to jest niż zatrucie siebie bezpłodnym buntem i nieokreśloną nadzieją. Chłopi, niepoprawni w swoich drobnomieszczkańskich przywiązaniach, twierdzą, że “musi przyjść zmiana, bo tak nie może być”. Jest to zabawna wiara w naturalny porządek rzeczy. Turysta - mówi anegdota - chciał iść w góry, a deszcz padał od tygodnia. Przechodząc nad potokiem spotkał górala i zapytał go, czy będzie dalej lało. Góral spojrzał na wezbrany potok i zaopiniował, że nie będzie. Zapytany, na czym się opiera w tej przepowiedni, odpowiedział: “A boby się przelało.” Murti-Bing pozwala spojrzeć na podobne magiczne przesady jako na pozostałości minionego okresu. “Nowe” zmagają się ze “starym”, a “stare” nie może być od razu usunięte.

Co zdaje się przeczyć doskonałości Murti-Binga, to apatia, jaka zaległa się w ludziach i trwa równocześnie z ich gorączkową działalnością. Jest ona trudna do zdefiniowania i chwilami można przypuścić, że dostrzeżenie jej jest złudzeniem. Ostatecznie ludzie poruszają się, pracują, chodzą do teatrów, oklaskują mówców, wyjeżdżają na wycieczki, kochają się, mają dzieci. A jednak jest coś nieuchwytnego w atmosferze takich stolic demokracji ludowej, jak Warszawa czy Praga. Fluid zbiorowy, który powstaje z wymiany i sumowania fluidów poszczególnych, jest zły. Jest to aura siły i nieszczęścia, wewnętrznego paraliżu i zewnętrznej ruchliwości. Jakichkolwiek używałoby się słów na jej nazwanie, pewne jest, że gdyby Piekło zapewniało swoim lokatorom wytworne mieszkania, piękne stroje, lepsze jedło i wszelkie rozrywki, ale kazało im stale smakować podobnej aury, już to byłoby dostateczną karą. Żadna propaganda - ani pro, ani kontra - nie potrafi uchwycić istoty równie nieprzyswajalnego i mało znanego z przeszłości fenomenu. Wymyka się on wszelkim rachubom. Nie może istnieć na papierze. Przyznając w przyciszonej rozmowie, że coś takiego jednak jest, trzeba szukać racjonalnego wytłumaczenia: to zapewne “stare”, uciśnione i strachliwe, mści się w ten sposób, wypuszczając czarny płyn jak zraniona mątwą. Ależ budownictwo socjalistyczne, ależ rozpęd ku pomyślnej przyszłości, która jest zagwarantowana, czy nie powinny okazać się dość silne, aby truciznę zrównoważyć? Zapewne jest jeszcze na to za wcześnie. Kiedy wyrośnie młode pokolenie, wolne od obciążeń i trucizn “starego”, wszystko się zmieni. Tylko że kto oglądał młode pokolenie tam, w Centrum, nie jest zbyt skłonny do stawiania takich horoskopów. Więc należy przesunąć nadzieję w odległą przyszłość, kiedy tam, w Centrum i wszędzie, państwo dostarczy każdemu lodówek i motocyklów, białego chleba i dużych porcji masła. Wtedy wreszcie będą zadowoleni.

Dlaczego kiedy wszystko jest logiczne, równanie wypada inaczej niż powinno? Czy do tak klasycznego materiału, jakim jest człowiek, trzeba aż nieeuklidesowej geometrii, a zwyczajna nie wystarczy? Co za utrapienie. Czego, do diabła, potrzebuje człowiek?

II - ZACHÓD

“Czy Amerykanie naprawdę są tak okropnie głupi?” - zapytywał mnie ktoś z przyjaciół w Warszawie, a w głosie jego była rozpacz i oczekiwanie, że zaprzeczę. To pytanie przedstawia dość wiernie stosunek ludzi w demokracjach ludowych do Zachodu. Jest to całkowite niemal zwątpienie z resztką nadziei.

Powodów politycznych do zwątpienia Zachód dał ilość zupełnie wystarczającą w ciągu ostatnich lat. W wypadku jednak intelektualistów w grę wchodzi również inne, bardziej skomplikowane powody. Zanim kraje Europy Środkowej i Wschodniej weszły w skład Imperium, przeżyły drugą wojnę światową, a przebieg jej był tam bez porównania bardziej ostry niż w Europie Zachodniej. Wojna nie tylko zniszczyła gospodarkę tych krajów. Dokonała on obalenia wielu wartości, które dotychczas uchodziły za niewzruszalne.

Człowiek ma na ogół skłonność do uważania porządku, w którym żyje, za naturalny. Domy, które ogląda idąc do pracy, przedstawiają mu się bardziej jako skały wyłonione przez samą ziemię niż jako dzieło umysłów i rąk ludzkich. Czynności, jakie wykonuje w swojej firmie czy biurze, ocenia jako ważne i stanowiące o harmonijnym funkcjonowaniu świata. Strój, jaki nosi on i jego otoczenie, jest jego zdaniem taki, jaki powinien być, i myśl, że i on, i jego znajomi mogliby równie dobrze nosić rzymskie tuniki czy średniowieczne zbroje, pobudza go do śmiechu. Pozycja społeczna ministra czy dyrektora banku wydaje mu się czymś poważnym i godnym zazdrości, a posiadanie znacznej ilości pieniędzy gwarancją spokoju i bezpieczeństwa. Nie wierzy, że na dobrze mu znanej ulicy, na której śpią koty i bawią się dzieci, może pojawić się jeździec z lassem, który będzie łapał przechodniów i włókł ich do rzeźni, gdzie natychmiast zostaną zabici i powieszani na hakach. Przyzwyczajony też jest zaspokajać te swoje potrzeby fizjologiczne, które uchodzą za intymne, w sposób możliwie dyskretny, z dala od oczu ludzkich, nie zastanawiając się wiele nad tym obyczajem właściwym nie wszystkim bynajmniej zbiorowiskom. Jednym słowem zachowuje się trochę jak Chaplin w “Gorączce złota”, który krzątając się po swojej chacie nie podejrzewa, że wisi ona na skraju przepaści.

Już jednak pierwsza wędrownica ulicą, której chodniki pokrywa gruba warstwa szkła z rozbitych przez bomby szyb, a jezdnią wiatr niesie papiery z biur wyewakuowanych w panice, podrywa jego zaufanie do rzekomej naturalności jego dotychczasowych przyzwyczajzeń. Jak lecą te papiery z tak wielką ilością pieczętek, z napisem “poufne”, “ściśle tajne”! Ileż sejfów, kluczy, ile mięsistych dyrektorskich podbródków, konferencyj, woźnych, cygar, panienek w napięciu stukających na maszynach! A tu wiatr goni te papiery ulicą, każdy może je podnieść i przeczytać,

ale nikt nie ma na to ochoty, są pilniejsze sprawy, na przykład zdobycie kilograma chleba. I nic, świat dalej trwa. Jak dziwnie. Człowiek idzie dalej ulicą i zatrzymuje się przed domem przepołowionym przez bombę. Prywatność ludzkich mieszkań, ich rodzinne zapachy, ich ciepło pszczelego plastra, ich meble przechowują pamięć miłości i nienawiści! A teraz wszystko na wierzchu, dom ukazuje swoją strukturę, nie jest to skała trwająca od wieków: tynk, wapno, cegła, szalowania, a na trzecim piętrze samotna i przydatna chyba tylko dla aniołów biała wanna, z której deszcz wypłucze wspomnienie o tych, co się w niej kiedyś kąpali. Ludzie niedawno jeszcze możni i uwielbiani stracili wszystko, co mieli, idą polami i proszą chłopca o garstkę kartofli. Pieniądze zmieniają wartość z dnia na dzień - stają się stosem bezsensownych zadrukowanych prostokątów. Na kupie dymiących gruzów siedzi mały chłopczyk i dłubiąc w zgliszczach prętem z drutu wtóruje sobie w tej zabawie pieśnią o wielkim wodzu, który jest tak dzielny, że nie pozwoli wrogowi nawet zbliżyć się do granicy. Pieśń jeszcze została, ale wódz w ciągu niewielu dni stał się przeszłością.

Później trzeba nabyć nowe przyzwyczajenia. Natykając się wieczorem na trupa na chodniku obywatel dawniej pobiegłby do telefonu, zebraliby się wielu gapiów, byłyby wymieniane uwagi i komentarze. Teraz wie, że trzeba szybko minąć tę kukłę leżącą w ciemnej kałuży i nie zadawać niepotrzebnych pytań. Ten, co go zastrzelił, musiał mieć jakieś swoje racje. Wyrok podziemny zapada przeważnie bez wysłuchania oskarżonego.

W normalnym mieście europejskim nie rozkazuje się ludności, aby przestudiowała plan miasta sprawdzając, czy każdy mieszka we właściwej dla niego dzielnicy. Dlaczegożby nie? Dzielnica A jest dla jednej rasy, dzielnica B jest dla drugiej rasy, dzielnica C - dla trzeciej rasy. Jest wyznaczony termin przenosin i ulice zapełniają się długimi rzędami wozów transportowych, ręcznych wózków, taczek, ludzi dźwigających toboły, łóżka, szafy, garnki, klatki z kanarkami. Aż wreszcie każdy mieszka w swojej dzielnicy, to nic, że w niektórych dzielnicach dom, który miał dwustu mieszkańców, musi teraz pomieścić dwa tysiące. Teraz dokoła dzielnicy C buduje się wysokie mury, zamyka się bramy i w ciągu wielu miesięcy ładuje się codziennie nową porcję mężczyzn, kobiet i dzieci w bydłące wagony, które ich zawożą do specjalnie zbudowanej fabryki, tam ludzkie transporty są trute naukową metodą, a ich ciała spalane w ogromnych krematoriach.

A oto pojawia się i jeździec z lassem. Jest to "buda", czyli kryty brezentem, ciężarowy samochód, który czeka za rogiem ulicy. Przechodzień, który nieświadomy niebezpieczeństwa mija ten róg ulicy, nagle natyka się na wycelowaną w niego lufę, podnosi ręce do góry i wepchnięty zostaje do samochodu; odtąd jest stracony dla swoich najbliższych. Będzie więźniem obozów koncentracyjnych albo zostanie ustawiony pod murem, z ustami zaklejonymi plastrem, aby nie wznosił antypaństwowych okrzyków, i zastrzelony, co powinno mieć zbawienny wpływ na ludność miasta i skłaniać ją do posłuszeństwa. Aby uniknąć podobnego losu, najlepiej byłoby nie

wychodzić z domu. Ojciec rodziny powinien jednak wyjść z domu, bo musi jakoś zarobić na chleb i zupę dla żony i dzieci. Co wieczora rodzina martwi się: wróci czy nie wróci. A ponieważ trwa to latami, wszyscy stopniowo przyzwyczajają się uważać miasto za dżunglę, a los człowieka dwudziestego wieku za taki sam jak los człowieka jaskiniowego, przebywającego wśród potężniejszych od niego potworów.

Dotychczas uchodziło za pewne, że człowiek przez całe życie nosi to samo imię i nazwisko. Teraz jednak okazuje się, że z różnych względów wskazane jest zmienić imię i nazwisko i nauczyć się na pamięć swojej nowej biografii. Przyzwyczajanie usuwa dawne imię i nazwisko w cień, aż nabywa się nową osobowość. Kiedy żony są bez mężów, z którymi nie wiadomo co się stało, a mężowie bez żon, i kiedy ludzie noszą inne niż przed wojną nazwiska, trudno bawić się w akty stanu cywilnego. Wstąpienie w związki małżeńskie jest to po prostu zamieszkanie razem i ta forma ślubu, poprzednio raczej lekceważona, zyskuje społeczne uznanie.

Napady bandyckie uważane były kiedyś za przestępstwo. Teraz ci, którzy dokonali napadu na bank, zyskują tytuł bohaterów, bo zrabowane pieniądze zasilą kasę organizacji podziemnej. Są to zwykle młodzi chłopcy o wyglądzie matczynych pieszczołów. Zabicie człowieka nie jest dla nich bynajmniej skomplikowanym moralnym problemem.

Bliskość śmierci niszczy hamulec wstydu. Mężczyźni i kobiety, kiedy wiedzą, że data ich śmierci została zapisana w notatniku przez zażywnego osobnika z pejczem i pistoletem, który decyduje o ich losie, spółkują na widoku publicznym, na małej przestrzeni otoczonej drutami, która jest ich ostatnim pomieszczeniem ziemskim. Osiemnastoletni chłopcy i dziewczęta przed wyjściem na pozycje na barykadzie, gdzie będą walczyć z pistoletami i bańkami z benzyną przeciwko czołgom, chcą skorzystać ze swojej młodości, która nie będzie miała prawdopodobnie dalszego ciągu w wieku dojrzałym i nie troszczą się o przyzwoitość istniejącą w innym odległym od ich czasów wymiarze.

Który świat jest "naturalny"? Czy ten sprzed wojny, czy wojenny? Oba są naturalne - sędzi człowiek, jeżeli oba dane mu było poznać. Nie ma instytucji, nie ma obyczaju i przyzwyczajenia, które by nie mogły ulec zmianie. Wszystko, czym żyją ludzie, jest darem formacji historycznej, w jakiej się znaleźli. Płynność i ciągła przemiana są cechą zjawisk, a człowiek jest istotą plastyczną i można sobie wyobrazić dzień, w którym cechą szanującego się obywatela będzie chodzenie na czworakach z rodzajem wieżyczki z kolorowych piórek, którą będzie dźwigał na tyłku.

Ludzie w krajach Zachodu, a zwłaszcza Amerykanie, wydają mu się niepoważni właśnie dlatego, że nie przeszli przez doświadczenia, które uczą o względności ich sądów i myślowych nałogów. Ich brak wyobraźni jest zaiste przerażający. Ponieważ urodzili się i wychowali w pewnym porządku społecznym i pewnym systemie wartości, sądzą, że inny porządek musi być

“nienaturalny” i że nie zdoła się on utrzymać jako przeciwny ludzkiej naturze. A jednak i ich może osiągnąć ogień, głód i miecz. Co więcej prawdopodobnie to nastąpi, ponieważ w życiu ludzkości działa zasada naczyń połączonych: trudno uwierzyć, że kiedy jedna część kuli ziemskiej przeżywa wielkie klęski, druga połowa ma kontynuować styl życia dziewiętnastego wieku i o cierpieniach swoich odległych bliźnich dowiadywać się tylko z kina i gazet. Przykłady ucza, że tak nie bywa. Mieszkaniec Warszawy czy Budapesztu też oglądał kiedyś bombardowania Hiszpanii czy płonący Szanghaj w kinie. Aż wkrótce potem przekonał się, jak wyglądają takie i wiele innych zabiegów w praktyce. O NKWD czytał ponure historie, aż okazało się, że sam musi mieć z nim do czynienia. Jeżeli cokolwiek gdzieś jest, będzie wszędzie - taki wniosek wysuwa ze swoich obserwacji i chwilowa pomyślność Ameryki nie budzi w nim szczególnego zaufania. Uważa, że zdarzenia lat 1933-1945 w Europie są zapowiedzią rzeczy, jakie zdarzą się gdzie indziej, a świadomość Europejczyków wschodnich jest z takiego punktu widzenia bez porównania bardziej zaawansowana w rozumieniu zdarzeń współczesnych niż mieszkańców państw, które niczego szczególnego nie doznały.

Myśli socjologicznie i historycznie, a ten sposób myślenia jest w nim głęboko zakorzeniony, bo nauczył się go w bardzo uciążliwej szkole, w której za niewiedzę groził nie zły stopień, a utrata życia. Jest dlatego szczególnie podatny na teorie, które przewidują gwałtowne zmiany w krajach Zachodu; przecież nie ma racji, aby tam trwało to, co gdzie indziej przestało trwać.

Jedynym systemem myślenia, jaki jest mu dostępny, jest materializm dialektyczny, a ma on dla niego dużą siłę atrakcyjną, bo przemawia zrozumiałym dla jego doświadczeń językiem. Żądny porządek “naturalny” w krajach Zachodu jest skazany, według materializmu dialektycznego (w ujęciu stalinowskim), na nagłą katastrofę wskutek kryzysu. Tam gdzie powstaje kryzys, klasy panujące uciekają się do faszyzmu jako środka przeciwko rewolucji proletariatu. Faszyzm oznacza wojnę, komory gazowe i krematoria. Wprawdzie przewidywany kryzys w Ameryce, w momencie demobilizacji, nie nastąpił, wprawdzie Anglia wprowadziła u siebie ubezpieczenia socjalne i socjalizację medycyny w stopniu nigdzie dotychczas jeszcze nie spotykanym, a przy powstaniu hysterii antykomunistycznej w Stanach Zjednoczonych poważną rolę odegrał strach przed innym mocarstwem - jednak są to tylko modyfikacje sprawdzające się poza tym wzoru. Jeżeli świat jest podzielony pomiędzy faszyzm i komunizm, oczywiście faszyzm musi przegrać, ponieważ jest to ostatnia, rozpaczliwa deska ratunku .burżuazji, metoda rządzenia, która polega na demagogii, co w praktyce prowadzi do wysuwania na naczelne stanowiska ludzi nieodpowiedzialnych. W chwilach decydujących ludzie ci robią głupstwa (jak na przykład polityka okrucieństwa wobec ludności zastosowana przez Hitlera na Wschodzie czy wepchnięcie Włoch do wojny przez Mussoliniego).

Rozumując tak człowiek, o którym mowa, nie musi być bynajmniej stalinistą. Przeciwnie, znając wątpliwe dobrodziejstwa systemu wypracowanego w Centrum, chętnie widziałby olbrzymi meteoryt, który zmiotłby z powierzchni ziemi przyczynę jego męczarni. Jest jednak tylko człowiekiem, waży szansę i wie, że źle jest umieszczać się po stronie wskazanej przez istotę, która w jego stuleciu zajęła miejsce boskie, to jest Historię. Propaganda, której jest poddany, wszelkimi środkami stara się utwierdzić go w przekonaniu, że nazizm i amerykańizm są to zjawiska identyczne, bo wyrastające na bazie tych samych gospodarczych stosunków. Wierzy tej propagandzie w stopniu nie o wiele mniejszym niż przeciętny Amerykanin swoim dziennikarzem, którzy go zapewniają, że hitleryzm i stalinizm niczym się nie różnią.

Jeżeli nasz człowiek znajduje się nawet na dość wysokim szczeblu hierarchii i ma dostęp do informacji, słabo orientuje się jednak w sile i słabości Zachodu. Instrument optyczny, którego używa, jest tak skonstruowany, że ogarnia tylko pewne z góry przewidziane pola widzenia. Patrząc wewnątrz znajduje potwierdzenie tego, co spodziewał się zobaczyć (podobnie raporty dyplomatyczne, jakie otrzymują rządzący, identyfikują zasięg instrumentu Metody z rzeczywistością). Na przykład przyzwyczajony do życia w systemach, w których prawo nie istnieje, to znaczy jest tylko narzędziem w rękach Partii, a jedynym kryterium jest efektywność działania, z trudnością wyobraża sobie ustrój, w którym każdy obywatel, największy i najmniejszy, czuje się związany przepisami prawa. Przepisy te mogły być wprowadzone, by chronić interesy uprzywilejowanych grup, ale trwają, chociażby nawet interesy się zmieniły, i zastąpienie ich innymi przepisami nie jest bynajmniej łatwe. Każdy obywatel tkwi w sieci ustaw sięgających datami ich powstania daleko wstecz. Jest to bardzo uciążliwe, mechanizm życia zbiorowego jest ociążliwy i ci, którzy chcieliby naprawdę działać, szamoczą się bezradnie. Stąd niezrozumiałe dla mieszkańców Europy Środkowej i Wschodniej zwłoki, absurdałne decyzje, kampanie polityczne obliczone na nastroje wyborców, demagogia, wzajemne licytacje. Równocześnie daje to jednak ochronę obywatelowi: złapanie na ulicy osobnika, który nie podoba się rządzącym, wsadzenie go do "budy" i wywiezienie do obozu koncentracyjnego jest oczywiście rozwiązaniem znakomitym, ale trudnym do zastosowania tam, gdzie za przestępcę uważa się tylko człowieka, który popełnił czyn wyraźnie wymieniony jako karalny, w tym i w tym paragrafie. Kodeksy karne nazistowski i sowiecki są natomiast całkowicie zgodne w zacieraniu granicy pomiędzy czynem karalnym i niekaralnym: pierwszy - przez określenie przestępstwa jako wszelkiego czynu zwróconego przeciwko interesom narodu niemieckiego, drugi - jako wszelkiego czynu zwróconego przeciwko interesom dyktatury proletariatu. Tak więc to, co nazywa się "bezdusznym burżuazyjnym formalizmem", dostarcza niejaki gwarancji, że ojciec rodziny nie przejedzie się, zamiast wrócić do domu na kolację, w rejony, w których białym niedźwiedziom jest dobrze, ale ludziom źle. Nie da się również stosować

naukowo opracowanych tortur, pod których wpływem każdy przyznaje się z równą gorliwością do popełnionych i nie popełnionych zbrodni. Propaganda stara się przekonać obywateli demokracji ludowych, że prawo na Zachodzie jest wszędzie fikcją i służy interesom klas rządzących. Być może jest to fikcja, ale dla rządzących mało wygodna. Chcąc kogoś skazać trzeba porządnie się napocić, żeby mu winę naprawdę udowodnić, adwokaci uciekają się do wszelkich możliwych kruczków prawnych, sprawa wlecze się w apelacjach, kasacjach itd. Oczywiście zdarzają się i zbrodnie pod przykrywką prawa. Dotychczas jednak prawo wiąże tam ręce zarówno rządzącym jak rządzonym, co, stosownie do uznania, można uważać za siłę albo za słabość.

Amerykanie porównują demokrację do niezdarnej tratwy, na której każdy wiosłuje w inną stronę. Jest pełno wrzasku i wzajemnych wymyślań i niełatwo zdobyć się na wiosłowanie w jednym kierunku. W zestawieniu z taką tratwą bojowa galera totalitarnego państwa przedstawia się okazale. Bywa jednak, że tam gdzie rozbija się totalitarny prędko okręt, przepływnie niezdarna tratwa.

To, co jest nowe na Zachodzie, niełatwo jest dostrzegalne dla klienta Centrum. W niektórych krajach Zachodu, w pierwszym rządzie w Stanach Zjednoczonych, zdarzyło się coś, co nie ma analogii w wiekach poprzednich: powstała tam cywilizacja ludowa, wulgarna, mogąca budzić niesmak u osób bardziej wyrafinowanych, ale zapewniająca udział w wytworach maszynowej produkcji wielomilionowym masom. To prawda, że to, co te masy cieszy, jest przeważnie blichtrzem i szychem i że okupują to one ciężką pracą. Niemniej robotnica, która za tanie pieniądze dostaje maszynowe reprodukcje modeli sukien noszonych przez gwiazdy filmowe, jeździ starym, ale swoim własnym samochodem, ogląda filmy kowbojskie, które ją bawią, i używa w swoim mieszkaniu elektrycznej lodówki - jest na pewnym poziomie cywilizacyjnym wspólnym z innymi i nie przypomina bynajmniej kołchoźnicy spod Kurska, której prawnuczka, w najlepszym wypadku, mogłaby zbliżyć się do podobnej przeciętności. "Głupota" mas amerykańskich, które czerpią zadowolenie z czysto materialnych korzyści nowoczesnej cywilizacji, jest niezwykle irytująca dla intelektualisty. Wychowany w kraju, w którym istniał podział na "inteligencję" i "lud", szuka on przede wszystkim idei, wytwarzanych zwykle przez inteligencję będącą zaczynem przemian rewolucyjnych. Natykając się na społeczeństwo, w którym "inteligencja", jaką znano w Europie Środkowej i Wschodniej, nie istnieje, z trudnością daje on sobie radę z równie antykonceptualnym materiałem obserwacji. "Idee", jakie tam znajduje, są wyraźnie przestarzałe i zostały daleko w tyle za rozwojem gospodarki i techniki. Czysto empiryczne i pragmatyczne rozwiązywanie trudności, niezdolność do skromnej nawet dozy abstrakcji (a przecież burżuazja, np. niemiecka, miała tę zdolność w wysokim stopniu) wprowadzają nieokreślone dane do rachunku. Jeżeli się uznaje te cechy za "opóźnienie" w stosunku do Europy, to trzeba równocześnie

powiedzieć, że “głupota” wspomagana techniką, znacznie bardziej zaawansowaną niż technika europejska, nie jest tylko źródłem słabości.

Jak dotychczas rozpęd w dokonywaniu i stosowaniu nowych wynalazków nie został zahamowany. Prymat w tym względzie należy do Zachodu. Próba dopędzenia Zachodu, zrobiona przez Japonię, skończyła się niepowodzeniem i Japonia została pobita przez pokojowe i szarpane wewnętrznymi konfliktami Stany Zjednoczone Roosevelta. Rosja, skopiowawszy z Zachodu modele samochodów i samolotów, odrzutowiec, radar, penicylinę, telewizję, bombę atomową i niemieckie łodzie podwodne, występuje teraz do wyścigu. Najmłodsze pokolenie w Europie Wschodniej, wychowywane w kulcie nauki rosyjskiej, zaczyna wierzyć, że rosyjska nauka i technika zajmują w świecie miejsce przodujące. Starsi uważają takie przypuszczenie za absurd, nie są jednak pewni, czy zważywszy niezmierzone bogactwa przyrody, gospodarkę planową i możliwość rzucenia nieograniczonych sum pieniędzy na badania i doświadczenia naukowe, Rosja nie znajduje się w punkcie zwrotnym. Przeciwno temu zdaje się przemawiać praktycyzm współczesnej nauki rosyjskiej, poddanej jednej Metodzie. Jak wiadomo największe wynalazki są dokonywane wskutek długotrwałej, bezinteresownej pracy wielu uczonych, nie przynoszącej na razie żadnych konkretnych wyników. Przeciwno temu przemawia również natrętność, z jaką propaganda przypisuje większość wynalazków Rosjanom (choć równocześnie kopiuje się technikę amerykańską, od konstrukcji mostów zaczynając, a na motorach kończąc, w najdrobniejszych szczegółach). Taki wysiłek propagandowy, posuwany często do śmieszności, nie świadczy o dobrym samopoczuciu - ani nie świadczy o dobrym samopoczuciu np. sprzedaż demokratom ludowym maszyn szwedzkich z zamalowanymi znakami - jako rosyjskich. Niemniej wysiłek propagandy, aby zwalczać rosyjski kompleks niższości i podnosić “techniczne morale”, stanowi dowód, jak wielką wagę Centrum przywiązuje do naukowego wyścigu. Kto wie, do jakich wyników może doprowadzić ta koncentracja woli. Trzeba tylko czasu.

Przyjmijmy jednak - godzi się człowiek z Europy Środkowej i Wschodniej - że w tej chwili wyższość Zachodu w dziedzinie potencjału produkcji, techniki, zastąpienia rąk ludzkich maszyną (co równa się stopniowemu zacieraniu różnicy pomiędzy pracą fizyczną i umysłową) jest niewątpliwa. Ale co dzieje się w umysłach zachodnich mas? Czy to nie jest sen duchowy, a kiedy przychodzi przebudzenie, czy stalinizm nie jest jedyną jego formą? Czy chrześcijaństwo nie cofa się tam i czy te masy nie są pozbawione jakiegokolwiek wiary? Niewątpliwie tak. Czy jest w ich umysłach pustka? Tak. Czy pustkę tę zapełnia się szowinizmem, kryminalnymi romansami i filmami bez wartości artystycznej? Tak. Więc cóż Zachód może nam ofiarować? Wolność od czegoś to dużo, ale to za mało, to o wiele mniej niż wolność ku czemuś.

Takie pytania mogą wydać się zbyt zasadnicze, ale są stawiane. Co prawda na pytania te można odpowiedzieć innymi pytaniami. Nieliczni komuniści amerykańscy (przeważnie intelektualnie nastroszeni synowie mieszczańskich i drobnomieszczańskich rodzin) ubolewają nad nędzą duchową mas, ale nie zastanawiają się nad tym, że w Imperium, do którego tęsknią, istnieje nędza materialna i brak techniki plus stalinizm i że całkiem ciekawe byłoby przedstawić sobie dobrobyt i technikę plus stalinizm, co nie zrealizowało się nigdzie jeszcze na kuli ziemskiej. Tworzenie nowego człowieka w Imperium odbywa się pod hasłem walki z nędzą (równocześnie powodowaną i zwalczaną) i podniesienia techniki (równocześnie niszczonej i budowanej). Gdyby zabrakło tych potężnych motywów, co by się stało? Można podejrzewać, że koła wielkiej maszyny kręciłyby się w pustce. Ten etap - zrealizowanego komunizmu - jest "miejscem świętym ze świętych" dla wyznawców i nie wolno tam sięgać wzrokiem. Jest to Niebo. Nie należy próbować przeniknąć w to, co jest ponad zrozumienie. Gdyby się jednak odważyć, okazałoby się, że Niebo nie różni się wiele od Stanów Zjednoczonych w okresach pełnego zatrudnienia i że (nawet przyjąwszy złagodzenie strachu, co jest mało prawdopodobne) masy żyją życiem fizjologicznym, korzystają z materialnych osiągnięć cywilizacji, a ich rozwój natrafia na nieprzezwyciężoną przeszkodę w postaci doktryny, która widzi cel w wyzwoleniu człowieka od trosk materialnych ku czemuś, co według niej samej jest nonsensem.

Oczywiście podobne rozważania są utopijne. Jeżeli jednak nie zaprzętą za dużo komunistów na Zachodzie, nie są od nich wolni ich bracia w Imperium. Zapamiętałem czyjeś zdanie: "Nie chciałbym dożyć zrealizowanego komunizmu, bo to będzie pewnie bardzo nudne." Kiedy już będzie zakończona wielka praca wychowawcza i znienawidzona "istota metafizyczna" w człowieku ulegnie zniszczeniu, co dalej? Wątpliwe, czy naśladowanie chrześcijańskiej liturgii przez Partię i rodzaj nabożeństw odprawianych przed portretami wodzów dostarczy ludziom doskonałych satysfakcji.

Oglądanie się na Zachód w nadziei, że tam się coś rodzi, jest bardziej rozpowszechnione wśród intelektualistów na Wschodzie, niż to się wydaje Zachodowi. Nie jest to bynajmniej oglądanie się na propagandę. Coś jest to nowy genialny autor, nowa filozofia społeczna, ruch artystyczny, odkrycie naukowe, nowe zasady malarstwa czy muzyki. I znaleźć owo coś zdarza się rzadko. Ludzie na Wschodzie przyzwyczajeni już są do traktowania poważnie tylko tych objawów życia społecznego, które występują w skali organizacyjnej i masowej. W dziedzinie kulturalnej nic na Zachodzie nie przybiera takiej skali, z wyjątkiem filmów, bestsellerów i ilustrowanych magazynów. Nikt z myślących ludzi na Zachodzie nie traktuje większości tych środków masowej rozrywki poważnie, natomiast na Wschodzie per analogiam (tam wszystko ma charakter masowy) urastają one do godności jedyńskich reprezentantów "zgniłej kultury Zachodu". Wysztychać idiotyzm

licznych filmów, powieści czy artykułów jest łatwo (zarabiając przy niewielkim wysiłku honoraria i w dodatku uwalniając się przez to od znacznie przykrzejszego obowiązku pisania entuzjastycznie o Centrum), więc jest to ulubione zajęcie dziennikarzy, a wpływ, jaki tego rodzaju krytyka wywiera na publiczność, jest znaczny.

Prawdziwe życie kulturalne Zachodu jest inne. I tam jednak intelektualista wschodni natyka się na zdradliwe pozory, bo jest tam równouprawnienie epigoństwa i nowatorstwa, dekadencji i zdrowia, reklamowanego beztalencia i półgębkiem wspomianej wielkości. Prądy, które zna ze swoich przedwojennych podróży na Zachód, nadal trwają i budzą jego oburzenie jako etap, który sam przezwyciężył. Ale one to przede wszystkim narzucają się jego uwadze, nie zjawiska nowe, z trudem kiełkujące w lesie spróchniałych drzew.

Najpoważniejszym zarzutem wysuwany przeciwko wartościom kulturalnym Zachodu jest ich elitarność i niedostępność dla mas. Zarzut ten jest słuszny. Poezja, malarstwo czy nawet muzyka, zamykając się w wieżach z kości słoniowej, wpadają w rozliczne choroby stylu. Równocześnie jednak ich związek z życiem codziennym ludzi jest znacznie bardziej ściśle, niż wydaje się to powierzchownym obserwatorom. Na przykład nowatorskie malarstwo, "trudne", "niezrozumiałe", trafia natychmiast do wielkiej liczby odbiorców, bo wpływa na styl reklamy, na mody kobiece, na dekoracje teatralne, na zdobnictwo wnętrz, a co może najważniejsze - na kształt powszechnie używanych maszyn. W porównaniu z tym styl "sowiecki empire", polegający na malowaniu wielkich płócien, na których widać dygnitarzy w różnych grupach i pozach, jest całkowicie oderwany od życia. Zniszczywszy eksperyment w sztuce, Centrum skazało się w dziedzinie sztuk stosowanych (jeżeli o ich istnieniu tam można w ogóle mówić) na nieudolną imitację sztuk stosowanych Zachodu, które są stale odnawiane dzięki eksperymentom malarstwa sztalugowego. Heroiczne wysiłki Czechów i Polaków, aby ocalić własne sztuki stosowane przez sięgnięcie do wzorów ludowych, są prawdopodobnie skazane na niepowodzenie, bo istnieje współzależność mebla, tkaniny na ścianę czy materiału na suknie kobiece z malarstwem i rzeźbą. Kiedy w malarstwie i rzeźbie obowiązuje kult brzydoty, a wszelka śmiałość uchodzi za formalizm, sztuki stosowane, odcięte od swoich źródeł, skazane są na jałowość.

Wielobarwna sceneria, na której rozgrywa się życie krajów Zachodu, poddana jest prawu osmozy. Przeciętny obywatel tych krajów nie zdaje sobie sprawy z tego, że jakiś malarz na poddaszu albo autor niezrozumiałych wierszy czy lekceważony muzyk są czarodziejami nadającymi formę wszystkiemu, co sam w życiu ceni. Nie myślą o tym również rządzący, którym szkoda czasu na podobne drobiazgi. System gospodarczy, pozbawiony planowania, uniemożliwia przyście z pomocą ludziom pracującym w różnych kulturalnych dziedzinach. Goniąc bezinteresownie za własną chimera, ludzie ci zdychają nieraz z głodu, podczas gdy tuż obok bogaci

kretyni nie wiedzą, co zrobić z pieniędzmi i zużywają je tak, jak im doradza ich przyćmiony rozum. Taki porządek rzeczy oburza człowieka ze Wschodu. W jego kraju każdy, kto okaże jakie takie zdolności, jest użyty. W krajach Zachodu ktoś o tych samych zdolnościach ma znikome szansę. Rozrzutność w gospodarce talentami jest wręcz przygnębiająca, a nieliczni, którym udaje się zdobyć uznanie, zawdzięczają to niekoniecznie swoim zawodowym zaletom, bardzo często po prostu przypadkowi. Odpowiednikiem tego marnotrawstwa jest w krajach Nowej Wiary przyjęcie umiejętności dostosowania się do linii politycznej jako kryterium selekcji, dzięki czemu do zaszczytów najłatwiej dochodzą miernoty. Mimo to artysta i uczoney łatwiej w tych krajach daje sobie radę niż jego kolega na Zachodzie. Chociaż nacisk Metody jest uciążliwy, rekompensaty materialne nie są do pogardzenia. Wielu muzyków, malarzy i pisarzy, którzy mieli okazję przedostać się na Zachód, nie uczyniło tego, bo lepiej jest tak czy inaczej komponować, malować i pisać niż pracować w fabryce czy uczyć i na uprawianie swego istotnego fachu nie mieć już czasu ani siły. Wielu z tych, co byli za granicą, wróciło do swoich krajów głównie z tego właśnie powodu. Strach przed bezwzględnością, z jaką system gospodarczy Zachodu odnosi się do pracowników nauki i sztuki, jest bardzo rozpowszechniony wśród intelektualistów wschodnich. Lepiej jest mieć do czynienia z inteligentnym diabłem niż z dobrodusznym bęcwałem - powiadają. Inteligentny diabeł rozumie wzajemny interes i pozwala żyć z pióra, z dłuta czy pędzla, dbając o swoich klientów i wymagając. Dobroduszny bęcwał nie rozumie wzajemnego interesu, niczego nie daje i niczego nie wymaga, co w praktyce równa się uprzejmemu okrucieństwu. Że podstawowe środki produkcji powinny należeć do państwa, które ustala plany gospodarcze i zużytkowuje dochód na cele higieny, oświaty, nauki i sztuki - wydaje się ludziom Wschodu pewnikiem i naiwnością byłoby szukać wśród nich zwolenników kapitalizmu. Coś, czego szukają na Zachodzie, to nie są na pewno odgrzewane hasła Rewolucji Francuskiej czy amerykańskiej Wojny Niepodległościowej. Na argument, że fabryki i kopalnie powinny należeć do prywatnych osób, odpowiedzą kpina. Poszukiwanie czegoś wynika z mniej czy bardziej jasnego zrozumienia faktu, że Nowa Wiara niezdolna jest zaspokoić duchowe potrzeby ludzkie, a jej próby w tym kierunku z nieubłaganą prawidłowością zmieniają się w karykaturę. Gdyby ich przycisnąć do muru i zmusić do sformułowania, czego chcą, odpowiedzieliby zapewne, że chcą systemu, w którym gospodarka byłaby socjalistyczna, ale człowiek nie musiałby miotać się bezradnie w wężowym uścisku Metody. Wyglądają więc jakichś oznak, które by świadczyły, że prawdziwe wartości kulturalne mogą powstać poza Metodą. Powinny to jednak być wartości trwałe, na miarę jutra, a więc nie takie, które wynikają ze świadomości przestarzałej, bo gdyby takie tylko istniały, byłoby to triumfem i potwierdzeniem Metody. Ludzie w krajach Nowej Wiary wiedzą, że tylko na Zachodzie mogą powstać dzieła stanowiące załączek przyszłej nadziei. Kto wie, czy w pracowniach samotnych

myślicieli nie są już dokonywane odkrycia o wadze nie mniejszej niż praca Darwina czy Marksa, równie samotnych w swojej epoce. Tylko jak do tego dotrzeć?

Intelektualista wschodni jest szczególnie surowym sędzią wszystkiego, co przenika doń z Zachodu. Wiele razy zawiódł się i nie chce zbyt tanich pocieszeń, które zostawiają później tym większe przygnębienie. Wojna uczyniła go przenikliwym w demaskowaniu złudnych pozorów i podejrzliwym. Wiele książek, które lubił przed wojną, wiele kierunków w malarstwie i muzyce odrzucił, bo nie wytrzymały próby. Gdyż dzieło ludzkiej myśli powinno wytrzymać próbę brutalnej, nagiej rzeczywistości. Jeżeli nie zdoła wytrzymać, nie jest nic warte. Prawdopodobnie to tylko jest naprawdę coś warte, co zdolne jest istnieć dla człowieka w chwili, kiedy jest zagrożony natychmiastową śmiercią.

Ktoś leży pod ogniem karabinów maszynowych na ulicy miasta, w którym toczą się zacięte walki. Przygląda się brukowi i obserwuje zabawne widowisko: kostki bruku zjeżdżają się jak kolce jeża - to kule uderzając o ich krawędzie poruszają je z miejsca i nadają im pozycję ukośną. Taki moment osądza w świadomości człowieka poetów i filozofów. Być może jakiś poeta był uwielbiany przez publiczność literackich kawiarni i kiedy wchodził tam, kierowano na niego spojrzenia pełne ciekawości i podziwu. Jego wiersze jednak, przypomniane w takim momencie, odsłaniają swoją cherlawość i ukazują wszelkie cechy rozrywki pięknoducha. Natomiast obserwacja kostek bruku jest czymś bez wątpienia realnym i poezja, która by opierała się na podobnie nagim doświadczeniu, zdolna byłaby przetrwać zwycięsko ów dzień potępienia iluzji, którymi skłonni są karmić się ludzie. W intelektualistach, którzy przeżyli "los desastros de la guerra" w Europie Wschodniej, zaszło coś, co można nazwać redukcją uczuciowych zbytków. Powieści psychoanalityczne pobudzają ich do pogardliwego rechotu. Literaturę komplikacji erotycznych, wciąż jeszcze popularną na Zachodzie, uważają za śmiecie. Malarstwo epigonów abstrakcjonizmu wywołuje w nich ziewanie. Są głodni - ale chcą chleba, a nie hors d'oeuvre'ów.

Materializm dialektyczny znajduje w nich łatwo oddźwięk, bo jest formą myślenia ziemskiego. Chętnie widzieliby literaturę i sztukę spoza kręgu Metody, ale pod warunkiem, że byłaby ona ziemska, silna i zdrowa. Gdyby tylko mogli ją znaleźć. Jest zastanawiające, że cokolwiek na Zachodzie jest dostatecznie silne na ich gust, obraca się dokoła pasjonujących ich zagadnień ustroju społecznego i wierzeń masowych: są to książki zarówno stalinistów, jak, w większym jeszcze stopniu, książki antystalinistów. Wielu z nich czytało "Ciemność w południe" Koestlera. Nieliczni zapoznali się z "1984" Orwella (ze względu na trudność dostania tej książki i niebezpieczeństwa, na jakie naraża jej posiadanie, znana jest ona tylko niektórym członkom Inner Party); Orwell zafascynował ich przez podpatrzenie szczegółów, które znają dobrze i przez formę satyry w tradycji Swifta; forma ta jest niemożliwa do praktykowania w krajach Nowej Wiary, bo

alegoria, z natury wieloznaczna, wykraczałaby poza przepisy socjalistycznego realizmu i wymagania cenzury. Również ci, którzy znają Orwella tylko ze słyszenia, dziwią się, że pisarz, który nigdy nie mieszkał w Rosji, mógł zebrać tak wiele dokładnych spostrzeżeń. Już to, że na Zachodzie są pisarze rozumiejący funkcjonowanie niezwykle złożonej maszyny, której oni sami są częścią, wydaje im się zastanawiające, zważywszy “głupotę” Zachodu.

Co ma siłę na Zachodzie, jest jednak zwykle tylko negacją. Krytyka Nowej Wiary, jaką tam się uprawia, jest często celna. Mimo to nie wskazuje ona dróg wyjścia i nic nie wprowadza na miejsce Metody. Można co prawda powiedzieć, że wprowadza żywego człowieka, który nie wstydzi się swoich myśli i ma odwagę poruszać się sam, bez tych szczudeł, jakimi są cytaty z pism autorytetów. To jednak wydaje się intelektualistom wschodnim niedostateczne. Nie zwycięża się Mesjasza argumentami rozsądnych ludzi, z których ust wychodzą słowa, a nie miecz z płomienia.

Religia chrześcijańska, ograniczona albo wręcz tępiona w krajach Nowej Wiary, ciągle wywołuje (niezdrowe) zainteresowanie. Czy jednak chrześcijanie w krajach Zachodu korzystają w należyty sposób z wolności? Wypada raczej dojść do wniosku, że nie. Religia stała się tam czymś w rodzaju pozostałości obyczajowych, których przykłady można znaleźć w folklorze różnych narodów. Co więcej, zdaje się iść ręka w rękę z polityczną reakcją. Być może, aby chrześcijaństwo zdołało się odrodzić, potrzeba ucisku - jak to wskazuje gorliwość religijna chrześcijan w demokracjach ludowych. Pytanie tylko, czy to nie jest pobożność myszy w pułapce i czy nie przyszła odrobinę za późno.

Oficjalnie wskazane jest okazywać jak największy wstręt do Zachodu. Wszystko jest tam złe: koleje nie chodzą punktualnie, w sklepach są tam pustki, bo nikt nie ma pieniędzy, przechodnie są źle ubrani, osławiona technika jest nic niewarta. Słyszac wzmiankę o nazwisku jakiegoś pisarza, malarza czy muzyka z Zachodu, należy wykrzywić twarz sarkastycznie i złożyć usta jak do splunięcia, gdyż walka z kosmopolityzmem jest jednym z podstawowych obowiązków obywatela. Kosmopolityzm jest to szacunek dla kultury Zachodu (burżuazyjnej). Termin urodził się w Moskwie i nie jest w historii Rosji niczym szczególnie nowym. Już sto lat temu carscy historycy z obrzydzeniem mówili o “zgniłym Zachodzie”. Wtedy właśnie na “zgniłym Zachodzie” działali Marks i Engels, których trzeba było później, jak i wiele innych wynalazków, z tegoż Zachodu importować. W praktyce walka z kosmopolityzmem wyraża się w demokracjach ludowych tym, że pewnych pisarzy dawnych zachodnich, którzy są uznani za “postępowych w swojej epoce”, zaleca się tłumaczyć i wydawać (np. Szekspir, Balzak, Swift), natomiast zaleca się i trzeba tłumaczyć i wydawać wszystkich pisarzy dawnych rosyjskich, z nielicznymi wyjątkami. Co do współczesnych, to należy tłumaczyć i wydawać wszystkich pisarzy rosyjskich, natomiast z zachodnich tylko tych, którzy są komunistami (w wypadkach wątpliwych informacji wydawcom dostarczają specjalne

listy proskrypcyjne autorów, opracowane w Centrum). Malarstwo zachodnie do dziewiętnastego wieku nie nasuwa zastrzeżeń, natomiast już impresjoniści francuscy, jak tego dowiedziono, wyrosli z filozofii rozkładającej się burżuazji i znacznie wyżej artystycznie stoją od nich realiści rosyjscy (“pieredwizniki”). Cała muzyka rosyjska nadaje się jako repertuar orkiestr i solistów, natomiast przy muzyce zachodniej powstają wahania już przy kompozytorach końca ubiegłego stulecia. Objawem kosmopolityzmu byłoby ułożenie repertuaru tylko z utworów zachodnich (np. Bach, Mozart, Berlioz, Verdi). Objawem zrozumienia potrzeb jest natomiast repertuar mieszany (np. Mussorgski, Czajkowski, Bach, Borodin).

Jakkolwiek równie szczegółowe przepisy przyczyniają niemało trudu redaktorom, pracownikom firm wydawniczych i wykonawcom muzycznym, „walka z kosmopolityzmem” nie jest pozbawiona racjonalnego uzasadnienia. Dlaczego ma uzasadnienie, w Centrum jest dostatecznie jasne: zbyt obszerna skala porównawcza nie przyczynia się do zdrowia moralnego obywateli. Natomiast w krajach demokracji ludowej, poddanych od stuleci wpływowi Zachodu, chodzi o zlikwidowanie nałogu: oducza się palacza od palenia odbierając mu papierosa. Istnieją pewne okoliczności, które sprawiają, że przepisowa wrogość do kosmopolityzmu nie jest aż tak uciążliwa dla intelektualistów, jak można by tego oczekiwać. W każdym razie umiemy oni siebie przekonać o względnej słuszności zaleceń Centrum w tym względzie.

Obszar, na którym powstała cywilizacja zwana europejską, pokrywał się mniej więcej z obszarem, na którym rozpowszechnia się religia przychodząca z Rzymu. Kraje, które dzisiaj stanowią zachodnie prowincje Imperium, przez wieki były wschodnimi peryferiami. Rozwój nowoczesnej Europy, z gorączkową działalnością jej ośrodków przemysłu i handlu, pogłębił różnice pomiędzy “Europą” w cudzysłowie i jej “Marchią Wschodnią”. Mieszkaniec stanu Idaho zapytany dzisiaj, co rozumie przez Europę, wymieni zapewne Francję, Holandię, Włochy, Niemcy. Dalej na wschód już nie sięga i mieszkające tam narody przedstawiają mu się jako mieszanina niezbyt godnych uwagi, zacofanych plemion. Być może mieszkaniec Idaho reprezentuje “opóźnienie historyczne”, to jest jego świadomość ulega zastarzałym przyzwyczajeniom, którym zaprzeczają już fakty. Niemniej jego poglądy są znamienne, zaważyły zresztą na posunięciach polityków amerykańskich, dla których utrata europejskiej “Wschodniej Marchii” na rzecz Rosji nie wyglądała na posunięcie mogące mieć poważne następstwa. W ciągu długiego okresu historycznego pieniądź i siła gromadziły się na zachodzie Europy, tam też wytwarzały się wzory kulturalne, rozpowszechniane później na wschodzie (np. kościoły i pałace w Polsce budowali włoscy architekci, poeci polscy z zamiłowaniem naśladowali formy francuskiego wiersza itd.). Kraje wschodniej i środkowej Europy były “ubogimi krewnymi”, terenem półkolonialnym.

Stosunek Zachodu do nich nie był pozbawiony protekcyjnego lekceważenia i nie różnił się dotychczas wiele od nieco zbyt prostoliniżnych opinii mieszkańca Idaho.

Przeciętnie wykształcony Polak, Czech czy Węgier wie dość dużo o Francji, Belgii czy Holandii. Przeciętnie wykształcony Francuz, Belg czy Holender nie wie nic o Polsce, Czechosłowacji czy Węgrzech. Intelktualista wschodni nie uważa tego stanu rzeczy za rozsądny i raczej czuje się solidarny z Rosjaninem, który ma z Zachodem zadawnione i niemiłe rachunki. Chociaż kompleks niższości Rosjanina, prowadzący do ciągłych zapewnień o własnym bezwzględnym górowaniu i do nieustannych wymagań hołdów, drażni go w najwyższym stopniu, lekceważenie okazywane przez Zachód krajom Europy Środkowej i Wschodniej wydaje mu się pochodzić ze słabej orientacji w zmianie proporcji, jaka nastąpiła w połowie dwudziestego wieku. Gdyż kraje te mają liczną ludność, wykazującą szczególne zdolności w przystosowaniu się do wymogów techniki nowoczesnego przemysłu; bogactwa naturalne; szybko rozwijający się ciężki przemysł i górnictwo; ich robotnik mało już przypomina bezradnego emigranta, który wyruszał za chlebem na Zachód, gdzie był używany do najczarniejszych prac; ich technicy i uczeni mogą z powodzeniem konkurować z ich zachodnimi kolegami; ich pisarze i muzycy nie mogą uskarżać się na brak talentów. Co więcej, z każdego punktu widzenia kraje te są bodaj ważniejszą częścią nie tylko Europy, ale całej kuli ziemskiej. Jeżeli się zakłada, że Nowa Wiara rozpowszechni się wszędzie, są one pierwszym i dlatego najciekawszym terenem eksperymentu poza Rosją. Jeżeli się zakłada, że Centrum przegra i nie zdoła narzucić światu swojej hegemonii, formy gospodarki i kultury, jakie w tych krajach powstaną, będą pasjonującym przykładem wykluwania się nowego, ponieważ nie istnieje w Historii powrót do status quo. Czyż więc nie jest usprawiedliwione hamowanie tego bałwochwalstwa dla wzorów Zachodu, które było tak powszechne wśród warstw oświeconych „Marchii Wschodniej”? Oglądane z krajów demokracji ludowej małe państwa na wybrzeżach Atlantyku są pełne wspomnień dawnej, przebrzmiałej już sławy, ale pozbawione jakiegokolwiek dynamizmu. Dlaczegożby malarstwo dzisiejszych francuskich malarzy, powstające w kraju bez dynamizmu, miało być imitowane w Pradze czy w Warszawie?

Dlaczegożby miano grać w tych miastach sztuki angielskie pisane dla zupełnie innego rodzaju publiczności? Należy oduczyć się imitacji, która była tak długo usprawiedliwiona, jak długo kapitał francuski, angielski czy belgijski inwestował w kopalnie, koleje i fabryki „Marchii Wschodniej”, pchając tam równocześnie swoje książki, filmy i mody. Trzeba stanąć na własnych nogach, tak jak na własnych nogach stanął znacjonalizowany przemysł.

Przykrość polega na tym, że wyzwoliwszy się spod zachodnich uroków literatura, nauka i sztuka „Marchii” stały się całkowicie zależne od nowej metropolii. Jeżeli dawniej imitacja była chętna i dobrowolna, to teraz nabrała mocy obowiązku. Jakiegokolwiek poszukiwanie własnych dróg

spotkałoby się z zarzutem titoizmu. Nawet sięganie do własnej przeszłości każdego z narodów “Marchii” jest tylko o tyle możliwe, o ile przeszłość ta dowodzi równoległych dróg rozwojowych danego narodu z drogami rozwojowymi narodu rosyjskiego. Folklor - oczywiście. Realistyczne sztuki teatralne dziewiętnastego wieku - oczywiście. Ale na przykład Polska posiada tradycje dramatu romantycznego, który nie nadaje się do realistycznego wystawiania. Posiada też tradycje inscenizatorskie, nazywane przez ludzi teatru “teatrem monumentalnym”. Kontynuowanie takich tradycji pachniałoby niebezpieczną herezją.

“Walka z kosmopolityzmem” jest więc w istocie niczym innym jak opóźnieniem retorty, którą napełnia się na nowo innym płynem. W przeszłości w tej retorcji wytwarzała się szczególna substancja przez wzajemne działanie na siebie pierwiastków importowanych i rodzimych. Dzisiaj pierwiastek importowany występuje w postaci znacznie bardziej czystej, bo dostateczna ilość strażników dba o zachowanie należytego szacunku dla wzorów. Niemniej “walka z kosmopolityzmem” może być, sędzi intelektualista, niezłą kuracją. Już nigdy nie wrócą zabawne czasy, kiedy polscy, czescy czy węgierscy malarze jechali do Mekki malarstwa, do Paryża, i po powrocie malowali swoją rodzinną rzekę najzupełniej podobną do Sekwany, choć nie była naprawdę wcale podobna.

“Zgniły Zachód “ był w ubiegłym stuleciu potępiany przez rosyjskich patriotycznych historyków, ponieważ był liberalny i idee stamtąd przenikające zagrażały rządowi autokratycznemu. Nie tylko zresztą w oczach tych obrońców tronu nie znajdował łaski. Wystarczy przeczytać rozprawę Lwa Tołstojego “Co to jest sztuka”, aby uzyskać obraz tej pogardy dla zachodniego przesubtelnienia (“utonczenia”), tak typowej dla Rosjan. Tołstoj uważa sztuki Szekspira za zbiór krwawych bredni, a malarstwo francuskie (był to okres rozkwitu impresjonizmu) za bohomyzydegeneratów. Po rewolucji nietrudno było rozwinąć te uprzedzenia, do których dodany został spory zasób argumentów: Rosja znów miała zupełnie inny ustrój niż Zachód. Czy jednak ta podejrzliwość wobec Zachodu nie stanowiła zawsze wielkiej siły Rosji i czy nawet carscy historycy nie pracowali pośrednio dla rewolucji kultywując u Rosjan pewność siebie i wiarę w szczególne powołanie narodu? Przyglądanie się Zachodowi z ukosa i z drwiną nie okazało się złą zaprawą. Dzięki niej powstał typ człowieka ziemskiego, surowego, nie cofającego się przed żadną konsekwencją, w przeciwieństwie do człowieka Zachodu, na którym zbyt ciężka przeszłość pętająca wszelkie śmielsze kroki siecią praw, wierzeń i przywiązań etycznych. Świadomi swej utajonej dotychczas siły “Scytowie”, jak nazwał swój naród poeta rosyjski Błok, rozpoczęli wreszcie pochód, a ich sukcesy utwierdziły w nich przekonanie, że ich pogarda dla Zachodu nie była bez podstaw. Naśladowanie tej rosyjskiej pewności siebie i wyzwolenie się z papuzich nałogów byłoby więc wskazane również dla narodów mieszkających pomiędzy Bałtykiem i Morzem Śródziemnym.

Intelektualista rozumie oczywiście, że tępiącym typem kosmopolity jest on sam, gdyż ogląda się on na Zachód oczekując stamtąd czegoś. Nie znaczy to jednak, że ubolewa szczególnie nad zakazami usuwającymi z jego kraju małowartościowe bulwarowe sztuki paryskie czy kryminalne powieści. A również wiele zjawisk kulturalnych, podniecających “elitę” w krajach Zachodu, budzi w nim niechęć. Zapytany, czy należałoby wystawić w jego ojczyźnie “Coctail-party” T. S. Eliota, odpowiedziałby stanowczo, że nie, chociaż “Ziemie jałową” tegoż autora może uważać za interesujące dzieło poetyckie. Nabytkiem, którego ludzie w Europie Środkowej i Wschodniej już się nigdy nie zechcą wyrzec, jest poczucie odpowiedzialności za to, co otrzymuje od wydawcy czy teatru publiczność: jeżeli uważa się na przykład jakąś sztukę za złą, nie należy jej pokazywać, choćby nawet mogła liczyć na powodzenie i zasilać kasę teatru (wyobraźcie sobie robotników Pragi czy Warszawy oglądających snobistyczną “Coctail-party” T. S. Eliota). Natomiast zakaz wykonywania “Święta wiosny” Strawirskiego i kształcenie smaku odbiorców na Czajkowskim jest zbyt oczywistym absurdem, aby nie wywoływał on gorzkich uśmiechów. Kosmopolityzm więc postaci, którą opisuję, jest bardzo umiarkowany. Przeprowadza ona rozróżnienie pomiędzy tym, co na Zachodzie jest godne szacunku i tym, co zawdzięcza sukces podejrzanej reklamie, apelującej do smaku wątpliwej wartości “elit”.

Wyższość malarstwa rosyjskich realistycznych “pieredwiżników” nad francuskim impresjonizmem została w Moskwie udowodniona. Niestety malarstwo ma to do siebie, że przy jego ocenie oko widza też ma coś do powiedzenia i najbardziej uczone argumenty nie potrafią zmienić brzydkiego płótna w dzieło wielkiej sztuki. Co jest godne ubolewania. Na każdym kroku, czy to w dziedzinie estetycznej, czy etycznej, natykamy się na ten opór, jaki dziwaczność człowieka stawia mądrej teorii. Że dziecko, jeżeli jest odpowiednio wychowane, powinno donosić na swego ojca, kiedy zauważy, że jego postępowanie jest szkodliwe dla budowy socjalizmu (od której powodzenia zależy szczęście całej ludzkości) - wydaje się rozsądne. A jednak taki postępek wzbudza u wielu niewytłumaczone obrzydzenie, podobnie jak wołał oni Maneta niż realistycznych malarzy rosyjskich dziewiętnastego wieku. Śmiałość, z jaką Rosjanie przeprowadzają swoje umysłowe operacje, osiąga, zdaniem intelektualisty demokracji ludowych, rozmiary niebezpieczne i źle wróżące przyszłości ich wodzów. Konsekwentne rozumowanie, które natrafiając na sprzeczność z rzeczywistością każe przejść nad empirią do porządku, musi wreszcie doprowadzić do kosztownych błędów. Walka Hitlera ze “sztuką zdegenerowaną” była zapewne objawem tego samego rodzaju, co nowa etyka jego partii nakazująca niszczenie “niższych ras”, a w podobnych pomysłach tkwi zarodek jego klęski. Obserwując troskę Centrum, aby nauka i sztuka były zgodne z Metodą, intelektualista dochodzi do wniosku, że nie siła i mądrość Zachodu mogą być powodem upadku Imperium, ale właśnie aberracje, do których prowadzi Metoda.

Ogłaszając genetykę Mendlowską za błędną, Centrum używało, z grubsza biorąc, trzech grup argumentów:

1) że sprzeczna jest ona z dialektycznie ujmowaną teorią doboru gatunkowego Darwina, gdyż nawiązuje do tych elementów teorii Darwina, które są odbiciem stosunków społecznych, to jest bezlitosnej walki o byt w ustroju kapitalistycznym (zamiast walki o byt w obrębie jednego gatunku należy postawić współpracę w obrębie jednego gatunku);

2) że nie daje ona zadowalających wyników praktycznych w rolnictwie;

3) że może ona służyć za podstawę do teorii rasistowskiej, gdyż “lepszosc” i “gorszosc” indywiduum uzależnia od rodzaju genów. Wszystkie więc używane argumenty można uznać za przejaw życzenia, aby rzeczywistość była taka, jaką się ją widzieć pragnie. Co jednak się stanie, jeżeli genetyka kontynuatorów Mendla jest zgodna z naukową obserwacją? - zapytuje intelektualista. Jakkolwiek głośno oklaskuje mówców, którzy miażdżą zachodnich genetyków, nie jest bynajmniej pewny, czy nie ma tutaj do czynienia z wielką hecą, podobną w sposobie argumentacji do hec niemieckich uczonych, udowadniających naukowo to, co było w danej chwili Niemcom potrzebne.

Stąd już jeden krok do wątpliwości o samej dialektycznej Metodzie. Czy nie polega ona czasem na odczytywaniu z przyrody i historii znaków, które zręcznie tam najpierw umieściła ręka samego czytelnika? Dialektyka jest to “logika sprzeczności”, stosowana, jak mówią mędrcy, tam, gdzie nie wystarcza logika formalna, a więc do zjawisk w ruchu. Ponieważ zarówno ludzkie pojęcia, jak obserwowane przez ludzi zjawiska są w ruchu, “sprzeczności zawarte w pojęciach są tylko odbiciem, przekładem na język myśli tych sprzeczności, które są zawarte w zjawiskach”. Ślicznie. Co jednak powiedzieć o przykładzie, który podaje Plechanow, aby udowodnić niewystarczalność logiki formalnej: ktoś pokazuje młodego człowieka, któremu zaledwie sypie się broda i żąda odpowiedzi na pytanie, czy człowiek ten ma brodę, czy nie ma brody. Nie można odpowiedzieć, że nie ma, bo ma początki brody. Nie można odpowiedzieć, że ma, bo to jeszcze nie jest broda. Jednym słowem broda dopiero się staje, jest w ruchu, jest to dopiero pewna ilość pojedynczych włosów, które pewnego dnia zmieniają się w nową jakość, to jest w brodę. Do jasnego diabła - mruczy nasz intelektualista - toż to są ćwiczenia dla rabinów z siedemnastego wieku. Włosy, które rosną na podbródku młodego człowieka, absolutnie nie troszczą się o to, jak je nazwiemy. Nie ma tam żadnego “przechodzenia ilości w jakość”, jak to z upojeniem powtarzają wyznawcy. Zagadnienie: broda czy nie broda pochodzi z używania przez nas języka, z naszej klasyfikacji. Cóż za bezgraniczna pycha przypisywać zjawiskom sprzeczności, w które wplątują nas nasze nieudolne pojęcia! A przecie sprawa jest ważna. Los Imperium zależy od tej nieszczęsnej brody. Jeżeli cała analiza Historii przeprowadzona według Metody operuje podobnymi trikami, to

jest naprzód wprowadza pojęcia, a później bierze sprzeczności za sprzeczności obserwowanego materiału, to ładnie będzie wyglądało Imperium wzniesione na takich fundamentach.

A jednak czuje się sterroryzowany przez Metodę. Jak to wytłumaczyć? Nie przyznając się przed nikim dopuszcza myśl, że w samym załączku tkwi fałsz, co nie przeszkadza bynajmniej trafnie obserwować i opracowywać materiał innymi metodami, przypisując wszelkie sukcesy użyciu Metody. Gdyż ona to wywiera magnetyczny wpływ na ludzi współczesnych przez to, że w sposób dotychczas niespotykany podkreśla płynność i współzależność zjawisk. Ponieważ ludzie dwudziestego wieku znaleźli się w warunkach społecznych, w których zanika "naturalność", a płynność i współzależność stają się widoczne nawet dla najbardziej tępych, myślenie kategoriami ruchu zdaje się najpewniejszym sposobem uchwycenia rzeczywistości na gorącym uczynku. Metoda jest najbardziej tajemnicza i nikt jej dobrze nie rozumie, a to zwiększa jej czarodziejską moc. Jej elastyczność, wykorzystana przez Rosjan nie posiadających, jak wiadomo, cnoty umiaru, może doprowadzić do całkiem przykrych edyktów, emanujących z Centrum. Niemniej zdrowy rozsądek był bardzo rzadko w Historii skutecznym przewodnikiem po labiryncie spraw ludzkich. Metoda korzysta z odkryć Marksa i Engelsa, z ich moralnego oburzenia i z taktyki ich następców zaprzeczającej słuszności moralnego oburzenia. Jest jak wąż, który jest niewątpliwie stworzeniem dialektycznym. "Tatuniu, czy wąż ma ogon?" - pyta mały Jakubek. "W i ł ą c z n i e ogon" - odpowiedział tatunio. Stąd nieograniczone możliwości. Zapytując siebie uczciwie, dlaczego nie może wyzwolić się spod jej uroku (choć chciałby), intelektualista odpowiedziałby zapewne, że miarą jej słuszności jest siła tych, którzy nią władają. Umieją oni budować na gruncie wstrząsanym przez bezustanne trzęsienie ziemi gmach o ruchomych ścianach, podczas gdy Zachód, nie rozporządzając podobnie doskonałymi przepisami, obstaje przy tradycyjnej architekturze grożącej zawaleniem. Niektóre ruchome ściany dialektycznego gmachu są wprawdzie monstrialne i napełniają mieszkańców szczerą obawą co do przyszłości tak skonstruowanej budowli, niemniej kiedy porównuje się ją z zarysami statycznej architektury Zachodu, chwilami zdaje się, że cała ludzkość będzie zmuszona przenieść się do bardziej ruchomych apartamentów.

Stosunek intelektualisty wschodniego do Zachodu jest więc skomplikowany i nie da się zamknąć w formułkach sympatii i antypatii. Jest to coś w rodzaju zawiedzionej miłości, a jak wiadomo zawiedziona miłość pozostawia często osad sarkazmu. Trzeba było takiego nieszczęścia, żeby, całkiem wbrew przewidywaniom Marksa, nowy system gospodarczy narodził się w zacofanej Rosji i aby rewolucja stała się imprezą planowaną przez urzędników Centrum, a rozpowszechnianą przez podbój militarny. Trzeba też było nieszczęścia, aby Europejczycy, skoro tylko zechcą zmienić przestarzały porządek w swoich krajach, musieli godzić się, również wbrew przewidywaniom Marksa, na podbój ich krajów przez naród, który nigdy nie umiał się rządzić

nawet u siebie i który, jak daleko sięgnąć w przeszłość, nigdy nie znał szczęścia i wolności. Cóż za los urodzić się w takiej epoce - myśli intelektualista, równocześnie wygłaszając przemówienie o tym, jak wielkim zaszczytem jest żyć w “wielkiej epoce stalinowskiej”. Funkcja jego polega, jak sam złośliwie to nazywa, na “wszczepianiu podstawowych zasad entuzjazmu” innym. Nie wydaje mu się zupełnie nieprawdopodobne, że Zachód może wyjść zwycięsko z rozprawy z Metodą. Jednak Metoda, to jest przeróbka Marksa na modłę rosyjską, choć ma liczne słabe strony, stanowi broń w rękach władców Centrum, potężniejszą niż same czołgi i działa. Jest zaletą Metody, że przy jej pomocy można udowodnić to, co jest władcóm w danej chwili potrzebne, a równocześnie co jest w danej chwili potrzebne, ustala się przy pomocy Metody; jest to całkowicie zgodne z jej węzowym charakterem.

Doświadczenie nauczyło intelektualistę wschodniego starannie odmierzać swoje życiowe posunięcia. Widział on zbyt wielu, którzy spadli w przepaść z powodu jednego nieostrożnego wystąpienia, jednego zbyt porywczo napisanego artykułu. Jeżeli Imperium zawali się, w powstającym chaosie można będzie szukać nowych środków przetrwania i działania. Dopóki to nie nastąpi, należy gorliwie pracować dla zwycięstwa Imperium, hodując po cichu nadzieję, że “głupota” Zachodu nie jest aż tak bezgraniczna, jak to się przypuszcza. Gdyby ludzie na Zachodzie naprawdę rozumieli mechanizm “wielkiej epoki stalinowskiej” i gdyby działali odpowiednio! Wszystko wskazuje na to, że nie rozumieją. A może jednak, może jednak rozumieją?

III - KETMAN

Rozumowanie intelektualisty poddanego ciśnieniom władzy Imperium i Metody jest pełne sprzeczności. Uchwycić dokładnie te sprzeczności nie jest łatwo, bo mamy do czynienia z zupełnie nowym zjawiskiem, które nie występuje w tym stopniu ani u Rosjan (narodu panującego), ani u zwolenników Nowej Wiary na Zachodzie (którym pomaga niewiedza?). Nikt z obywateli krajów demokracji ludowej nie ma możliwości ani pisać, ani mówić głośno o tych sprawach. Na zewnątrz tam one nie istnieją. A jednak istnieją i stanowią rzeczywiste życie tych aktorów, jakimi są z konieczności wszyscy niemal ludzie w krajach zależnych od Centrum, a zwłaszcza przedstawiciele umysłowej elity. Trudno inaczej określić rodzaj panujących tam stosunków pomiędzy ludźmi jak aktorstwo, z tą różnicą, że miejscem, gdzie się gra, jest nie scena teatralna, ale ulica, biuro, fabryka, sala zebrań, a nawet pokój, w którym się mieszka. Jest to wysoki kunszt, wymagający czujności umysłu. Nie tylko każde słowo, które się wymawia, powinno być szybko ocenione, zanim wyjdzie z ust, z punktu widzenia następstw, jakie może spowodować. Uśmiech pojawiający się w niewłaściwej chwili, spojrzenie, które wyraża nie to, co wyrażać powinno, mogą być przyczyną niebezpiecznych podejrzeń i zarzutów. Również sposób bycia, ton głosu, zamiłowanie do takich a nie innych krawatów są interpretowane jako oznaka skłonności politycznych. Przyjazd na Zachód jest dla człowieka ze Wschodu dużym wstrząsem, gdyż w obcowaniu z innymi - poczynając od tragarza i szofera taksówki - nie napotyka na żaden opór - są oni zupełnie rozluźnieni, brak im tej wewnętrznej koncentracji, która wyraża się w opuszczeniu głowy albo w latających niespokojnie oczach, gadają, co im ślina na język przyniesie, śmieją się głośno; czyż to możliwe, aby stosunki pomiędzy ludźmi mogły być aż tak proste?

Aktorstwo dnia codziennego tym się różni od aktorstwa w teatrze, że wszyscy grają przed wszystkimi i wiedzą nawzajem o sobie, że grają. To, że ktoś gra, nie jest mu poczytywane za ujmę i nie dowodzi bynajmniej jego nieprawowierności. Chodzi o to tylko, żeby grał dobrze, bo umiejętność dobrego wejścia w swoją rolę stanowi dowód, że ta część jego osobowości, na której buduje swoją rolę, jest w nim dostatecznie rozwinięta. Jeżeli ktoś wygłasza przemówienie pełne nienawiści do Zachodu i jeżeli czyni to z żarem, wykazuje przez to, że jest w nim co najmniej 10 procent nienawiści, o której tak głośno krzyczy. Jeżeli ktoś potępia kulturę zachodnią w sposób chłodny i wstrzeźliwy, znaczy to, że w rzeczywistości jest do niej przywiązany. Każde zresztą zachowanie się ludzkie ma w sobie - jak wiadomo - znaczną dozę aktorstwa. Człowiek reaguje na otoczenie i nawet w swoich gestach jest przez swoje otoczenie regulowany. Jego postawa psychiczna jest często narzucana przez postawy psychiczne tych, co go otaczają.

Niemniej w krajach demokracji ludowej zachodzi raczej wypadek świadomej, masowej gry niż odruchowej adaptacji. Świadoma gra, jeżeli się ją uprawia dość długo, rozwija te cechy osobnika, którymi się w swojej aktorskiej pracy najchętniej posługuje. Tak biegacz, który został biegaczem, bo miał dobrze uformowane nogi, rozwija jeszcze bardziej nogi ćwicząc się w bieganiu. Po dłuższej zaprawie następuje tak ścisłe zrośnięcie się z rolą, że nie da się już odróżnić, co jest własne, a co przybrane, i małżonkowie w łóżku rozmawiają sloganami wiecu. Zrośnięcie się z narzuconą rolą przynosi ulgę i pozwala na zmniejszenie napięcia czujności. Właściwe odruchy we właściwej chwili pojawiają się już automatycznie.

Występuje to również w literaturze. Poeta piszący utwór propagandowy nie ogranicza się bynajmniej do czysto racjonalistycznego ujęcia. Podobnie jak tłumacz "zaraża się" duchem oryginału, tak poeta tworzący z myślą, że ideałem wiersza jest wiersz, który może być recytowany chórem na wiecu, wyładowuje się emocjonalnie nastroiwszy siebie w punkcie wyjścia na odpowiedni ton. W teatrze aktor, który gra na przykład Cyda, jest Cydem na scenie. Oczywiście nie każdy aktor, nawet jeżeli jest młody i dobrze zbudowany, może grać Cyda: potrzebna jest przyrodzona zdolność do wyładowania się emocjonalnego w roli Cyda. Poezję, tak jak ją znamy dotychczas, można określić jako wyraz indywidualnego temperamentu przełamującego się poprzez konwencję społeczną. Poezję Nowej Wiary można natomiast określić jako wyraz konwencji społecznej przełamującej się poprzez indywidualny temperament. Dlatego najbardziej przystosowani do nowej sytuacji są poeci obdarzeni talentem dramatycznym: poeta tworzy postać idealnego poety rewolucyjnego i pisze swój wiersz jako monolog tej postaci. Nie wypowiada siebie, ale idealnego obywatela. Wynik otrzymany przypomina pieśń do śpiewania w marszu, gdyż cel jest taki sam: chodzi o stworzenie więzi kolektywnej, łączącej posuwającą się naprzód kolumnę żołnierzy. Najlepszym przykładem takiej pieśni-sloganu są niektóre wiersze niemieckiego poety Bertolda Brechta górujące nad utworami innych wschodnich poetów, gdyż u Brechta widać zupełną świadomość procesu.

Chociaż identyfikacja gry i prywatnej własności myślowej jest daleko posunięta, pozostaje obszerna reszta, która zmusza do czujności. Ciągłe maskowanie się, jakkolwiek stwarza aurę zbiorową trudną do zniesienia, dostarcza maskującym się pewnych, i to nie najmniejszych, satysfakcji. Mówić, że coś jest białe, a myśleć, że jest czarne; wewnątrz uśmiechać się, a na zewnątrz okazywać uroczystą żarliwość; nienawidzić, a objawiać oznaki miłości; wiedzieć, a udawać niewiedzę; tak wyprowadzając w pole przeciwnika (który również nas wyprowadza w pole) zaczyna się cenić ponad wszystko własną przebiegłość. Sukces w grze staje się źródłem zadowolenia. Równocześnie to, co w nas jest chronione przed oczami niepowołanych, nabiera dla nas szczególnego waloru, gdyż nie jest nigdy wyraźnie formułowane, a co nie jest formułowane w

słowach, posiada irracjonalny urok czysto uczuciowej jakości. Człowiek chroni się w wewnętrzne sanktuarium, które jest tym piękniejsze, im większą cenę trzeba zapłacić, aby innym zabronić doń dostępu.

Aktorstwo praktykowane w skali równie masowej nieczęsto zdarzało się w dotychczasowej historii ludzkiego gatunku. A jednak próbując nieudolnie opisać tę nową odmianę obyczaju natykamy się na uderzającą analogię w cywilizacji islamu na Bliskim Wschodzie.

Nie tylko znano tam dobrze grę uprawianą w obronie własnych myśli i uczuć, ale przekształciła się ona w trwałą instytucję i została obdarzona nazwą: Ketman.

Czym jest Ketman? Opis jego znalazłem w książce Gobineau "Religions et Philosophies dans l'Asie Centrale". Gobineau spędził szereg lat w Persji (od 1855 r. do 1858 r. był sekretarzem poselstwa francuskiego, od 1861 r. do 1863 r. - posłem francuskim), a nie można mu odmawiać daru bystrej obserwacji, nawet jeżeli niekoniecznie należy zgadzać się z wnioskami tego bardzo niebezpiecznego pisarza. Zbieżności pomiędzy Ketmanem a obyczajem uprawianym w krajach Nowej Wiary są tak zastanawiające, że pozwolę sobie na dłuższe cytaty.

Zdaniem ludzi na muzułmańskim Wschodzie, "posiadacz prawdy nie powinien wystawiać swojej osoby, swego majątku i swego poważania na zaślepienie, szaleństwo i złośliwość tych, których Bogu spodobało się wprowadzić w błąd i utrzymać w błędzie". Należy więc milczeć o swoich prawdziwych przekonaniach, jeżeli to możliwe.

"Jednakże - powiada Gobineau - są wypadki, kiedy milczenie nie wystarcza, kiedy może ono uchodzić za przyznanie się. Wtedy nie należy się wahać. Nie tylko trzeba wtedy wyrzec się publicznie swoich poglądów, ale zaleca się użyć wszelkich podstępów, byleby tylko zmylić przeciwnika. Będzie się wtedy wypowiadać wszelkie wyznania wiary, które mogą mu się podobać, będzie się odprawiać wszelkie obrządki, które uważa się za najbardziej niedorzeczne, sfałszuje się własne książki, wykorzysta się wszelkie środki wprowadzania w błąd. W ten sposób zdobędzie się wielkie zadowolenie i zasługę, że uchroniło się i siebie, i swoich, że nie naraziło się cennej wiary na ohydny kontakt z niewiernym, i wreszcie, że oszukując tego ostatniego i utwierdzając go w jego błędzie, ściągnęło się na niego hańbę i nędzę duchową, na którą zasłużył."

"Ketman napełnia dumą tego, kto go praktykuje. Wierzący dzięki temu osiąga stan trwałej wyższości nad tym, którego oszukał, chociażby ten ostatni był ministrem czy potężnym królem; dla człowieka, który stosuje wobec niego Ketman, jest on przede wszystkim biednym ślepcem; został pozbawiony dostępu do jedynie prawdziwej drogi i nawet tego nie podejrzewa; natomiast ty, obdarty i przymierający głodem, z pozoru drżący u stóp zręcznie zmylonej potęgi, masz oczy pełne światła; kroczysz w blasku przed twymi nieprzyjaciółmi. Szydzisz z nieinteligentnej istoty; rozbrazasz niebezpieczną bestię. Ileż uciech jednocześnie!"

Jak daleko może sięgać Ketman, dowodzi przykład twórcy jednej z sekt, Hadzi-Szeika-Ahmeda. “Chociaż pozostawił po sobie wiele dzieł teologicznych - powiada Gobineau - nigdy nie odkrył wyraźnie w swoich książkach, jak przyznają nawet najgorliwsi jego uczniowie, nic, co by mogło naprowadzić na szlak idei, jakie dzisiaj mu się przypisuje. Ale powszechnie się zapewnia, że praktykował Ketman i że w ukryciu odznaczał się wielką śmiałością, wprowadzając z wielką precyzją porządek w doktryny dzisiaj noszące jego imię.” Nie można więc się dziwić, jeżeli, jak przyznał w rozmowie z Gobineau pewien Pers, “w Persji nie ma ani jednego doskonałego muzułmanina”.

Nie wszyscy jednak byli tak ostrożni jak Hadzi-Szeik-Ahmed. Niektórym Ketman służył w ich okresie przygotowawczym, kiedy jednak poczuli się dostatecznie silni, otwarcie proklamowali herezję. Oto opis wypraw kaznodziejskich Sadry, który był awicennistą:

“...On również bał się mułłów. Nie można było uniknąć wzbudzenia ich podejrzliwości, ale dawać solidne podstawy, dostarczać dowodów ich oskarżeniom znaczyłoby wystawić się na prześladowania bez końca i narazić na szwank przyszłość odrodzenia filozoficznego, które zamierzał. Zastosował się więc do wymagań czasu i uciekł się do tego wielkiego, wspaniałego środka, jakim jest Ketman. Kiedy przybywał do jakiegoś miasta, dbał o to, aby przedstawić się pokornie wszystkim miejscowym mudźtehedom albo doktorom. Siadał w kącie ich salonu, ich talaru, przeważnie milczał, mówił skromnie, zgadzał się z każdym słowem, jakie padało z tych czcigodnych ust. Zapytywano go o jego wiedzę; wypowiadał jedynie idee zapożyczone z najbardziej prawowiernej teologii szyickiej i niczym nie zdradzał, że zajmuje się filozofią. Po upływie kilku dni mudźtehedowie, widząc, że jest tak łagodny, sami proponowali mu publiczne wykłady. Zabierał się do tego natychmiast, brał jako tekst doktrynę ablucji albo coś w tym rodzaju i rozwodził się nad przepisami i wątpliwościami sumienia najsubtelniejszych teoretyków. Takie postępowanie naprawdę wprowadzało mułłów w zachwyt. Wynosili go pod niebiosa; zapominali nadzorować. Sami żądali, aby prowadził ich wyobraźnię ku kwestiom mniej pospolitym. Nie odmawiał. Od doktryny ablucji przechodził do doktryny modlitwy, od modlitwy do objawienia, od objawienia do jedności bożej i tam dokonując cudów zręczności, używając przemilczeń, wyznań wobec bardziej zaawansowanych uczniów, zaprzeczeń samemu sobie, zdań o podwójnym znaczeniu, fałszywych sylogizmów, z których tylko wtajemniczeni mogli znaleźć wyjście, przeplatając wszystko obficie oświadczeniami o swojej nienagannej wierze, osiągał wreszcie cel i rozpowszechniał awicennizm w całej warstwie wykształconej, a kiedy wreszcie uznał, że może wystąpić otwarcie, usuwał zasłony, odrzucał islam i ukazywał się jedynie jako logik, metafizyk i kim był naprawdę.”

Ketman islamu i Ketman dwudziestego wieku w Europie tym się jedynie zdają różnić, że śmiałość, do jakiej posuwał się Sadra, musiałaby się dla niego w Europie natychmiast smutno skończyć. Niemniej Ketman w jego bardziej ściślejszych i surowych formach jest powszechnie uprawiany w demokracjach ludowych. Podobnie jak w islamie, poczucie wyższości nad tymi, co niegodni są dostąpić poznania prawdy, stanowi jedną z głównych uciech w życiu tamtejszym na ogół nie obfitującym w uciechy. Dewiacje, których tropienie sprawia tyle kłopotu rządzącym, nie są urojeniem. Są to wypadki zdemaskowanego Ketman u, przy czym najbardziej pomocni w odkrywaniu dewiacji są ludzie praktykujący Ketman podobnego gatunku: rozpoznając z łatwością u innych akrobatyczne chwytosy stosowane przez nich samych, korzystają z pierwszej okazji, aby pograżyć przeciwnika czy przyjaciela; zabezpieczają się przez to, a miarą zręczności jest uprzedzić o dzień przynajmniej podobne oskarżenie, jakie mogłoby ich spotkać ze strony człowieka, którego gubią. Ponieważ ilość odmian Ketmanu jest niemal nieograniczona, nazwy dewiacji nie mogą nadążyć w porządkowaniu tego ogrodu pełnego niespodziewanych okazów. Każdy nowy komentarz do przepisów Nowej Wiary, ogłaszany z mocą powszechnie obowiązującą przez Centrum, mnoży wewnętrzne zastrzeżenia u tych, którzy na zewnątrz są jak najbardziej wierni. Wyliczyć wszystkie Ketmany dające się odnaleźć w krajach demokracji ludowej nie byłoby możliwe. Postaram się jednak zatrzymać nad ich głównymi grupami i rodzinami, postępując trochę jak przyrodnik, który przeprowadza ogólną klasyfikację.

Ketman narodowy. Jest on rozpowszechniony nie tylko wśród szerokich mas, nie jest wolna od niego również góra partyjna poszczególnych krajów. Ponieważ Tito postąpił jak Sadra opisywany przez Gobineau i obwieścił swoją herezję całemu światu, wielomilionowe rzesze uprawiające ten Ketman w krajach demokracji ludowej muszą używać szczególnie przemyślnych środków maskowania. Pokazowe rozprawy ze zwolennikami "narodowej drogi do socjalizmu" w poszczególnych stolicach wschodnich nauczyły publiczność, jakie zwroty i jakie odruchy narażać mogą na zarzut pielęgnowania w sobie tych zgubnych tendencji. Najpewniejszym sposobem uchronienia się przed zarzutem jest głośne manifestowanie na każdym kroku swego podziwu dla osiągnięć Rosji w różnych dziedzinach, noszenie pod pachą pism i książek rosyjskich, nucenie rosyjskich piosenek, gorące oklaskiwanie rosyjskich muzyków i aktorów itd. Pisarz, który nie poświęcił ani jednego utworu wybitnym postaciom rosyjskim czy też życiu Rosjan, ograniczając się do tematów krajowych, nie może uważać, że umieścił się po stronie całkowicie bezpiecznej. Cechą ludzi uprawiających ten Ketman jest bezgraniczna pogarda dla Rosji jako dla kraju barbarzyńskiego. U robotników i chłopów jest ona raczej emocjonalna i opiera się na obserwacji - albo żołnierzy armii wyzwalającej, albo, ponieważ wielu było w czasie wojny na terenach bezpośrednio przez Rosję administrowanych - Rosjan w ich życiu codziennym. Ponieważ istniała

dotychczas duża różnica w stopie życiowej i poziomie cywilizacyjnym pomiędzy Rosją i krajami noszącymi dzisiaj nazwę demokracji ludowych na korzyść tych ostatnich, Ketman narodowy znajduje obfity pokarm. Nie da się go określić po prostu jako nacjonalizm. Pomędzy Słowianami Europy Środkowej i Niemcami trwała w ciągu wielu wieków nienawiść, jednakże była ona u Słowian zabarwiona respektem dla zewnętrznych znamion cywilizacji dostrzegalnych u Niemców. Natomiast spostrzegając, przez porównanie, większą ogładę swoich obyczajów, lepszą zdolność organizacji, na przykład transportu czy obchodzenia się z maszynami, środkowy Europejczyk wyraziłby, gdyby mógł, swój stosunek do Rosji lekceważącym machnięciem ręką, co zresztą nie przeszkadza, że czuje on strach przed liczbą mas wylewających się z głębi euro-azjatyckiego kontynentu.

Rzecz nie u wszystkich rozgrywa się jednak na planie czysto emocjonalnym. U młodej inteligencji pochodzenia robotniczego zdaje się przeważać opinia, którą zamknąłby skrót: "socjalizm - tak, Rosja - nie" i tu zaczynają się subtelności doktrynalnych rozróżnień. Kraje Europy - rozwija się rozumowanie - są znacznie bardziej powołane do zrealizowania socjalizmu niż Rosja; ich ludność jest bardziej rozgarnięta, większość ziemi znajduje się pod uprawą, sieć komunikacyjna gęstsza, przemysł nie musi zaczynać od stanu zbliżonego do zera. Pewne metody oparte na bezwzględym okrucieństwie nie są konieczne, a nawet są niepotrzebne, gdyż istnieje wyższy stopień społecznej dyscypliny. Jednakże "narodowa droga do socjalizmu" została potępiona i dowiedziono wiele, aby dowieść, że ktokolwiek sprzeciwia się całkowitemu zastosowaniu wzoru rosyjskiego w najdrobniejszych szczegółach i poddaniu się dyktaturze Centrum, jest zdrajcą i musi podzielić los Tito, to jest wystąpić przeciwko Centrum i osłabiać jego potencjał wojenny, będący jednym środkiem przeprowadzenia rewolucji w skali światowej. Opowiedzenie się przeciwko temu twierdzeniu oznaczałoby przekreślenie Nowej Wiary i wprowadzenie na jej miejsce wiary innej, tj. nawiązującej bezpośrednio do Marksa i Engelsa. Sadra, który w istocie znajdował się poza islamem, dbał o to, aby wobec mułłów tym się nie zdradzić, podobnie wielu pozornych wyznawców Nowej Wiary znajduje się w istocie poza nią. Inni jednak, widząc w sojuszu Tito z Zachodem przykład fatalizmu historycznego, a więc odrzucając myśl, że fatalizm ten mógł być po prostu spowodowany przez politykę Centrum wobec zależnych narodów, zamykają się w Ketmanie, który nie powinien przeszkadzać Centrum w jego zewnętrznych akcjach; wierny muzułmanin, nawet głęboko przywiązany do swego Ketmanu, nie może stwarzać przeszkód tam, gdzie islam walczy z niewiernymi o swoje istnienie. Taki Ketman wyraża się więc tylko w praktycznych posunięciach, które nie szkodzą Centrum w jego walce światowej, natomiast są obroną narodowych interesów tam, gdzie to jest jeszcze możliwe.

Ketman czystości rewolucyjnej. Jest to rzadka odmiana, bardziej pospolita w wielkich miastach Rosji niż w demokracjach ludowych. Polega ona na wierze w "święty ogień" rewolucyjny epoki Lenina, ten ogień, którego symbolem jest np. poeta Majakowski. Samobójcza śmierć Majakowskiego w roku 1930 przypieczętowała koniec tej epoki zaznaczonej rozkwitem literatury, teatru i muzyki. "Święty ogień" został przytłumiony, kolektywizacja została przeprowadzona w sposób bezlitosny, w obozach pracy przymusowej zginęły miliony obywateli Związku, wobec narodów nierosyjskich zastosowano politykę bezwzględną. Literatura pod wpływem narzuconych teorii stała się płaska i bezbarwna, zniszczono malarstwo, teatr rosyjski ongiś przodujący w świecie pozbawiono swobody eksperymentu, naukę poddano dyrektywom przychodzącym z góry. Tak sądzi ten, który uprawia Ketman czystości rewolucyjnej. Nienawidzi on Jego całym sercem, czyniąc Go odpowiedzialnym za straszliwy los narodu rosyjskiego i za nienawiść, jaką naród rosyjski budzi u innych narodów. Nie jest jednak pewien, czy On nie jest potrzebny. Być może, w wyjątkowych okresach, jakim jest okres obecny, pojawienie się przebiegłego tyrauna należy uważać za objaw pożądany. Masowe czystki, w których zginęło tylu dobrych komunistów, obniżenie stopy życiowej obywateli, sprowadzenie artystów i uczonych do roli potakujących służalców, eksterminacja całych grup narodowościowych - któż, kto nie byłby taki jak On, odważyłby się na podobne czyny? A jednak Rosja oparła się Hitlerowi. Dzieło rewolucji nie uległo sile uderzającej z zewnątrz. W tym świetle Jego czyny nabierają cech mądrej skuteczności i są usprawiedliwione, być może przez wyjątkową sytuację historyczną. Czy gdyby On nie zastosował wyjątkowego terroru w roku 1937, nie znalazłoby się więcej ludzi chętnych pomagać Hitlerowi niż się znalazło? Czy np. dzisiejsza linia w nauce i sztuce, jakkolwiek sprzeczna nieraz ze zdrowym rozsądkiem, nie podnosi skutecznie rosyjskiego morale w obliczu grożącej wojny? Jest On ohydną plamą na jasnej Nowej Wierze, ale plamą, którą dzisiaj jeszcze należy tolerować, a nawet należy Go popierać. "Święty ogień" nie wygasł. Kiedy zostanie osiągnięte zwycięstwo, „ogień” ten znów buchnie z dawną siłą, kajdany, które On narzucił, zostaną skruszone, a stosunki pomiędzy narodami ułożą się na nowych i lepszych zasadach. Ketman taki był bardzo częsty, jeżeli nie powszechny w Rosji w czasie drugiej wojny światowej i dzisiejsza jego forma jest odrodzeniem raz już zawiedzionej nadziei.

Kerman estetyczny. Człowiek o dobrym smaku nie może traktować zbyt poważnie rezultatów oficjalnego nacisku w dziedzinie kulturalnej, jakkolwiek oklaskuje wiersze, pisze pochlebne recenzje z wystaw malarskich i udaje, że plany ponurej, ciężkiej architektury nowych budynków bardzo trafiają mu do przekonania. Zmienia się całkowicie w czterech ścianach swego domu. Można tam znaleźć (jeżeli ma się do czynienia z dobrze sytuowanym intelektualistą) reprodukcje dzieł sztuki potępionej oficjalnie jako burżuazyjna, płyty z nowoczesną muzyką i bogaty zbiór książek dawnych autorów w różnych językach. Ten luksus prywatności jest mu

wybaczony, jeżeli jego twórcza praca, którą wykonuje w podobnie urządzonej pracowni, przynosi oczekiwane propagandowe efekty. Aby uchronić swoją pozycję i mieszkanie (które ma z łaski państwa), intelektualista jest gotów na wszelkie ofiary i wszelkie podstępny, bo wartość odosobnienia w społeczeństwie, gdzie poza tym nie ma możliwości odosobnienia, jest większa, niż mogłoby to wyrazić zdanie „my home is my castle”. Ekran telewizyjny w prywatnych mieszkaniach podglądające, jak zachowują się obywatele, należą jeszcze do przyszłości, więc słuchając zagranicznych stacji radiowych i czytając dobre książki, zyskuje się chwile odprężenia, oczywiście jeżeli jest się samemu, bo ze zjawieniem się gości gra zaczyna się na nowo.

Nigdy bodaj nie badano bliżej, na ile człowiekowi potrzebne są przeżycia, które niedokładnie nazywa się mianem przeżyć estetycznych. Tylko u nieznacznej liczby jednostek należących do pewnego społeczeństwa przeżycia te są związane z dziełami sztuki. Większość czerpie przelotną radość estetycznej natury z samego faktu przebywania w potoku życia. W miastach oko napotyka kolorowe wystawy sklepowe, różnorodność typów ludzkich, a co więcej wyobraźnia odgaduje z twarzy przechodniów ich prywatne dzieje; praca wyobraźni człowieka w tłumie jest typu erotycznego, a jego wzruszenia są na granicy wzruszeń fizjologicznych. Oko cieszy się strojami, blaskiem światła, a np. bazyliki paryskie z ich stosami jarzyn i kwiatów, ryb różnego kształtu i barwy, owoców, pości mięsa o różnych odcieniach jaskrawej czerwieni dostarczają uciech, po które niekoniecznie trzeba sięgać do obrazów impresjonistów czy Holendrów. Słuch łapie urywki arii, odgłos maszyn zmieszany ze świergotem ptaków, nawoływania się, śmiechy. Węch notuje zmieniające się strefy zapachów: kawa, benzyna, pomarańcze, ozon, prażone orzeszki, perfumy. Piewcy wielkich miast poświęcili wiele stronic swoich dzieł opisom tego radosnego zanurzania się w rezerwuar powszechnego życia. Pływak, który powierza się fali i ma poczucie bezmiaru otaczającego go żywiołu, przeżywa podobne uczucia. Myślę o największych piewcach wielkich miast, to jest o Balzaku, Baudelaire i Whitmanie. Zdaje się, że moc podniecająca i wzmacniająca tego udziału w zbiorowisku polega na poczuciu możliwości, ciągłej niespodzianki, tajemnicy, za którą się goni.

Równocześnie życie chłopów, chociaż oddane otepiałej pracy rąk, dostarcza wyładowań estetycznych przez rytm obyczaju, obrzędy kościelne, święte obrazy, jarmarki, stroje, dekoracje z wystrzyganych z papieru kwiatów, ludową rzeźbę, muzykę i taniec.

W krajach Nowej Wiary miasta tracą swoje dawne oblicze. Likwidowanie drobnych prywatnych przedsiębiorstw nadaje ulicom wygląd sztywny i urzędowy. Chroniczny brak dóbr konsumpcyjnych sprawia, że tłum jest jednolicie szary i jednolicie ubogi. Nawet jeżeli pojawiają się towary konsumpcyjne, są one jednego i to podrzędnego gatunku. Strach paraliżuje indywidualności i każe im jak najbardziej upodobnić się w gestach, stroju, wyrazie twarzy do typu

przeciętnego. Miasta zapełniają się typem rasowym, który jest dobrze widziany przez rządzących: niscy, kwadratowi mężczyźni i kobiety o krótkich nogach z szerokimi biodrami. Jest to typ proletariacki, przesadnie kultywowany dzięki obowiązującym wzorom estetycznym: te same pękate kobiety i kwadratowi mężczyźni mogliby całkowicie zmienić swój wygląd pod wpływem filmu, malarstwa i mody, jak to stało się w Ameryce, gdzie "zapatrzanie", to jest właściwie chęć upodobnienia się do wzorów przekazywanych przez środki masowego przekazu, wpłynęło w stopniu równym jeżeli nie większym niż sposób odżywiania. Ulice, fabryki, miejsca zebrań są pełne czerwonych płacht ze sloganami i sztandarów. Architektura nowych gmachów jest monumentalna i przygnębiająca (nie mówię o rekonstrukcjach), lekkość i radość w architekturze są tępione jako formalizm. Ilość przeżyć estetycznych, jakie otrzymuje mieszkaniec miast Nowej Wiary, jest więc niezwykle ograniczona. Jedynym miejscem czaru jest teatr, bo istnieje magia teatru, nawet jeżeli jest ona spętana przez nakazy socjalistycznego realizmu, który określa treść sztuk i rodzaj dekoracji (te ostatnie nie powinny dawać pola do popisu wyobraźni dekoratora). Stąd olbrzymie powodzenie, jakim cieszą się u publiczności sztuki autorów dawnych, np. Szekspira, gdyż ich fantastyczność zwycięża nawet w granicach naturalistycznej inscenizacji. Głód dziwu jest w krajach Nowej Wiary tak wielki, że powinien on dawać do myślenia rządzącym, prawdopodobnie jednak nie daje, bo rozpatrują te pragnienia jako relikty przeszłości. Na wsi, gdzie cała dotychczasowa forma obyczaju ma być zniesiona przez przekształcenie chłopów w robotników rolnych, trwają jeszcze pozostałości specyficznej kultury chłopskiej, nawarstwiającej się powoli w ciągu wieków. Jednak, powiedzmy to szczerze, ostoją tej kultury byli przeważnie średni albo bogatsi chłopi. Walka z nimi i ich maskowanie się muszą prowadzić do zaniku chłopskich strojów, zdobnictwa chat, pielęgnacji prywatnych sadów itp. Zachodzi pewna sprzeczność pomiędzy urzędową opieką nad folklorem (muzyka, pieśń, taniec), którego rozwojowi poświęca się wiele uwagi, i koniecznościami nowego układu gospodarczego, którego ostatecznym uwieńczeniem musi być barak czy też blok murowany zamieszkały przez wiele rodzin. Z zamknięciem kościołów, przekreśleniem świąt katolickich i ustaniem jarmarków, tracących swój ekonomiczny sens, wobec robotników wiejskich będzie można zastosować te same spostrzeżenia, które są ważne wobec ludności miast.

W tych warunkach Ketman estetyczny ma wszelkie szansę rozrostu. Wyraża się on w podświadomej tęsknocie do dziwu (którą usiłuje się skanalizować w kierunku rozrywek kontrolowanych, to jest teatru, filmu i widowisk folklorystycznych), a u pracowników literatury i sztuki w różnych odmianach eskapizmu. Pisarze grzebią się w starych tekstach, komentują i wydają dawnych autorów. Chętnie piszą książki dla dzieci, gdzie swoboda fantastyki jest nieco większa. Wielu z nich wybiera kariery uniwersyteckie, bo badania nad historią literatury dają bezpieczny

pretekst do pogrążenia się w przeszłości i do obcowania z dziełami o dużym walorze estetycznym. Mnoży się też ilość tłumaczy dawnej poezji i prozy. Malarze szukają ujścia dla swoich zainteresowań w ilustracjach do książek dla dzieci, gdzie dobór jaskrawych farb może być usprawiedliwiony przez odwołanie się do "naiwnej" wyobraźni dziecięcej. Reżyserowie teatralni, spłacając należny dług przez wystawianie złych współczesnych utworów, zabiegają o możliwość umieszczenia w repertuarze Lope de Vegi czy Szekspira. Niektórzy przedstawiciele sztuk plastycznych są tak odważni, że odkrywają niemal swój Ketman, głosząc potrzebę estetyki życia codziennego, a więc utworzenia specjalnych instytutów, które by projektowały wzory tkanin, mebli, szkła i ceramiki dla przemysłu. Znajdują nawet poparcie inteligentniejszych dialektyków góry partyjnej i pieniądze na podobne przedsięwzięcia. Trzeba mieć ogromny szacunek dla takich wysiłków (zważmy, że np. Polska i Czechosłowacja przed drugą wojną światową były, obok Szwecji i Finlandii, krajami przodującymi w dekoracji wnętrza). Niemniej nie widać powodu, aby to, co uchodzi za formalizm w malarstwie i architekturze, mogło być tolerowane na dłuższą metę w sztukach stosowanych. Na takich próbach najlepiej zresztą widać racjonalizację Ketmanu estetycznego: ponieważ wszystko jest planowane w gospodarce socjalistycznej, dlaczegóżby nie przystąpić do planowanego zaspokajania ludzkich potrzeb estetycznych? Wkraczamy tutaj jednak w niebezpieczną dziedzinę demona Psychologii. Przyznać, że oko człowieka potrzebuje radosnych barw, harmonijnych kształtów, jasnej, słonecznej architektury, znaczyłoby twierdzić, że gust Centrum jest zły. Jakkolwiek i tam widać postęp. Wznoszone są już drapacze chmur wzorowane na budowach stawianych w Chicago w okolicach roku 1900. Możliwe, że w roku 2000 wprowadzi się tam oficjalnie sztukę uchodzącą dzisiaj na Zachodzie za nowoczesną. Co jednak począć z myślą, że przeżycia estetyczne powstają na ogół dzięki temu, co wyrasta organicznie, i że połączenie barwy i harmonii ze Strachem jest równie trudne do wyobrażenia, jak jaskrawe upierzenie ptaków żyjących w północnej tundrze?

Ketman pracy zawodowej. Ponieważ znalazłem się w warunkach, na których zmianę nie mam żadnego wpływu, a mam tylko jedno życie i życie to upływa - rozumuje człowiek - powinienem starać się zrobić z niego rzecz możliwie najlepszą. Jestem jak skorupiak przyczepiony do skały na dnie morza. Nade mną przewalają się burze, płyną wielkie okręty, ale mój wysiłek zmierza do trzymania się skały, bo zginę uniesiony przez wody i nie pozostanie po mnie żaden ślad. Tak powstaje Ketman pracy zawodowej. Jeżeli jest się uczniem, bierze się udział w zjazdach, na których wygłasza się przepisowe referaty ściśle według zaleceń linii partyjnej. Jednak w laboratorium posuwa się naprzód swoje badania operując metodami naukowymi i w tym widzi się cel życia. Jeżeli realizuje się skutecznie swoje dzieło, jest obojętne, jak zostanie ono przedstawione i ku czyjej użyte chwale. Wyniki osiągnięte w imię bezinteresownego poszukiwania prawdy są

trwałe, natomiast wrzask polityków przemija. Należy zrobić wszystko, czego żądają, wolno im posługiwać się moim nazwiskiem, jeżeli dzięki temu mam dostęp do laboratorium i pieniądze na zakup instrumentów naukowych.

Jeżeli jest się pisarzem, liczy się na półce swoje wydane pozycje. Oto rozprawa o Swircie. Została ona napisana przy użyciu analizy marksistowskiej. Ta analiza daje jednak bardzo dobrą i wnikliwą penetrację w zjawiska historyczne i nie jest równoznaczna z Metodą i Nową Wiarą. Marks był genialnym obserwatorem. Naśladując go jest się zabezpieczonym przed atakami, bo zajmuje on miejsce proroka, natomiast że jest się wyznawcą Metody i Nowej Wiary, można napisać we wstępie spełniającym to zadanie, co dedykacje królom i cesarzom w epokach minionych. Oto przekład długiego poematu z szesnastego wieku; czyż wartość tego przekładu nie jest czymś trwałym? Oto moja powieść, której temat jest wzięty z odległej przeszłości; starałem się przedstawić w niej możliwie wiernie wypadki. Oto moje przekłady z rosyjskiego: są one dobrze widziane i przyniosły mi dużo pieniędzy; a przecie Puszkina jest naprawdę wielkim poetą i wartość jego nie ulega zmianie dlatego, że dzisiaj służy Jemu za środek propagandy. Oczywiście muszę zapłacić za prawo wykonywania zawodu pewną liczbą hołdowniczych artykułów i wierszy. Kształt jednak czyjegoś życia ludzkiego nie jest osądzany na podstawie doraźnych utworów panegirycznych pisanych z konieczności. Nawet wielki poeta polski Mickiewicz nienawidząc cara musiał mu dedykować swój poemat i w dedykacji nie szczędził pochwał; był bowiem w pułapce; kiedy, używszy podstępów, wy dostał się z Rosji, pokazał, kim był naprawdę i nie bierze mu się za złe jego chytryści.

Podane przykłady wskazują, że Ketman pracy zawodowej nie jest całkowicie niewygodny dla rządzących. Stanowi on poważną siłę motoryczną i jest jedną z przyczyn ogromnego pędu ku kształceniu się, to jest ku uzyskaniu wiedzy czy umiejętności w jakiejś dziedzinie specjalnej, w której można swoją energię wyładować i dzięki której można się uchronić przed losem funkcjonariusza zależnego tylko od fluktuacji politycznych. Syn robotnika zostając na przykład chemikiem zyskuje awans trwały. Syn robotnika zostając urzędnikiem policji bezpieczeństwa wypływa na powierzchnię, tam gdzie poruszają się wielkie okręty, ale powierzchnia morza jest zmienna i burzliwa. Co jest jednak najważniejsze, dokonywanie eksperymentów chemicznych, budowanie mostów, sztuka poetyckiego przekładu, leczenie chorób - są czymś zasadniczo wolnym od fałszu. Państwo natomiast korzysta z tego Ketmanu, bo chemicy, inżynierowie i lekarze są potrzebni. Od czasu do czasu padają co prawda z góry głuche pomruki nienawiści do obywateli uprawiających Ketman w zakresie nauk humanistycznych. Nadzorca literatury w Centrum, Fadiejew, w jednym ze swoich przemówień znęcał się nad uniwersytetem leningradzkim, na którym doszło do objawów oburzających, bo jedna ze studentek napisała pracę magisterską o

poecie angielskim Savage'u Landorze. Komu potrzebny jest Landor? Kto o nim kiedy słyszał? - krzyczał Fadiejew. Również w krajach zależnych od Centrum wskazane więc są ze strony uprawiających ten Ketman umiar i ostrożność.

Ketman sceptyczny. Jest on chętnie uprawiany w kołach intelektualnych. Ludzkość - rozumuje się - nie umie ani sobie poradzić ze swoją wiedzą, ani rozwiązać trudności produkcji i rozdziału dóbr. Pierwsze próby naukowego opracowania problemów społecznych zrobione w dziewiętnastym wieku są interesujące, ale dość nieporadne. Trafiły one jednak w ręce Rosjan, którzy nie umieją rozumować inaczej niż dogmatycznie i którzy te pierwsze próby wydzwignęli do godności religijnego dogmatu. To, co się dzieje w Rosji i w krajach od niej zależnych, jest rodzajem obłąd. Niewykluczone, a nawet prawdopodobne jest, że Rosja potrafi narzucić swój obłąd całemu światu i że przebudzenie nastąpi dopiero po dwustu czy trzystu latach. Znalazłszy się w samym środku historycznego cyklonu należy zachowywać się możliwie rozważnie, to znaczy zewnątrznie ulegać całkowicie siłom, które z łatwością niszczą opornych. Nie przeszkadza to jednak czerpaniu przyjemności z obserwacji. Gdyż zjawisko jest naprawdę niebywałe. Nigdy chyba dotychczas człowiek nie był poddany równemu ciśnieniu i nigdy chyba nie kurczył się tak i nie zwijał, próbując przystosować się i żyć w foremkach skonstruowanych według książki, ale, jak się zdaje, nie na jego miarę. Wszystkie jego zdolności umysłowe i emocjonalne są wystawione na próbę. Kto patrzy na to codzienne widowisko wyrzeczeń się i poniżeń, wie więcej o człowieku niż ktokolwiek z mieszkańców krajów Zachodu, w których jedynym sposobem presji jest pieniądz. Gromadzenie tego zasobu spostrzeżeń jest zajęciem skąpca przeliczającego w ukryciu monety. Ketman ten nie przeszkadza zewnętrznej działalności zgodnej z obowiązującą linią, a nawet, ponieważ opiera się na zupełnym braku wiary w racjonalność Metody, pomaga, pozwalając na całkowity cynizm, a więc elastyczność w dostosowaniu się do zmieniającej się taktyki.

Ketman metafizyczny. Występuje on zwłaszcza w krajach o przeszłości katolickiej. Najwięcej przykładów w Imperium może dostarczyć Polska. Z innych krajów Hiszpania знаła dobrze katolików współpracujących z komunistami. Ketman ten polega na zawieszonym przekonaniu o metafizycznej zasadzie świata, to znaczy, że człowiek hołdujący temu Ketmanowi uważa epokę, w której żyje, za antymetafizyczną, a więc za taką, w której dzięki szczególnym przyczynom jakakolwiek wiara metafizyczna nie może się ujawnić. Ludzkość uczy się myśleć w kategoriach racjonalistycznych i materialnych, jest ona postawiona wobec zadań doraźnych i zaplątana w walkę klas. Natomiast religie zaświatowe ulegają rozpadowi i, co więcej, służą jako środek obrony przestarzałego porządku społecznego. Nie znaczy to, że w przyszłości ludzkość nie powróci do lepszej i oczyszczonej religii. Kto wie, czy Nowa Wiara nie jest niezbędnym czyścicem i czy gęsta Dei nie dokonują się per barbaros, a więc przez Centrum, które zmusza szerokie masy

do obudzenia się z letargu. Pokarm duchowy, jaki te masy otrzymują od Nowej Wiary, jest podrzędnego gatunku, Centrum myli się, sądząc że pokarm, jaki może zaofiarować tym masom, wystarczy. Niemniej należy pozytywnie oceniać przeoranie gruntu przez Nową Wiarę i zburzenie przez nią fasad, które tylko na zewnątrz były świetne, wewnątrz były doszczętnie spróchniałe i wydzielały zapach stęchlizny. Powinno się więc Nowej Wierze pomagać, nie zdradzając swojego przywiązania do Tajemnicy, tym bardziej że na jej ujawnienie, na przykład w literaturze, nie istnieją dzisiaj żadne sposoby, zarówno język jak zasób pojęć współczesnego człowieka nie są do tego dojrzałe. Ketman ten ma z kolei liczne odmiany. Niektórzy wierzący katolicy służą nawet w policji bezpieczeństwa i zawieszają swój katolicyzm w tej na ogół nie pozbawionej okrucieństwa robocie. Inni starają się zachować wspólnotę chrześcijańską w łonie Nowej Wiary i występują publicznie jako katolicy. Zabiegają oni o utrzymanie instytucji katolickich i często się to im udaje, bo dialektycy chętnie widzą tak zwanych “katolików postępowych” i “katolików-patriotów”, uległych w sprawach politycznych. Wzajemna gra jest dość dwuznaczna. Rządzący tolerują ten typ katolików jako przejściowe zło konieczne, bo nie nadszedł jeszcze etap, w którym religię można całkowicie wytepić, a lepiej mieć do czynienia z religiantami grzecznymi niż z opornymi. “Katolicy postępowi” są natomiast świadomi niezbyt zaszczytnego miejsca, jakie wyznaczają im rządzący, to jest miejsca szamanów i czarowników dzikich plemion, których się toleruje do czasu, gdy dzikich będzie można ubrać w spodnie i posłać do szkoły. Występują oni w różnych imprezach rządowych, a nawet są wysyłani za granicę jako egzemplarze okazowe, mające świadczyć wobec dzikich na Zachodzie o tolerancji Centrum wobec plemion niecywilizowanych. Ich obroną przed otaczającym poniżeniem jest Ketman metafizyczny: oszukują diabła, który sądzi, że ich oszukał, jakkolwiek diabeł wie dobrze, że sądzą, iż go oszukują, i jest zadowolony.

Nie tylko zresztą katolicy uznają ten Ketman. To, co zostało powiedziane o katolikach, da się zastosować do innych wyznań, jak również do osób stojących poza wyznaniem. Jednym z najniebezpieczniejszych zarzutów stawianych pisarzom jest posądzenie ich wierszy, sztuk teatralnych czy powieści o “metafizyczne residuum”. Ponieważ pisarz jest cywilizatorem, a nie może być czarownikiem czy szamanem, jakiejkolwiek oznaki skłonności metafizycznych są niewybaczalne. Literatura krajów nie poddanych do drugiej wojny światowej wpływom Nowej Wiary zdradzała szczególnie silne skłonności w tym kierunku, więc tropienie tej dewiacji ciągle jeszcze nie jest bezowocne. Na przykład sztuka teatralna, która wprowadza “dziwność”, to jest w której widać zainteresowanie autora dla tragizmu życia, nie znajdzie szans pojawienia się w teatrze. Tragizm losów ludzkich prowadzi bowiem do myśli o tajemnicy ludzkiego przeznaczenia. Niektórym pisarzom dawnym, na przykład Szekspirowi, wybacza się te przypadłości, ale nie może być mowy o tym, żeby ulegał im pisarz współczesny. Z tego też powodu tragicy greccy nie są

uznawani za stosowny repertuar teatralny. Marks uwielbiał tragików greckich, nie zapominajmy jednak, że związek Nowej Wiary z Marksem jest dość powierzchowny. Nowa Wiara jest tworem rosyjskim, a inteligencja rosyjska, która ją stworzyła, miała w najwyższym stopniu rozwiniętą pogardę dla wszelkiej sztuki nie służącej bezpośrednio celom społecznym (inne, niewątpliwie jak najbardziej społeczne funkcje sztuki wymykały się stale jej rozumieniu). Co do poezji, to ponieważ jej źródła z trudnością dają się odróżnić od źródeł wszelkiej religii, jest ona szczególnie narażona na prześladowanie. Poecie wolno wprawdzie opisywać góry, drzewa i kwiaty, ale wystarczy, żeby poczuł to nieokreślone uniesienie w obliczu przyrody, które ogarnęło Wordswortha na wycieczce do Tintern Abbey, aby został napiętnowany, a w razie uporu znikł z powierzchni życia literackiego. Jest to bardzo dobry środek na wyćpienie legionów złych poetów, którzy lubią spowiadać się publicznie ze swoich panteistycznych wzlotów, ale jest to również środek na wyćpienie poezji w ogóle i zastąpienie jej utworami o wartości reklam - piosenek nadawanych w Ameryce przez radio. Malarz z kolei może być równie łatwo oskarżony o użycie skrótów i syntetycznych kształtów (formalizm), jak o nadmierne lubowanie się w pięknie świata, czyli o postawę kontemplacyjną, która nasuwa podejrzenie, że z temperamentu jest metafizykiem. Muzyk powinien dbać o to, aby jego kompozycje były łatwe do przetłumaczenia na język potocznych czynności (entuzjazm pracy, zabawy ludowe etc.) i aby nie pozostawała reszta trudna do uchwycenia, a więc podejrzana. Jeżeli więc Ketman metafizyczny jest tolerowany u dzikich, to jest u wyznawców religii chrześcijańskiej, to nie wybacza się go artystom, których uważa się za wychowawców społeczeństwa.

Ketman etyczny. Etyka Nowej Wiary opiera się na zasadzie, że dobre jest wszystko, co służy interesom rewolucji, złe wszystko, co tym interesom szkodzi. Ponieważ poprawne zachowanie się obywateli w ich wzajemnych stosunkach pomaga sprawie socjalistycznego budownictwa! rewolucji - na moralność obywateli jest położony duży nacisk. Jest to centralny punkt Nowej Wiary: "wychowanie nowego człowieka". Wymagania stawiane członkom Partii w tym względzie są szczególnie surowe. Żąda się od nich niemal ascezy. Toteż wstąpienie do Partii nie jest zbyt różne od wstąpienia do zakonu, a akt ten jest traktowany przez literaturę Nowej Wiary z powagą równą tej, z jaką literatura katolicka traktowała śluby nowych zakonników. Im wyżej ktoś jest postawiony w hierarchii partyjnej, tym baczniej jego osobiste życie jest obserwowane. Takie objawy jak zamiłowanie do pieniędzy, pijaństwa, nieuporządkowana erotyka dyskwalifikują członka Partii i uniemożliwiają mu piastowanie ważniejszych stanowisk. Toteż w górze partyjnej zasiadają ludzie o wszelkich cechach ascetów oddanych jednej tylko sprawie, to jest sprawie rewolucji. Jeżeli chodzi o niektórych ludzi-narzędzia, pozbawionych rzeczywistego wpływu, ale wygodnych ze względu na ich nazwisko, to (nawet jeżeli należą do Partii) toleruje się, a nieraz popiera ich słabości, bo słabości te, na przykład zamiłowanie do luksusu czy pijaństwa, stanowią

gwarancję ich posłuszeństwa. Ideał etyczny Nowej Wiary jest jednak purytański. Gdyby można było umieścić wszystkich obywateli w celach i wypuszczać tylko na zebrania polityczne i do pracy, byłoby to niewątpliwie najbardziej pożądane. Niestety należy robić ustępstwa naturze ludzkiej. Przyrost ludności jest możliwy tylko dzięki stosunkom seksualnym mężczyzn i kobiet, z tą niedogodnością trzeba się liczyć.

“Nowy człowiek” jest tak wychowany, aby za normę swego postępowania uznawał wyłącznie dobro ogółu. Myśli on i reaguje tak jak inni, jest skromny, pracowity, zadowolona się tym, co ofiaruje mu państwo, prywatne życie ogranicza do nocy spędzanych w domu, poza tym przebywa zawsze wśród swoich kolegów - w pracy i w zabawie. Obserwuje starannie swoje otoczenie i donosi władzom o wszelkich myślach i czynkach swoich współtowarzyszy.

Donosicielstwo było i jest znane w różnych cywilizacjach. Na ogół jednak nie było nigdy podnoszone do godności cnoty. W cywilizacji Nowej Wiary jest zalecane jako cnota podstawowa dobrego obywatela (jakkolwiek unika się starannie samej nazwy, używając omówień). Jest ono podstawą, na której opiera się Strach wszystkich przed wszystkimi. Praca w biurze czy fabryce w krajach Nowej Wiary jest ciężka nie tylko przez sumę wydatkowanego wysiłku: bardziej wyczerpuje konieczna uwaga na oczy i uszy wszechobecne i czujne. Po zakończeniu pracy idzie się na polityczne zebranie czy na specjalne wykłady - i tak przedłuża się dzień bez chwili rozluźnienia uwagi. Szczerść rozmówców, jeżeli się zdarza, jest złym znakiem: pozorują oni rozluźnienie i beztroskę, współczucie i gniew, aby nastroić ciebie na odpowiedni ton i wydobyć zwierzenia, które posłużą im do napisania o tobie raportu; podniesie to ich wartość w oczach przełożonych.

Etyka oparta na kulcie ogółu daje więc w skutku coś, co z punktu widzenia dobra ogółu jest trucizną. Kiedy się nad tym myśli, mentalność mędrców Nowej Wiary wydaje się zagadkowa. Robią oni ustępstwa oczywistym słabościom ludzkim w zakresie fizjologii. Nie chcą jednak uznać, że istota ludzka ma również inne słabości, na przykład że czuje się dobrze, kiedy może zmniejszyć napięcie uwagi, a źle, kiedy jest w Strachu. Że jednak kłamstwo jej nie służy, bo towarzyszy mu wewnętrzna czujność. Te słabości połączone z innymi, jak chociażby skłonność do polepszania własnego losu kosztem bliźnich, zmieniają etykę w założeniu opartą na współpracy i braterstwie w etykę walki wszystkich ze wszystkimi, a największe dane do przetrwania w tej walce uzyskują jednostki najbardziej przebiegłe. Prawdopodobnie jest to inny gatunek niż ten, który miał największe szansę przetrwania w walce o pieniądź w początkach przemysłowego kapitalizmu. Psy podwórzowe można podzielić na ogół na dwa rodzaje: hałaśliwe i brutalne oraz skryte i kłujące milczkiem. Ten drugi rodzaj zdaje się być uprzywilejowany w krajach Nowej Wiary. Pięćdziesiąt czy sto lat wychowania według takich zasad może utrwalić gatunek ludzki, od którego nie będzie

już powrotu wstecz. "Nowy człowiek" nie jest bynajmniej tylko postulatem. Staje się on rzeczywistością.

Ketman etyczny powstaje z poczucia, że etyka lojalności wobec ogółu ma liczne słabe strony. Nie jest on rzadki wśród wysoko postawionych osobistości Partii. Ludzie nim dotknięci, jakkolwiek zdolni wymordować z zimną krwią milion ludzi w imię rewolucji, jeżeli zajdzie tego potrzeba, starają się niejako nadrobić swoją surowość i są w stosunkach osobistych uczciwsi i lepsi niż ludzie hołdujący etyce jednostkowej. Ich zdolność do współczucia i niesienia pomocy jest niemal nieograniczona, ona to zresztą - ta zdolność do współczucia - popchnęła ich w młodości na drogę rewolucji; powtórzyli w ten sposób doświadczenie samego Marksa. Ketman ten spotyka się przeważnie u starych komunistów. Kiedy natrafiają na konflikt pomiędzy więzami osobistej przyjaźni i interesem sprawy, której służą, odważają długo rzecz w swoim sumieniu i są bezlitośni tylko, jeżeli są zupełnie pewni, że zasłaniając przyjaciela albo powstrzymując się od oskarżenia go, wyrządzają szkodę temu, co jest dla nich najbardziej cenne. Są zwykle otoczeni dużym szacunkiem jako ludzie kryształowej prawości. Nie zwalnia ich to jednak od częstych posądzeń o "inteligenckość". "Inteligenckość" jest to pogardliwe określenie stosowane do tych, którzy są bez zarzutu jako teoretycy, ale którym zbyt duża wrażliwość na zagadnienia etyczne przeszkadza w akcji. Rewolucjonista powinien być bezwzględny i raczej ścinać ludzkie drzewa na oślepi niż zastanawiać się, czy któreś jest naprawdę spróchniałe.

Ketman etyczny jest oczywiście jednym z najmocniejszych w krajach demokracji ludowej., bo etyka Nowej Wiary jest tam wpajana zaledwie od kilku lat, a etyka zwalczana trwała tam od stuleci. Nigdy nie można przewidzieć, kiedy i u kogo ten Ketman wystąpi. Prowadzi to do zdumiewających niespodzianek. Ci, którzy dają wszelkie powody do przypuszczeń, że nie zajmują się donosicielstwem, uprawiają donosicielstwo nałogowo; na odwrót ci, których należy jak najbardziej posądzać o lekceważenie "przesądów", okazują niewytłumaczalną lojalność wobec swoich przyjaciół, a nawet obcych. Ketman ten jako utrudniający kontrolę nad umysłami obywateli jest starannie tępiony, jednak ilość sytuacji, w których może być on zastosowany, jest tak duża, że wymyka się on często środkom nacisku.

Mieszkaniec krajów Zachodu nie zdaje sobie zupełnie sprawy z tego, że miliony jego bliźnich, na zewnątrz zdawałoby się mniej czy bardziej do niego podobnych, przebywają w świecie równie dla niego fantastycznym jak świat mieszkańców Marsa. W porównaniu z nimi jest naiwnym dzieckiem, gdyż nieznanne mu są perspektywy, jakie Ketman otwiera na naturę ludzką. Życie w ciągłym wewnętrznym napięciu wykształca talenty, które w człowieku są uśpione. Nie podejrzewa on nawet, na jakie wyżyny sprytu i przenikliwości psychologicznej potrafi się wznieść, kiedy jest przyciśnięty do muru i kiedy musi być albo zręczny, albo zginąć. Przetrawienie najbardziej

przystosowanych do umysłowej akrobatyki stwarza typ ludzki mało dotychczas znany w Europie nowoczesnej. Konieczności, których wynikiem jest Ketman, rozwijają intelekt, nie ulega to wątpliwości. Ktoś, kto by za miarę życia umysłowego krajów Europy Środkowej i Wschodniej uważał monotonne artykuły pojawiające się w tamtejszej prasie i wygłaszane tam stereotypowe przemówienia, myliłby się bardzo. Jest to tylko zewnętrzna powłoka, przyjęto tam pewien specjalny styl, terminologię i rytuał językowy. Podobnie jak teologowie w okresach ścisłej ortodoksji wyrażali swoje poglądy przy pomocy rygorystycznego, zaleconego przez Kościół języka, tak tam ważne jest nie to, co ktoś powiedział, ale co chciał powiedzieć, zatajając swoją myśl przez przesunięcie przecinka, wstawienie "i", taką a nie inną kolejność omawianych problemów. Nikt, kto nie przebywa tam, nie wie, ile tytanicznych walk tam się toczy, jak padają bohaterowie Ketmanu i o co są prowadzone wojny. Oczywiście ludzie zaangażowani w te wojny przypominające niezwykle trudne partie filozoficznych szachów odnoszą się z lekceważeniem do swoich rodaków - emigrantów politycznych. Chirurg nie może uważać rzeźnika za równego mu w zręczności, tak samo wyćwiczony w precyzyjnych zabiegach Polak, Czech czy Węgier uśmiecha się słysząc, że ktoś na emigracji nazwał go zdrajcą (czy świnią) właśnie w chwili, kiedy ów zdrajca (czy świnią) jest zaangażowany w rozgrywkę, od której wyniku zależy los piętnastu laboratoriów czy dwudziestu pracowni artystycznych. Jak się płaci - tego za granicą nie wiedzą. Nie wiedzą, co się kupuje i za jaką cenę.

Ketman jako obyczaj społeczny nie jest pozbawiony zalet. Aby ocenić te zalety, wystarczy przyjrzeć się życiu krajów Zachodu. Ludzie zachodni, a zwłaszcza intelektualiści tamtejsi, cierpią na szczególny rodzaj taedium vitae; ich emocjonalne i umysłowe życie jest zbyt rozproszone; na próżno próbują ująć tę rzekę rozlewającą się szeroko po żwirach i jałowiznach w jedno obmurowane koryto. Albo, używając innego porównania, wszystko, co myślą i czują, ulatnia się jak para w niezmierny przestwór. Wolność jest dla nich ciężarem. Żadne wnioski, do których dochodzą, nie są obowiązujące: może być tak, ale może być też i inaczej. Stąd stała malaise. Najszczęśliwsi z nich zdają się być ci, którzy zostali komunistami: ustrój, w którym żyją, jest murem, o który się uderzają, wreszcie znalazł się opór i ten opór określa ich samych. Para ulatniająca się w powietrze została sprężona pod naciskiem. Jeszcze większe sprężenie uzyskują ci, którzy muszą ukrywać swoje komunistyczne przekonania, to jest uprawiać Ketman, obyczaj niezbyt zresztą popularny w krajach Zachodu.

Ketman polega, jak to widać jasno, na realizowaniu siebie wbrew czemuś. Uprawiający Ketman cierpi z powodu przeszkody, na jaką natrafia, ale gdyby przeszkoda została nagle usunięta, znalazłby się w pustce, kto wie czy nie o wiele bardziej przykryj. Wewnętrzny bunt jest nieraz potrzebny dla zdrowia i bywa szczególną odmianą szczęścia. To, co może być powiedziane, bywa

o wiele mniej interesujące niż emocjonalna magia obrony własnego sanktuarium. Zdaje się, że dla większości ludzi konieczność życia w ciągłym napięciu i czujności jest torturą, ale wielu intelektualistom sprawia to równocześnie masochistyczną przyjemność.

Uprawiający Ketman kłamie. Czy jednak byłby mniej fałszywy, gdyby mógł mówić prawdę? Malarz, który stara się przemycić niedozwolone ("metafizyczne") upojenie pięknem świata w swój obraz na temat życia w kołchozie, byłby zagubiony, gdyby dano mu pełną swobodę, bo piękno świata wydaje mu się tym większe, im mniej mu wolno jej przedstawiać. Poeta marzy o tym, co mógłby napisać, gdyby nie był skrępowany przez swoje polityczne obowiązki, ale być może to, co jest tak piękne w marzeniu, rozwiałyby się całkowicie w chwili, w której zostałby zwolniony od tych obowiązków. Ketman jest dobrodziejstwem: pielęgnuje marzenie. Człowiek uczy się kochać wzniesione dokoła niego zagrody. Kto wie, czy w braku wewnętrznego ośrodka w człowieku nie leży tajemnica powodzenia Nowej Wiary, jej wielki urok dla intelektualistów. Nowa Wiara, poddając człowieka ciśnieniu, stwarza ośrodek, a w każdym razie stwarza w nim poczucie, że ten ośrodek istnieje. Strach przed wolnością nie jest niczym innym niż Strachem przed pustką. "W człowieku nie ma nic - powiedział mi mój przyjaciel-dialektyk - z siebie samego nic nie wydobędziesz, bo tam nic nie ma. Nie możesz odejść od ludzi i na pustyni pisać. Pamiętaj, że człowiek jest funkcją społecznych sił. Kto zechce być sam, zniszczy." To jest pewnie słuszne. Ale wątpię, czy może to być uznane za coś więcej niż prawo naszych czasów. Gdyby człowiek czuł, że w nim nie ma nic, Dante nie mógłby napisać "Boskiej komedii", Montaigne swoich "Prób", a Chardin namalować jednej nawet martwej natury. Uznając, że nic ma w nim nic, akceptuje dzisiaj cośkolwiek - choćby wiedział, że to cośkolwiek jest złe - byleby znaleźć się razem z innymi i nie być samemu. I dopóki tak uważa, postępowaniu jego nie można wiele zarzucić. Lepiej jest hodować rozrośnięty Ketman i poddawać się ciśnieniu i dzięki temu ciśnieniu mieć chwile poczucia, że się jest, niż ryzykować klęskę zaufawszy mądrości minionych wieków, które twierdziły, że człowiek jest istotą boską.

A gdyby spróbować żyć bez ciśnienia i bez Ketmanu, wyzwąć los, powiedzieć: "Jeżeli przegram, nie będę siebie żałował?" Jeżeli da się żyć bez narzuconego oporu, jeżeli da się samemu stworzyć własny opór, to nieprawdą jest, że w człowieku nie ma nic. To byłby akt wiary.

IV - ALFA - CZYLI MORALISTA

Historia ostatnich kilkunastu lat w Europie Środkowej i Wschodniej obfituje w sytuacje, wobec których tracą wagę wszelkie epitety i rozważania teoretyczne. Wysiłek ludzi, aby sprostać tym sytuacjom, decyduje o ich losach. Rozwiązania, jakie każdy z nich przyjmuje, są różne zależnie od tych nieuchwytnych czynników, które składają się na indywidualność człowieka.

Ponieważ te zawite ścieżki losu milionów są najlepiej widoczne u tych, którzy z zawodu odnotowują zmiany zachodzące w sobie i w innych, to jest u pisarzy, ich dziejów użyję jako przykładu. Postaram się naszkicować kilka portretów pisarzy wschodnich.

Człowiek, którego nazwę Alfa, jest jednym z bardziej znanych prozaików na wschód od Elby. Był on moim serdecznym przyjacielem i łączą nas wspomnienia wielu trudnych chwil, które przeżyliśmy razem. Trudno obronić mi się przed wzruszeniem przywołując jego osobę. Zapytuję nawet siebie, czy powinienem jego właśnie poddawać analizie. Jednak zrobię to, bo przyjaźń nie przeszkodziłaby mi ogłosić artykułu o jego książkach, w którym powiedziałbym mniej więcej to samo, co powiem.

Alfa przed drugą wojną światową był to wysoki, chudy młodzieniec w rogowych okularach. Umieszczał swoje opowiadania w pewnym prawicowym tygodniku, który nie cieszył się w kołach literackich dobrą opinią, jako że koła literackie Warszawy były złożone przeważnie z Żydów albo z ludzi, którzy niechętnie patrzyli na rasistowskie i totalitarne tęsknoty tego pisma. Redaktor tygodnika był poniekąd odkrywcą Alfę i miał powody, żeby wieszować sobie wyboru, bo talent Alfę rozwijał się szybko. Wkrótce tygodnik zaczął drukować jego powieść. Powieść ukazała się nakładem jednej z większych firm wydawniczych i narobiła wiele hałasu.

Główne zainteresowania Alfę zwrócone były ku tragicznym konfliktom moralnym. W owym czasie wielu młodych pisarzy ulegało urokowi prozy Józefa Conrada. Alfa był na sposób pisania Conrada szczególnie wrażliwy, bo miał skłonność do ustawiania swoich bohaterów hieratycznie i posągowo. Fascynowała go noc. Drobnicy ludzie ze swoimi potężnymi namiętnościami w nocy, której ogrom i tajemniczość ogarniały ich los olbrzymią drapierią; taka była przeważnie sceneria jego teatru, choć nie pisał sztuk, tylko opowiadania i powieści. Posągowość, milczenie, ogrom pozaludzkiego, obojętnego świata - w tym jego młodzieńcze utwory były wspólne z utworami Conrada. Postawa Alfę była metafizyczna i tragiczna. Dręczyło go zagadnienie czystości - i czystości moralnej, i czystości tonu w tym, co pisał. Destylował swoje zdania. Chciał, żeby każde z nich było nie tylko opisem, ale układało się jak część utworu muzycznego, żeby było niezastąpione i działało samym dźwiękiem. Ta potrzeba czystości, powiedziałbym: nieziemskiej

czystości, była cechą charakteru Alfego, który w obcowaniu z ludźmi lubił być wyniosły i chodzić w koturnach. I pogoń za czystością w pracy pisarskiej, i wyniosłość łączyły się ze sobą: była to sublimacja samego Alfego, jego drugie ja, na które przerzucał wszystkie swoje nadzieje. Im więcej martwił się swoim prywatnym, nieuporządkowanym życiem, tym bardziej cenił czynność okupiającą, jaką było dla niego pisanie, i tym bardziej nadawał jej wagę uroczystego obrządku. Ktoś o nim powiedział, że zanim weźmie do ręki pióro, nakłada powłóczęstą szatę maga. Godnością, która by mogła nasycić jego ambicję, była godność kardynała. Powolne ruchy, purpura, podawanie pierścienia do pocałowania - oto czystość gestu, wyładowanie się w lepszym ja; są aktorzy komiczni, którzy całe życie marzą o najbardziej poważnej, dostojnej roli; działają tam pewne podobne motywy. Alfa, który był obdarzony znakomitym zmysłem humoru w rozmowie, zmieniał się zupełnie, kiedy zaczynał pisać: odtąd przebywał tylko w najwyższych rejestrach tragedii. Jego ambicje sięgały znacznie dalej niż zdobycie imienia autora dobrze napisanych książek. Chciał być pisarzem - autorytetem moralnym.

Powieść, o której wspominałem i która była jego pierwszym dużym sukcesem, została szeroko rozreklamowana jako powieść katolicka, a sam Alfa uzyskał dzięki niej tytuł najzdolniejszego katolickiego pisarza, co w kraju katolickim, jakim była Polska, nie było mało. Czy był naprawdę pisarzem katolickim - trudno rozstrzygnąć. W dwudziestym wieku ilość katolickich pisarzy jest znikoma. Tak zwane nawrócenia intelektualistów są zwykle dość podejrzanego gatunku i nie różnią się od przejściowych nawróceń na surrealizm, ekspresjonizm, egzystencjalizm itp. Nie mogę rozstrzygnąć, czy Alfa był katolikiem, chociaż spotykałem się z nim często każdemu wolno było wtedy wierzyć i pisać zgodnie ze swoją wiarą.

Mimo rozgłosu i pieniędzy Alfa w głębi serca nie uważał swojej powieści ani tomu opowiadań, które wydał, za dobre książki. Pozycja, jaką zdobył, pozwalała mu na uprawianie lubianej przez niego wyniosłości; był pasowany na twórcę głębokiej i szlachetnej literatury, natomiast książki jego kolegów mogły liczyć na trafienie do szerszej publiczności chyba tylko jako sensacja niezbyt wysokiego gatunku; hołdowały one jaskrawemu naturalizmowi, który wyrażał się w opisach zjawisk z zakresu fizjologii, albo były psychologicznymi traktatami, przebranymi w formę powieści. Literaci żyli w intelektualnym getcie swoich kawiarni i im bardziej cierpieli z powodu swojej izolacji od życia szerokich mas narodu, tym dziwniejszy i mniej zrozumiały stawał się ich styl. Przykry osad, jaki został w Alfie po wydaniu jego pierwszych książek, był dla niego samego trudny do zdefiniowania; jednak chwila, kiedy zdał sobie sprawę, że coś jest z jego pisaniem nie w porządku, była decydująca dla całego jego dalszego życia. Ogarnęło go wielkie wątpliwość. Jeżeli jego koledzy pisarze również wątpili w wartość swego dzieła zawieszona w pustce, to wątpliwość Alfego przybrało większe rozmiary. Chciał osiągnąć czystość moralnego tonu -

ale czystość, aby była prawdziwa, musi być ziemską, mocno oparta o doświadczenie i obserwację, inaczej jest fałszem. Alfa spostrzegł, że zabrnął w fałsz, bo przebywał wśród idei o ludziach, a nie wśród żywych ludzi. To, co wiedział o człowieku, było oparte na jego własnych wewnętrznych przeżyciach w czterech ścianach jego pokoju. Katolicyzm jego nie był niczym więcej niż maską, którą się posłużył. Igrał z katolicyzmem postępując tak, jak postępowało wielu intelektualistów dwudziestego wieku próbujących okryć własną nagość szacowną, staroświecką szatą. Szukał sposobu, jak wywołać w czytelniku pożądany emocjonalny oddźwięk: oczywiście czytelnik, znajdując słowa takie jak "łaska" czy "grzech", znane mu z dzieciństwa, reaguje silnie. Ale w takim użyciu słów i pojęć przez autora jest coś 7. nadużycia. Alfa zwątpił w realność konfliktów, które sam tworzył. Nazywany pisarzem katolickim wiedział, że pisarzem katolickim nie jest, podobnie jak malarz, który przez pewien czas malował kubistycznie, ze zdziwieniem stwierdza, że ciągle nazywają go kubistą. Złudzeni pozorami krytycy zaliczali jego pisarstwo do zdrowej i szlachetnej literatury, przeciwstawiając je pisarstwu jego kolegów noszącemu cechy dekadencji. On sam rozumiał jednak, że nie był wcale zdrowszy od kolegów, którzy przynajmniej nie ukrywali swojej żalostnej nagości.

Wybuchła wojna, nasze miasto i kraj stały się częścią imperium Hitlera. W ciągu pięciu i pół lat żyliśmy w wymiarze całkowicie innym od tego, co można było znać z jakiegokolwiek doświadczenia czy literatury. Powiedziałbym, że to, co dane nam było zobaczyć, przekraczało najśmielszą i najbardziej makabryczną wyobraźnię. Znane nam dawniej opisy okropności pobudzały teraz do śmiechu jako naiwne i dziecinne opowiadania. Rządy niemieckie w Europie były okrutne, ale nigdzie tak okrutne jak na Wschodzie; na Wschodzie bowiem mieszkaly rasy, które według doktryny nacjonal-socjalizmu zasługiwały albo na doszczętne wytepienie, albo na użycie do ciężkiej, fizycznej pracy.

A jednak żyliśmy i ponieważ byliśmy pisarzami, staraliśmy się pisać. Co prawda coraz to ubywał ktoś z nas, wywieziony do obozów koncentracyjnych czy rozstrzelany. Nie było na to rady. Byliśmy jak ludzie na lodowej krze, która topnieje. Nie należało myśleć o chwili, kiedy stopnieje. Komunikaty wojenne podawały dane naszego wyścigu ze śmiercią. Powinniśmy byli pisać: był to jedyny sposób uchronienia się od rozpacz. Poza tym cały kraj był objęty siecią konspiracji i naprawdę istniało w nim "państwo podziemne", dlaczegóżby nie miała istnieć również podziemna literatura. Drukowanie pism i książek w języku podbitego narodu było zakazane. Niemniej życie kulturalne nie dawało się stłumić. Podziemne publikacje były odbijane na powielaczu albo drukowane nielegalnie jako pisma, broszury i książki małego formatu, łatwe do kolportażu. Organizowano wiele podziemnych odczytów i wieczorów autorskich. Były nawet podziemne

przedstawienia teatralne. Wszystko to podnosiło morale podbitego, ale ciągle jeszcze walczącego narodu. Morale to było dobre, nieco zbyt dobre, jak tego dowiodły wypadki przy końcu wojny.

Alfa w ciągu tych lat realizował z powodzeniem swój ideał pisarza - moralnego autorytetu. Jego zachowanie się było zachowaniem wzorowego pisarza - obywatela. Jego sądy o tym, jakie postępy są właściwe, a jakie niewłaściwe, uchodziły w kołach literackich za rodzaj wyroczeni i zwracano się często do niego z prośbą, aby rozstrzygnął, czy ktoś nie wykroczył poza zasady niepisanego, patriotycznego kodeksu. Przez ciche uznanie został rodzajem przywódcy wszystkich pisarzy w naszym mieście. Na jego ręce szły pieniądze z podziemnych funduszy i on rozdelał pieniądze pomiędzy potrzebujących pomocy kolegów; posiadał dość wysoki stopień konspiracyjnego wtajemniczenia; opiekował się początkującymi pisarzami; odważył się nie podać ręki publicznie jednemu z pisarzy, który w Warszawie zgodził się na współpracę z Niemcami wstępując na służbę do niemieckiej firmy wydawniczej. Był inicjatorem i współredaktorem podziemnego pisma literackiego, którego egzemplarze, pisane na maszynie, przekazywane były kolejno "klubom" zbierającym się tajnie i tam głośno czytane. Jego postawa była nacechowana prawdziwym humanitaryzmem. Już przed wojną odzegał się od swego prawniczego patrona, który głosił potrzebę wprowadzenia w kraju własnego totalizmu (patron ten został rozstrzelany przez gestapo w pierwszym roku wojny). Kiedy władze niemieckie przystąpiły do systematycznego mordowania trzymilionowej ludności żydowskiej w Polsce, antysemita nie uważał za konieczne martwić się zanadto; potępiali to bestialstwo głośno, ale wielu z nich po cichu myślało, że nie jest ono całkowicie nieuzasadnione. Alfa należał do tych mieszkańców naszego miasta, którzy zareagowali na masowe morderstwa gwałtownie; walczył piórem przeciwko obojętności innych i sam udzielał pomocy ukrywającym się Żydom, chociaż za pomoc Żydom groziła kara śmierci.

Był zdecydowanym przeciwnikiem nacjonalizmu, który znalazł w Niemczech tak koszmarne wcielenie. Nie oznacza to bynajmniej, że miał skłonności komunistyczne. Ilość komunistów w Polsce była zawsze nieznaczna, a współpraca Rosjan z Niemcami po pakcie Mołotow-Ribbentrop stworzyła warunki szczególnie nieprzychylnie dla działalności zwolenników Moskwy. Podziemie komunistyczne było słabe. Nadzieje mas ludności zwracały się ku Zachodowi, a "państwo podziemne" zależne było od rządu emigracyjnego w Londynie. Alfa, zawsze czuły na opinie moralne otoczenia (jego czułość można przyrównać do czułości barometru), nie mógł odnosić się z sympatią do kraju, który nie budził w nim niemal przyjaznych uczuć. Jak większość jego przyjaciół chciał daleko idących socjalnych reform i rządów ludu.

Spotykałem się z Alfą często. Nie przesadziłbym zanadto, gdybym powiedział, że spędziliśmy razem lata wojenne. Widok Alfę był podnoszący na duchu; na przekór wszystkim przeciwnościom uśmiechał się, zachowywał się nonszalancko i aby podkreślić swoją pogardę dla

podkutych butów, mundurów i wrzasków “Heil Hitler” - nosił parasol. Jego wysoki wzrost, chudość, ironiczne błyski oczów zza okularów i namaszczenie, z jakim kroczył ulicami miasta, w którym szalała dzuma terroru - składały się na sylwetkę zaprzeczającą prawom wojny. Zdarzyło się raz, że wracaliśmy z wizyty u naszego wspólnego przyjaciela, który mieszkał na wsi. O ile sobie przypominam, spieraliśmy się o wybór pociągu; zdecydowaliśmy się jechać, chociaż gospodarze doradzali pociąg odchodzący pół godziny później. Przyjechaliśmy do Warszawy i szliśmy ulicami bardzo zadowoleni z życia; był to pogodny letni ranek 1940 roku. Nic nie wiedzieliśmy, że dzień ten miał być odnotowany jako czarny dzień w dziejach miasta. Ledwo wróciłem do siebie i zamknąłem drzwi, usłyszałem na ulicy krzyki. Wyrzałem przez okno, odbywała się tam łapanka. Była to pierwsza wielka łapanka do Oświęcimia. W Oświęcimiu później zabito kilka milionów ludzi z różnych krajów Europy, ale wtedy ten obóz koncentracyjny był dopiero w zalążku. Z pierwszego wielkiego transportu ludzi złapanych tego dnia na ulicach nikt, jak się zdaje, nie pozostał przy życiu. Alfa i ja przeszliśmy ulicami pięć minut przed początkiem obławy; parasol i beztroska Alfy przynosiły szczęście.

Lata te były próbą dla każdego pisarza. Rzeczywisty tragizm wydarzeń usuwał w cień urojone tragedie. Kto nie potrafił znaleźć wyrazu dla zbiorowych rozpacz i nadziei, wstydził się swego narodu. Istniały już tylko uczucia elementarne: strach, ból z powodu utraty bliskich, nienawiść do ciemnych, współczucie dla udręczonych. Alfa, którego talent poszukiwał tragedii prawdziwej, a nie urojonej, poczuł w rękach materiał i napisał szereg opowiadań, które miały złożyć się na książkę wydaną po wojnie; książka ta została przełożona na wiele języków. Przedmiot wszystkich opowiadań można określić jako lojalność. Nie darmo Conrad był ulubionym autorem młodszych lat Alfego. Była to lojalność wobec czegoś w człowieku, co jest nienazwane, ale potężne i czyste. Przed wojną Alfa był skłonny nazywać ten imperatyw moralny po katolicku. Teraz bał się fałszu, stwierdzał tylko, że ów imperatyw istnieje. Kiedy jego umierający bohaterowie kierowali wzrok ku milczącemu niebu, nie mogli tam odczytać nic prócz nadziei, że ich wierność jest być może oparta o jakąś zasadę świata i że ta zasada świata nie jest całkowicie bezsensowna ani obca pragnieniom moralnym człowieka. Moralność bohaterów Alfego była laicka ze znakiem zapytania, z pauzą, ale ta pauza nie była jeszcze wiarą. Myślę, że był uczciwszy w tych opowiadaniach niż w swoich przedwojennych utworach. Równocześnie z wielką siłą wyrażał stan umysłu tych niezliczonych podziemnych bojowników, którzy ginęli w walce z nazizmem. Dlaczego rzucali oni swoje życie na szalę? Dlaczego akceptowali tortury i śmierć? Co ich do tego skłaniało? Nie mieli punktu oparcia w miłości do Fuhrera jak Niemcy ani w Nowej Wierze jak komuniści. Wątpliwe, czy większość z nich wierzyła w Chrystusa. Więc tylko wierność - wierność temu, co nazywali imieniem ojczyzny czy honoru, a co było mocniejsze niż nazwy. W jednym z

opowiadań Alfego chłopak torturowany przez żandarmów, wiedząc, że będzie rozstrzelany, wydaje swego przyjaciela, bo boi się umierać sam. Spotykają się przed plutonem egzekucyjnym i zdradzony wybacza temu, kto go zdradził. To przebaczenie nie może być usprawiedliwione przez żadną etykę utylitarną: nie ma powodu, aby wybaczać zdrajcom. Gdyby to opowiadanie pisał sowiecki autor - zdradzony odwróciłby się z pogardą od człowieka, który uległ nikczemnej słabości. Odszedłszy od katolicyzmu, Alfa stał się pisarzem bardziej chrześcijańskim, niż był przedtem, zakładając, że etyka lojalności jest przedłużeniem etyki chrystianizmu i że jest przeciwstawna etyce społecznych celów. W drugiej połowie wojny zaszedł w "państwie podziemnym" poważny kryzys świadomości politycznej. Walka podziemna z okupującą potęgą pociągała za sobą wielkie ofiary, ilość rozstrzelanych i zlikwidowanych w koncentracyjnych obozach wciąż rosła. Uzasadniając potrzebę ofiar tylko wiernością umysł był narażony na wątpliwości. Wierność może być podstawą indywidualnej decyzji, ale tam, gdzie w grę wchodzi decyzje dotyczące losu setek tysięcy ludzi, wierność nie wystarcza, szuka się racjonalnych celów. Jakież mogły być te cele? Ze wschodu zbliżała się zwycięska Armia Czerwona. Armie zachodnie były daleko. W imię jakiej przyszłości, w imię jakiego porządku umierali co dzień młodzi ludzie - to pytanie zadawał sobie niejeden z tych, których zadaniem było podtrzymywać morale innych. Nikt nie umiał udzielić odpowiedzi. Irracjonalne marzenia, że zdarzy się coś, co powstrzyma pochód Armii Czerwonej, a równocześnie obali reżim Hitlera, łączyły się z odwoływaniem się do honoru "kraju bez Quislinga". Nie było to zbyt pewną ostoją * dla bardziej trzeźwych umysłów. W tym momencie zaczęły działać podziemne organizacje komunistyczne, do których przyłączyli się niektórzy przedstawiciele lewego skrzydła socjalistów. Program komunistów był o wiele lepiej uzasadniony niż program "państwa podziemnego" zależnego od Londynu; kraj, jak było to już dość jasne, miał być wyzwolony przez Armię Czerwoną. Z jej pomocą należało przeprowadzić rewolucję. Wśród intelektualistów podziemia można było zauważyć szczególne rozdrażnienie, zwrócone przeciwko irracjonalnym nastrojom szerzącym się w ruchu oporu. Nastroje te zbliżały się do hysterii. Uprawiać konspirację stało się celem samym w sobie. Umierać i narażać innych na śmierć - niemal sportem. Alfa, który w swoich opowiadaniach głosił etykę wierności, mógł łatwo znaleźć dookoła siebie jej karykaturę. Kodeks patriotyczny jego środowiska zabraniał mu zbliżać się do nielicznych ugrupowań zależnych od Moskwy. Alfa, jak wielu jego przyjaciół, poczuł się w pułapce. Temu zapewne należy przypisać charakter jego opowiadań, które powstały w tym okresie. Po raz pierwszy pisząc sięgnął do swego poczucia humoru. W swoich opowiadaniach przedstawił dobrze mu znane postacie maniaków konspiracji. Satyra jego odkrywała również tło społeczne konspiracyjnej hysterii: nie ulega wątpliwości, że "państwo podziemne" było tworem przede wszystkim inteligencji, tej warstwy, która jest nieznaną już w zachodnich krajach Europy, nie

mówiąc o krajach anglosaskich. Szczególne cechy tej inteligencji, będącej w obyczaju i w przywiązaniach spadkobierczynią szlachty (nawet jeżeli jest to inteligencja pochodzenia chłopskiego), nie są miłe dla intelektualistów; w istocie w Polsce odbywały się w ciągu ostatnich kilku dziesiątków lat ciągle próby rewolty intelektualistów przeciwko inteligencji, której sami byli częścią: był to odpowiednik rewolty intelektualistów przeciwko middle class, na przykład w Ameryce. Przedstawiciel inteligencji, kiedy zaczynał naprawdę myśleć, spostrzegał, że jest odizolowany od szerokich mas narodu; starając się odzyskać związek z masą stawał się radykałem, bo dostrzegał wadliwość ustroju. Alfa pisząc satyrę na inteligencję konspiracyjną przekonywał się, że warstwa ta, z jej licznymi aberracjami, jest jak najgorszą zapowiedzią na przyszłość, jeżeli z niej mają się rekrutować przyszli rządzący kraju - co zdawało się nieuniknione w wypadku zjechania do kraju rządu emigracyjnego z Londynu.

Właśnie kiedy przechodził ten proces gorzkiego i bezsilnego szyderstwa, wybuchło powstanie. Przez dwa miesiące nad Warszawą stał wysoki na parę kilometrów słup dymu i płomieni. W wyniku walk ulicznych zginęło około 200 tysięcy ludzi, a te dzielnice, które nie zostały zburzone przez bomby i ogień ciężkiej artylerii - uległy spaleniowi przez oddziały SS; miasto, które przed powstaniem liczyło ponad milion mieszkańców, po powstaniu było pustynią ruin, jego ludność została deportowana, a jezdnie pozbawione bruku zamienione na cmentarze. Alfa mieszkał na odległym przedmieściu, w dzielnicy graniczącej z polami. Dzięki temu ocalał i udało mu się przedostać przez strefę, w której łapano uchodzącą ludność na roboty przymusowe i do obozów koncentracyjnych.

W kwietniu 1945 roku, już po wypędzeniu Niemców przez Armię Czerwoną (walki wtedy toczyły się u bram Berlina), przyjechaliśmy z Alfą do Warszawy i błądziliśmy razem po górach gruzu, które wznosiły się tam, gdzie kiedyś były ulice. Kilka godzin przebywaliśmy w zakątku miasta dobrze nam kiedyś znanym. Nie mogliśmy go teraz poznać. Wspięliśmy się po stoku czerwonych cegieł i weszliśmy w fantastyczny krajobraz księżycy. Panowała tam zupełna cisza. Balansując, aby nie upaść, schodziliśmy w dół usypiskami i wynurzały się przed nami coraz to nowe sceny pustki i zniszczenia.

W jednym z wąwozów natknęliśmy się na deszczułkę przymocowaną do metalowej sztaby. Na deszczułce odczytaliśmy napis zrobiony brunatną farbą (farba wyglądała jak krew). Napis ten brzmiał: "Droga cierpień porucznika Zbyszka". Alfa musiał wtedy myśleć to samo co ja. Myśleliśmy o śladzie, jaki zostaje po życiu człowieka. Te słowa brzmiały jak krzyk ze zdruzgotanej ziemi, zwrócony ku niebu. Było to wołanie o sprawiedliwość. Kim był porucznik Zbyszek? Jakie były jego cierpienia, o których nie dowie się nikt z żyjących? Wyobrażaliśmy sobie, jak pełzał po tym szlaku, który zaznaczył napisem jeden z jego kolegów, też pewnie później poległy. Jak

wysiłkiem woli utrzymywał słabnące siły i czując, że jest ranny, myślał tylko o jednym: o wypełnieniu zadania. Po co? Kto zmierzył jego mądrość czy szaleństwo? Czy była to monada Leibniza mająca we wszechświecie swoje przeznaczenie, czy też tylko syn pocztowego urzędnika idący za przykazaniem honoru, które zostało mu wpojone przez jego ojca pamiętnego na cnoty szlacheckiego dworku?

Szliśmy dalej i natrafiliśmy na wydeptaną ścieżkę. Ścieżka ta zaprowadziła nas w kotlinę między górami. Na dnie kotliny stał niezdarnie sklecony krzyż, a na nim hełm. Pod krzyżem świeżo zasadzone kwiaty. Leżał tu czyjś syn, matka odnalazła do niego drogę i wydeptała ścieżkę przez codzienne swoje wizyty.

Łoskot jakby teatralnych gromów odezwał się nagle. To powiał wiatr i pogięte blachy trzymające się na ścianie, która była jak cypel skalny, zaczęły bębnić o siebie. Wydostaliśmy się z rumowisk na nietknięte niemal podwórze. Między chwastami widać tam było zardzewiałe maszyny, a na stopniach spalonej willi znaleźliśmy księgi z saldem strat i zysków.

Powstanie warszawskie rozpoczęte na rozkaz rządu emigracyjnego w Londynie wybuchło, jak wiadomo, w chwili kiedy Armia Czerwona zbliżała się do stolicy, a cofające się wojska niemieckie toczyły walki na przedpolach miasta. Temperatura konspiracyjnych nastrojów dosięgała wtedy wrzenia. Armia podziemna chciała się bić. Celem powstania było wyrzucenie Niemców i zajęcie miasta tak, aby Armia Czerwona zastała tam już funkcjonujące polskie władze. Kiedy bitwa w mieście się zaczęła i kiedy się okazało, że Armia Czerwona stojąca za rzeką nie rusza z pomocą, za późno było na rozważania; tragedia rozegrała się do końca z dokładnością wszelkich przepisów. Było to powstanie muchy przeciwko dwóm olbrzymom. Jeden olbrzym stał za rzeką i czekał, aż drugi olbrzym zdusi muchę. Mucha wprawdzie broniła się, ale jej żołnierze byli uzbrojeni przeważnie tylko w pistolety, granaty i bańki z benzyną. Olbrzym natomiast przez dwa miesiące posyłał nad miasto co kilka minut swoje bombowce, które zrzucały ładunek z wysokości pięćdziesięciu metrów. Wspomagał natarcie swoich oddziałów czołgami i używał najcięższej artylerii. Muchę wreszcie zdusił, a wkrótce sam został zduszony przez cierpliwego drugiego olbrzyma.

Nie widać żadnych logicznych powodów, dla których Rosjanie mieli udzielić pomocy Warszawie. Nieśli na Zachód wyzwolenie od Hitlera i wyzwolenie od dotychczasowego porządku, który chcieli zastąpić porządkiem dobrym, to jest ich własnym. Na przeszkodzie obaleniu w Polsce kapitalizmu stało "państwo podziemne" i emigracyjny rząd londyński, podczas gdy na zapleczu Czerwonej Armii urzędował już inny rząd polski przygotowany w Moskwie. Zniszczenie Warszawy przedstawiało niewątpliwie plusy: ginęli w niej właśnie, w walkach ulicznych, ci, którzy mogliby przyczynić w rządach najwięcej kłopotu, to jest młodzież inteligencka, zaprawiona w

walce podziemnej z Niemcami i bezgranicznie fanatyczna w swoim patriotyzmie. Samo miasto natomiast w ciągu lat okupacji przekształciło się w podziemną fortecę, pełną tajnych drukarni i składów broni. Ta tradycyjna stolica buntów i powstań była z pewnością najmniej subordynowanym z miast na obszarze, który miał się znaleźć pod wpływami Centrum. Za udzieleniem pomocy mogłaby więc przemawiać tylko litość dla ginącej milionowej ludności miasta. Litość jest jednak uczuciem zbędnym tam, gdzie przemawia Historia.

Alfa chodząc tak ze mną po ruinach Warszawy czuł - jak wszyscy co ocalili - gniew. W płytkich grobach, których można było znaleźć wiele w tym księżycowym krajobrazie, leżeli jego bliscy przyjaciele. Dwudziestoparoletni poeta Krzysztof, szczupły astmatyk, fizycznie nie mocniejszy od Marcela Prousta, zginął na posterunku ostrzeliwując z okna czołgi SS. Tak przepadła największa nadzieja polskiej poezji. Jego żona Barbara umarła z ran w szpitalu ściskając w rękę rękopis wierszy męża. Poeta Karol, syn robotniczej dzielnicy, autor sztuki o Homerze, i jego nieodłączny towarzysz, poeta Marek, wylecieli w powietrze na barykadzie, pod którą Niemcy podłożyli ładunek dynamitu. Alfa wiedział też, że osoba, którą kochał w swoim życiu najbardziej, została deportowana po zgnieceniu powstania do obozu koncentracyjnego w Ravensbruck. Długo później na nią czekał po końcu wojny i musiał wreszcie przyjąć myśl, że nie żyje. Gniew Alfego był skierowany przeciwko tym, którzy spowodowali klęskę: oto był przykład, do czego prowadzi wierność nie licząca się z nikim i niczym, kiedy spotka się z koniecznościami Historii. Jak kiedyś Alfa zwątpił w swoje katolickie słowa, tak teraz etyka lojalności jego tragicznych opowiadań wojennych wydała mu się pięknie brzmiącą pustką. Zaiste, on był jednym z odpowiedzialnych za to, co się stało. Czyż nie widział wpatrzonych w siebie oczu młodzieży, kiedy czytał swoje opowiadania na potajemnych wieczorach autorskich? Ta właśnie młodzież ginęła w powstaniu: nieznanemu porucznikowi Zbyszek, Krzysztof, Barbara, Karol, Marek i tysiące takich jak oni. Wiedzieli, że nie ma nadziei zwycięstwa i że ich śmierć jest tylko gestem w obliczu obojętnego świata. Godzili się na nią nie pytając nawet, czy jest jakaś waga, która waży ich czyny. Młody filozof Milbrand, wielbiciel Heideggera, użyty przez swoich przełożonych do pracy prasowej, zażądał, aby posłano go na linię boju, bo uważał, że największym darem, jaki ma człowiek, jest chwila wolnego wyboru; w trzy godziny potem już nie żył. Nie było granic tym szaleństwom dobrowolnej ofiary.

Alfa nie obwinał Rosjan. Nie zdałoby się to na nic. Występowali oni jako siła Historii, Komünizm walczył z faszyzmem, a między dwie moce dostali się Polacy ze swoją etyką, nie opartą na niczym prócz wierności. Józef Conrad, ten niepoprawny polski szlachcic! A przecież w dwudziestym wieku, jak to wskazywał przykład tego miasta, nie było już miejsca na imperatyw ojczyzny i honoru, nie wsparty żadnym celem. Dla Niemców powstańcy nie byli nawet wrogiem; byli niższą rasą, którą należało zniszczyć. Dla Rosjan byli "polskimi faszystami". Moralista tej

epoki - myślał Alfa - powinien zwracać uwagę na cele społeczne i społeczne skutki. Powstanie warszawskie było łabędzim śpiewem inteligencji i końcem ustroju, którego broniła. Było to jak szaleńcze szarże konfederatów w amerykańskiej wojnie domowej, które nie zapobiegły zwycięstwu Północy. Rewolucja z chwilą upadku powstania już się w rzeczywistości dokonała: droga do niej była otwarta. Nie była to, jak starając się uspokajać ludność pisała prasa nowego rządu, "rewolucja łagodna". Cena jej była krwawa. Świadectwem było leżące w ruinie największe miasto kraju.

Trzeba było żyć i działać, a nie oglądać się na to, co minęło. Kraj był zniszczony, nowy rząd zabrał się energicznie do odbudowy, do puszczenia w ruch fabryk i kopalń; dzielono ziemię dworów pomiędzy chłopów. Pisarz stał w obliczu nowych obowiązków. Jego książek czekało ludzkie mrowisko wyrwane z odrętwienia, przemieszane wielkim kijem wojny i społecznych reform, to prawda - narzuconych z góry, ale nie mniej skutecznych. Nie należy się więc dziwić, że Alfa, jak większość jego kolegów, oświadczył od razu, że chce służyć nowej Polsce, która właśnie powstawała na gruzach dawnej.

Został przyjęty z otwartymi rękami przez nieliczną grupę polskich komunistów, którzy spędzili lata wojny w Rosji i przybyli teraz ze wschodu, aby organizować państwo według zasad leninizmu-stalinizmu. Wtedy, to jest w roku 1945, każdy, kto mógł być użyteczny, był radośnie witany; nie wymagano bynajmniej, żeby był czerwony: w istocie w kraju było niezwykle mało zwolenników Stalina, czemu trzeba przypisać i maski, pod którymi występowała Partia, i wstrzeźliwość jej haseł. Nie ulegało wątpliwości, że tylko cierpliwie dozując i stopniowo zwiększając dawki doktryny da się poprowadzić pogańską ludność ku zrozumieniu i przyjęciu Nowej Wiary. Alfa od czasu zerwania z prawicowym tygodnikiem cieszył się w kołach teraz najbardziej wpływowych dobrą opinią. Nie stawiano mu zarzutów, że w czasie wojny trzymał się z dala do grupek marksistowskich. Pisarzy, którzy utrzymywali podobne kontakty, można było policzyć na palcach jednej ręki. Teraz pisarze zachowywali się trochę jak dziewice: chętne, ale bojaźliwe. Pierwsze ich publiczne wypowiedzi były ostrożne i starannie odmierzone. Nie to było jednak ważne, co mówili. Potrzebne były ich nazwiska na łamach pism. W ten sposób rząd stwarzał zewnętrzne oznaki, świadczące, że uzyskuje poparcie całej kulturalnej elity. Program postępowania wobec różnych kategorii ludności był opracowany przez polskich komunistów - jeszcze kiedy przebywali oni w Moskwie - i był to program mądry, oparty na dokładnej znajomości krajowych warunków. Zadania, jakie stały przed nimi, były niezwykle . trudne: kraj nie chciał ich rządów; Partia musiała być na nowo zorganizowana i trzeba było pogodzić się z faktem, że wśród napływających nowych członków większość stanowią spryciarze korzystający z koniunktury; należało dopuścić do udziału w rządach lewy odłam socjalistów; ciągle jeszcze była w perspektywie skomplikowana rozgrywka z partią chłopską, bo po Jałcie alianci zachodni żądali

przynajmniej pozorów rządu koalicyjnego. Najważniejszą rzeczą było więc starać się zbudować pomost pomiędzy grupką komunistów i krajem, a w tym najbardziej pomocni mogli być pisarze o głośnych nazwiskach i znani jako liberałowie, a nawet konserwatyści. Alfa w zupełności odpowiadał tym wymaganiom. Jego artykuł ukazał się na pierwszej stronie rządowego tygodnika literackiego. Był to artykuł o humanizmie. O ile sobie przypominam, Alfa mówił tam o etyce szacunku dla człowieka, jaką niesie ze sobą rewolucja.

Był maj 1945 roku w starym, średniowiecznym mieście Krakowie. I Alfa, i ja, i wielu innych pisarzy i artystów schroniło się tam po zburzeniu Warszawy. Noc, w której przysłała wiadomość o zdobyciu Berlina, rozjaśniona była wybuchami rakiet i armatnich pocisków; na ulicach słychać było bezustanny grzechot ręcznej broni - to żołnierze zwycięskiej Armii Czerwonej wyrażali swoją radość z rychłego powrotu do domu. W pogodny, wiosenny ranek siedzieliśmy z Alfą w biurze Filmu Polskiego i pracowaliśmy nad scenariuszem. Zawiązywanie wątków filmowych jest na ogół uciążliwym zajęciem; kładliśmy nogi na stół albo na poręcz foteli, chodziliśmy po pokoju, paliliśmy dużo papierosów i ciągle nęciło nas okno, przez które wpadał świergot wróbli. Za oknem było podwórze z młodymi drzewami, a za podwórzem wielki gmach, zamieniony niedawno w siedzibie policji bezpieczeństwa i więzienie. Zauważyliśmy na parterze, w zakratowanych oknach, dużo postaci młodych mężczyzn. Niektórzy próbowali się opalać umieszczając twarz w promieniu słońca; inni łapali hakiem z drutu papierki, które wyrzucano przez okno na piasek z sąsiednich cel. Stojąc z Alfą w oknie obserwowaliśmy ich milcząc. Byli to, jak łatwo było odgadnąć, żołnierze armii podziemnej; gdyby do Polski powrócił emigracyjny rząd z Londynu, ci żołnierze "podziemnego państwa" byłiby honorowani i fetowani jak bohaterowie. Obecnie, jako politycznie niepewni, zostali osadzeni w więzieniu. Przykład ironicznych dowcipów Historii. Ci przeważnie bardzo młodzi chłopcy, przyzwyczajeni żyć w ciągu wojennych lat z bronią w rękę, wśród ciągłych niebezpieczeństw, teraz powinni byli zapomnieć jak najszybciej o swoich konspiracyjnych upodobaniach; wielu z nich umiało to zrobić dostatecznie szybko i udawać, że nigdy nie działali w podziemiu; inni ciągle jeszcze przebywali w lasach; niektórych łapano w lasach czy miastach i osadzano za kratami. Chociaż ich wrogiem był Hitler, teraz z kolei uznani zostali za agentów klasowego wroga. Byli to bracia tych, którzy walczyli i ginęli w warszawskim powstaniu; jedni z tych, których ślepa ofiarność budziła w Alfie wyrzuty sumienia. Nie wiem, co czuł patrząc na okna tych więziennych cel. Sądzę, że już wtedy rysował mu się plan jego pierwszej powojennej powieści.

Ambicje Alfego, jak to widać z całej jego biografii, były zawsze ogromne. Nie mógł być tylko jednym z wielu, musiał przewodzić i przewodząc znajdować dostateczne powody do własnej wyniosłości. Powieść, którą zaczął pisać, powinna była - wierzył w to - wynieść go na pierwsze

miejsce wśród pisarzy działających w nowej sytuacji. Pisarze ci starali się zmienić swój styl i treść swoich książek, ale osiągnięcie tego nie było możliwe bez zmiany własnej osobowości. Alfa przeżywał konflikt moralny, który był jego własnym konfliktem, ale równocześnie stanowił powtórzenie konfliktu znanego wielu jego rodakom. Czuł w sobie siłę, jaka płynęła z jego osobistego a zarazem powszechnego dramatu. Jego wycucie tragizmu życia szukało nowych szat, w których mogłoby wystąpić.

Wierząc w siebie nie zawiódł się. Powieść, którą napisał, była dziełem dojrzałego talentu i zrobiła na jego czytelnikach wielkie wrażenie. Całe swoje życie Alfa krążył wokół postaci mocnego i czystego bohatera. W jego przedwojennej powieści tą postacią był ksiądz, teraz uczynił bohaterem przedstawiciela Nowej Wiary, to jest starego komunistę. Komunista ten, nieustraszony bojownik, spędził szereg lat w niemieckich obozach koncentracyjnych. Wyszedł stamtąd nie złamany na duchu i powróciwszy do swojej zniszczonej ojczyzny znalazł się wobec chaosu, który jego jasna świadomość i mocna wola miały zmienić w nowy ład społeczny. Człowiek ten był jak diament, natomiast społeczeństwo, które miał swoją twórczą działalnością przekształcić, nosiło znamiona moralnego rozkładu. Starsze pokolenie inteligencji oddawało się jeszcze bezsensownym marzeniom oczekując pomocy ze strony zachodnich aliantów; piło i próbowało zapewnić sobie kariery. Natomiast młodzież, wychowana w czasie wojny w zasadach ślepej wierności, przyzwyczajony się do awanturczego życia w podziemiu, teraz była zupełnie zagubiona; ponieważ nie znała żadnych innych celów działalności poza walką z wrogiem w imię honoru, nadal próbowała tworzyć konspiracyjne sprzysiężenia, tym razem do walki z nowym wrogiem, to jest z rządem narzuconym przez Rosjan i z Partią. A przecie Partia była jedyną siłą, która w tych warunkach mogła zapewnić spokój i odbudowę kraju, dać ludziom możliwość zarabiania na ich chleb codzienny, sprawić, aby działały szkoły i uniwersytety, koleje i linie żeglugi. Nie trzeba było być komunistą, aby to stwierdzić. Wniosek ten narzucał się każdemu z dużą oczywistością. Zabijając pracowników Partii, dokonywać zamachów na koleje przewożące żywność, atakować robotników, którzy starali się puścić w ruch zniszczone fabryki, znaczyło opowiadać się za przedłużeniem chaosu. Tylko szaleni mogli zdobywać się na podobne czyny, nie mające żadnego logicznego uzasadnienia, bo dokonywane bez żadnej nadziei. Taki obraz kraju przedstawiał Alfa w swojej powieści i być może jego książkę można by było zaliczyć do literatury publicystycznej, pisanej przez kogoś, kto przemawia w imię zdrowego rozsądku, gdyby nie coś, co zawsze wyróżniało Alfę jako pisarza: litość. Czuł litość i dla starego komunisty, i dla tych, którzy uważali go za wroga. Tylko przez litość dla obu walczących ze sobą stron pisarz może stworzyć tragedię. Alfa, mając w sobie litość, napisał powieść tragiczną.

Trzeba powiedzieć, że braki jego talentu, widoczne w jego przedwojennych utworach, przyszły mu z pomocą. Talent jego nie był realistyczny. Alfa budował konflikty moralne podkreślając kontrasty charakterów, ale charaktery jego poruszały się w świecie, który trudno było zobaczyć. Stary komunista Alfy jest równie rzadko spotykanym okazem, jak rzadko spotykanym okazem na wsi polskiej był taki proboszcz, jakiego Alfa przed wojną uczynił swoim bohaterem. Komunista Alfy został ukazany nie w jego zewnętrznej działalności, która stanowi zwykle domenę podobnych mu ludzi, inteligentnych, fanatycznych i przebiegłych. Przeciwnie, jest on jak milcząca, nieruchoma skała, a przenikając we wnętrze tej skały natrafiamy tam na to, co jest najbardziej ludzkie: na tęsknotę do dobra i na cierpienie. Już sama jego postać jest monumentalna i budząca współczucie przez ból, którego nie chce wyznać nikomu, bo jest to jego ból prywatny: stracił w obozie koncentracyjnym swoją ukochaną żonę. Jest ascetą idei. Wstydzi się swoich spraw prywatnych, a równocześnie tylko najwyższym wysiłkiem woli może siebie zmusić do życia nagle pozbawionego sensu. Jest to tytan z rozdartym sercem, pełen miłości i przebaczenia. Jednym słowem występuje jako potencjalna siła, zdolna w przyszłości poprowadzić świat ku dobremu. W chwili kiedy jego uczucia i myśli są najczystsze, ginie zastrzelony przez młodego człowieka, który widzi w nim tylko agenta Moskwy.

Można zrozumieć, dlaczego Alfa w kraju, gdzie słowo "komunista" ciągle jeszcze miało znaczenie obelżywe, chciał pokazać starego bojownika jako wzór wyższej etyki; jednakże etyka ta może być oceniona dopiero w zastosowaniu do konkretnych zadań, tam gdzie ludzi traktuje jako narzędzia. Co do społeczeństwa, do którego przekształcenia przystępował stary komunista, pisarz-obszwarator musiałby odnaleźć tam nie tylko przykłady dezintegracji. Zarówno inteligencja jak robotnicy i chłopcy z wielkim zapałem przystępowali do pracy; a właśnie dziełem inteligencji, to jest różnego rodzaju specjalistów, było uruchomienie fabryk, kopalń, kolei, szkół czy teatrów. W tej pracy kierowali się oni poczuciem obowiązku wobec zbiorowości i zawodowym honorem, nie wizją socjalizmu na wzór rosyjski. Niemniej ta etyka obowiązku dawała poważne rezultaty. Ich myślenie polityczne było naiwne, a ich obyczajowość nosiła często cechy przebrzmiałej epoki. Jednak w pierwszym momencie nie Partia, ale oni działali najenergiczniej. Młodzież była zagubiona i pozbawiona jakiegokolwiek przewodnictwa, ale jej czyny terrorystyczne były w równym przynajmniej stopniu wynikiem demoralizacji co rozpacz. Chłopcy, których widzieliśmy z Alfą w oknach więzienia, nie znaleźli się tam z powodu dokonywanych przez siebie zamachów, tylko dlatego, że w czasie wojny należeli do ugrupowań podziemnych walczących przeciwko Hitlerowi. W całym kraju odbywały się obławy na tę młodzież, której przestępstwem była służba "podziemnemu państwu", zależnemu od Londynu. Oczywiście Alfa ze względu na cenzurę nie mógł tego powiedzieć; jego wyraźna litość dla tych chłopców pozwalała czytelnikowi domyślać się

niedomówień. Jednak kiedy zabrakło przedstawienia wielostronnej kanwy wydarzeń - zmieniała się motywacja czynów.

W całej książce Alfya był gniew na to, co przeżyło. Ten gniew i Alfie, i wielu innym był potrzebny do istnienia. Satyryczny stosunek do konspiracyjnej inteligencji, widoczny w jego opowiadaniach pisanych przy końcu wojny, teraz pojawił się w rozdziałach powieści wykpiwających absurdalne nadzieje na nagłe polityczne zmiany. Jednakże w rzeczywistości te nadzieje, przybierające często u inteligencji formę śmieszna, nie były obce i robotnikom, i chłopom. Alfa nigdy nie znał z bliska robotników i chłopów, więc z tym większą łatwością mógł przypisywać wiarę w magiczne odsunięcie Rosji szczególnym cechom inteligencji, która niewątpliwie nie odznaczała się polityczną wyobraźnią.

Powieść tego rodzaju, a więc oparta na przeciwstawieniu etyki Nowej Wiary etyce zwyciężonej miała dla Partii ogromne znaczenie. Książka została natychmiast po jej wydaniu szeroko rozreklamowana, Alfa dostał za nią w roku 1948 nagrodę państwową, a nakład szybko osiągnął liczbę 100 tysięcy egzemplarzy. Alfa nie pomylił się sądząc, że jemu należy się pierwsze miejsce wśród pisarzy kraju. Jedno z miast ofiarowało mu i umeblowało znacznym kosztem piękną willę. Użyteczny pisarz w demokracjach ludowych nie może się uskarżać na brak względów.

Dialektycy rozumieli dobrze, że bohater powieści Alfya nie był wzorem "nowego człowieka". To, że był komunistą, dawało się odgadnąć raczej tylko z zapewnień autora. Występował na kartach powieści w przygotowaniu do czynu, a nie w czynie. Nietrudno było zauważyć, że Alfa dawnego swego bohatera, noszącego sutannę księdza, przebrał teraz w kurtkę komunisty. Choć język pojęć zmieniał się, niezmienna pozostawała tragiczna i metafizyczna postawa Alfya i choć stary komunistą nie modlił się, to czytelnicy nie zdziwiliby się, gdyby z jego zawsze zamkniętych ust nagle wydobyły się słowa skarg Jeremiasza: tak dobrze słowa proroków harmonizowałyby z jego osobowością. Alfa nie poprawił się więc w istocie od czasów przedwojennych; nie potrafił ograniczyć się do czysto utylitarnej etyki, wyrażającej się w racjonalistycznie ujętym działaniu. W jego bohaterze pokutował i król Lear i Faust. Ciągłe jeszcze istniały i ziemia i niebo. Bohater był też nieco podobny do Peyrola z "Korsarza" Conrada. Nie można było jednak żądać zbyt wiele. Alfa nie należał do Partii, ale wykazywał zrozumienie, uczył się, o czym świadczyło - bardziej niż postać komunisty - potraktowanie terrorystycznej młodzieży. Za wcześnie było żądać od pisarzy "socjalistycznego realizmu"; moment na to nie nadszedł, byli oni dopiero w początkowej szkole; termin "socjalistyczny realizm" nie był używany, bo mógłby niepotrzebnie przstraszyć pisarzy i artystów; podobnie chłopów zapewniano, że w Polsce nigdy nie będzie kołchozów.

Dzień decyzji nadszedł dla Alfego dopiero w parę lat po ukazaniu się powieści. Mieszkał w swojej pięknej willi, podpisywał liczne deklaracje polityczne, brał udział w komitetach i objeżdżał kraj wygłaszając odczyty o literaturze w świetlicach fabrycznych i domach kultury; te podróże pisarzy organizowane na wielką skalę dla wielu były tylko uciążliwym obowiązkiem, Alfego natomiast sprawiały przyjemność, bo zapoznawał się w ten sposób z młodzieżą robotniczą, jej codziennym życiem i problemami, jakie ją zaprzętały. Po raz pierwszy Alfa wychodził naprawdę poza swój intelektualny klan. A w dodatku wychodził jako szanowany pisarz; zważywszy na wysoką rangę pisarzy w demokracjach ludowych mógł czuć się jeżeli nie kardynałem, to przynajmniej dostojnym kanonikiem.

Przekształcanie kraju, zgodnie z planami Centrum, postępowało naprzód; nadeszła chwila, kiedy uznano, że sytuacja jest dostatecznie dojrzała, aby przykrócić cugle pisarzom i zażądać od nich jasnego opowiedzenia się za Nową Wiarą z wszystkimi konsekwencjami; „ socjalistyczny realizm” został ogłoszony na zjazdach pisarzy jako jedynie wskazana metoda twórcza. Zdaje się, że Alfa przeżył tę chwilę szczególnie boleśnie. Niesłychana zręczność Partii przywiodła pisarzy, tak że się niemal nie spostrzegli, w bramę nawrócenia. Teraz można się było albo nagle zbuntować i spaść na dno drabiny społecznej, albo wejść w bramę. Połowiczność, płacenie jednej monety Bogu, a drugiej cesarowi nie było już możliwe. Nikt nie żądał, aby pisarze formalnie zapisywali się do Partii. Rozumując jednak poprawnie, jeżeli się przyjmowało Nową Wiarę - nic nie stało temu na przeszkodzie. Rozwiązanie takie świadczyłoby raczej o większej odwadze: wstąpienie do Partii oznacza nie zmniejszenie, ale zwiększenie obowiązków. Dla Alfego, który dbał szczególnie o swoją godność najbardziej cenionego przez koła partyjne powieściopisarza, tylko jedna decyzja była możliwa. Oczekiwano od niego, że przemówi jako pisarz - autorytet moralny i da swoim postępowaniem przykład kolegom. Alfa w ciągu pierwszych lat nowego porządku naprawdę przywiązał się do rewolucji. Wreszcie był pisarzem ludowym, jego czytelnicy rekrutowali się spośród mas robotniczych. Jego przedwojenna powieść, którą tak chwalono, rozeszła się wtedy zaledwie w kilku tysiącach egzemplarzy. Teraz i on, i każdy pisarz mógł liczyć na wielką ilość czytelników. Nie był już izolowany; mówił sobie, że jest potrzebny - me kilku snobom w kawiarni, ale tej nowej, robotniczej młodzieży, do której przemawiał w swoich podróżach po kraju. Cała ta przemiana była zasługą zwycięstwa Rosji i Partii zależnej od Centrum. Należało z tego wyciągnąć wnioski i zaakceptować nie tylko praktyczne wyniki, ale „ filozoficzne podstawy. Nie było to dla Alfego łatwe. Coraz częściej był atakowany za swoje zamiłowanie do monumentalnego tragizmu. Próbował pisać inaczej - ale kiedy zabraniał sobie czegoś, co leżało w samej naturze jego talentu, proza jego stawała się płaska i bezbarwna, darł swoje rękopisy. Zadawał sobie pytanie, czy widząc co dzień dokoła siebie nowe tragiczne konflikty, właściwe życiu w wielkim kolektywie, zdoła

wyrzec się ich pokazania. Kraj stawał się wielkim kolektywem, przyczyny cierpień ludzkich były już inne niż w ustroju kapitalistycznym, ale nie zdawała się zmniejszać, przeciwnie - rosła suma cierpień. Zbyt wiele wiedział o Rosji i zbyt wiele wiedział o bezlitosnych środkach używanych przez dialektyków wobec "materiału ludzkiego", aby nie mieć przyplływów zwątpienia. Miał jasną świadomość, że przyjmując Nową Wiarę przestanie być pisarzem - autorytetem moralnym, a stanie się pisarzem - pedagogiem, który pokazuje w swoich książkach nie to, co go samego męczy, ale to, co jest uznane za użyteczne. Odtąd dziesięciu czy piętnastu fachowców będzie ważyć każde jego zdanie i zastanawiać się, czy nie popełnił grzechu czystego tragizmu. Nie było już jednak odwrotu. Alfa powiedział sobie, że w swojej praktycznej działalności jest już komunistą. Powiedziawszy tak wstąpił do Partii i natychmiast ogłosił wielki artykuł o sobie jako pisarzu. Była to samokrytyka, to jest akt, który w chrześcijaństwie nosi nazwę spowiedzi. Inni pisarze przeczytali ten artykuł z zawiścią i przestachem. Że Alfa wszędzie i we wszystkim musi być pierwszy - budziło zazdrość; że okazał się tak zręczny i postąpił jak górnik-stachanowiec, który pierwszy ogłasza, że wyrobi niezwykle wysoką normę - napełniało obawą; górnicy nie lubią swoich towarzyszy zbyt skłonnych do zbierania zaszczytów za popędzanie innych do speed-up.

Samokrytyka Alfego była przemyślnie napisana. Można ją uznać za klasyczną wypowiedź pisarza, który wyrzeka się przeszłości w imię Nowej Wiary. Została przełożona na obce języki i drukowały ją pisma stalinowskie na Zachodzie. Alfa potępił w tym artykule swoje dawne książki. Użył przy tym szczególnego chwytu: otwarcie przyznał to, co dawno myślał w skrytości o wadach swoich dzieł; aby odkryć te wady, nie potrzeba było bynajmniej Metody; Alfa znał te wady już dawniej, zanim zbliżył się do marksizmu; teraz swoją spostrzegawczość przypisał zasługom Metody. Każdy dobry pisarz wie, że źle jest dać się zwodzić pięknie brzmiącym słowom i emocjonalnie skutecznym, ale pustym pojęciom. Alfa twierdził w swoim artykule, że wpadł w te błędy, ponieważ nie był marksistą. Dawał też do zrozumienia (zgodnie z przykazaniem pokory), że nie uważa siebie za pisarza komunistycznego, tylko za takiego, który dopiero stara się opanować Metodę, tę najwyższą umiejętność. Zastanawiający w artykule był ton namaszczony, pełen wyniosłości, zawsze Alfego właściwy. Ton ten pozwalał podejrzewać, że potępiając swoje błędy Alfa popełniał je dalej: lubował się w fałdach nowej kapłańskiej sukni.

Jako byłemu katolikowi Partia powierzyła mu funkcję wygłaszania przemówień przeciwko polityce Watykanu. Wkrótce potem Alfa został zaproszony do Moskwy. Po powrocie ogłosił książkę o "radzieckim człowieku". Udowadniając, że prawdziwym wolnym człowiekiem jest tylko obywatel Związku Radzieckiego, Alfa i teraz sięgał po palmę pierwszeństwa. Jego koledzy, piszący pochwały Centrum, jakkolwiek wiedzieli, że tego rodzaju rozumowanie jest dialektycznie poprawne - dotychczas nie używali tego chwytu. W getcie literackim Alfa nie był lubiany. Mówię

“w getcie”, bo wbrew wysokim nakładom książek i wyjazdom pisarzy do fabryk - zamknięci byli oni teraz w swoich domach kolektywnych i klubach nie mniej niż przed wojną w kawiarniach. Jego koledzy, zazdroszcząc mu sukcesów, które zawdzięczał szlachetności swego tonu, nazywali go “ładacznicą z zasadami”.

Osądzać Alfę surowo jest mi trudno. Sam byłem na tej drodze, która ma wszelkie cechy nieuniknioności. Myślę, że to, czym miały się różnić nasze losy, było zawarte w drobnej różnicy naszych reakcji w chwili, kiedy zwiedzaliśmy ruiny zburzonej Warszawy, jak również wtedy, kiedy patrzyliśmy na więźniów. Czułem, że pisanie o tych rzeczach jest dla mnie niemożliwe: możliwe byłoby tylko powiedzenie całej prawdy, a nie jej części. To samo zresztą czułem uczestnicząc w wydarzeniach, jakie zachodziły za okupacji nazistowskiej w Warszawie: każda forma opisu mogła być do nich zastosowana z wyjątkiem “fiction”. Przypominam sobie, że kiedy Alfa czytał nam w zadumionym mieście swoje opowiadania, które eksploatowały temat “na gorąco”, czuliśmy się dziwnie zażenowani: ich kompozycja była za gładka. Tysiące ludzi umierało tuż obok w torturach, dlatego transponowanie tych cierpień od razu na tragiczną teatralność wydawało się nam nieskromne. Lepiej jest czasem jąkać się z nadmiaru wzruszeń niż mówić okrągłymi zdaniami. Głos wewnętrzny, który nas powstrzymuje, kiedy trzeba za wiele wyrazić - jest mądry. Nie jest nieprawdopodobne, że Alfa nie znał tego głosu. Tylko namiętność prawdy mogłaby go uchronić od stania się tym, czym się stał. Nie napisałby wtedy co prawda swojej powieści o starym komuniście i zdemoralizowanej młodzieży; na litość pozwolił tam sobie w ramach bezpiecznych od zarzutów cenzury i zyskał uznanie upraszczając obraz wydarzeń stosownie do życzeń Partii. Jedno odstępstwo pociąga za sobą drugie i trzecie, aż wreszcie wszystko, co się mówi, jest już znakomicie logiczne, okrągłe i zamknięte, ale nie ma już nic wspólnego z ciałem i krwią ludzi. Jest to odwrotna strona medalu dialektyki: za wygodę umysłową, jaką ona daje, płaci się. Dokoła Alfego żyło i żyje wielu robotników i chłopów, których słowa są nieporadne, ale ostatecznie głos wewnętrzny, który słyszą, nie jest różny od tego nakazu, który nieraz pisarzom zamyka usta i żąda: wszystko albo nic. Nie wiadomo, może nikomu nieznanemu chłop czy drobny urzędnik pocztowy powinni być postawieni wyżej w hierarchii zasług wobec ludzkiego gatunku niż Alfa - moralista.

V - BETA - CZYLI NIESZCZĘŚLIWY KOCHANEK

Beta, kiedy go poznałem w roku 1942, miał dwadzieścia lat. Był to żywy chłopak z czarnymi, inteligentnymi oczami. Pociły mu się dłonie, w jego zachowaniu się można było zauważyć tę przesadną nieśmiałość, która kryje zwykle ogromne ambicje. Kiedy mówił, w słowach jego wyczuwało się mieszaninę arogancji i pokory. Był wewnętrznie przekonany, że góruje nad swoimi rozmówcami, atakował i zaraz cofał się wstydliwie, chował pazury. Jego odezwania się pełne były hamowanej ironii. Co prawda nie jest nieprawdopodobne, że te cechy występowały szczególnie, kiedy Beta rozmawiał ze mną czy z innymi, starszymi od niego pisarzami: należał się im ze strony początkującego poety respekt, a równocześnie Beta uważał, że ceni się ich niezbyt słusznie. On wiedział lepiej, w nim był zadatek na naprawdę wybitnego pisarza.

Wtedy, w 1942 roku, w Warszawie, żyliśmy bez nadziei, to jest ciągle podtrzymując w sobie nadzieję, o której wiedzieliśmy, że jest złudna. Nasz okupowany kraj był częścią imperium germanicum i widząc siłę tego imperium trzeba było nadmiernej ilości optymizmu, aby wierzyć w możliwość zupełnej przegranej Niemiec. Plany NSDAP w stosunku do naszego narodu były dla nas jasne: eksterminacja warstwy wykształconej, kolonizacja i wysiedlenie części ludności dalej na wschód. Beta był jednym z tych młodych, którzy zaczęli pisać dopiero w czasie wojny, w języku niewolników. Zarabia! na życie mając się różnych prac - trudno dokładnie określić źródła utrzymania ludzi w mieście całkowicie wyjętym spod prawa. Były to zwykle na wpół fikcyjne zatrudnienia w fabryce czy biurze; dawały one kartę pracy i okazję do operacji czarnego rynku albo do kradzieży, której nie uważano za rzecz niemoralną, bo poszkodowanym były niemieckie władze. Równocześnie Beta był studentem podziemnego uniwersytetu i żył bujnym życiem konspiracyjnej młodzieży, na której zebraniach pito wódkę, dyskutowano zaciekle na literackie i polityczne tematy i czytano nielegalne pisma.

Przyglądając się swoim kolegom Beta był skłonny uśmiechać się sarkastycznie. Widział sprawy lepiej i jaśniej niż oni. Ich patriotyczny zapał do walki z Niemcami wydawał mu się czysto irracjonalnym odruchem. Walka - tak, ale w imię czego? Nikt z młodzieży nie wierzył w demokrację. Większość krajów Europy Wschodniej miała przed wojną rządy półdyktatorskie. System parlamentarny zdawał się należeć do zamierzchłej przeszłości. Sposób zdobycia władzy nie podlegał dyskusji: ci, którzy chcieli zdobyć władzę, powinni byli stworzyć "ruch" i wywrzeć nacisk na rząd, aby dopuścił ich do współrządzenia, albo wziąć władzę siłą. Była to epoka ruchów nacjonalistycznych, wzoru dostarczały Niemcy i Włochy. Młodzież konspiracyjna Warszawy była nadal pod silnym wpływem tych niedawno jeszcze popularnych idei, choć oczywiście ani do

Hitlera, ani do Mussoliniego nie odnosiła się z sympatią. Jej rozumowanie było mgliste. Naród polski był gnębiony przez naród niemiecki, więc należało walczyć. Kiedy Beta zauważył, że jest to tylko przeciwstawianie nacjonalizmu polskiego nacjonalizmowi niemieckiemu, koledzy jego wzruszali ramionami. Beta próbował przyciskać ich do muru pytając, jakich wartości chcą bronić i na jakich zasadach ma być oparta przyszła Europa. Nie dostawał na to zadowalającej odpowiedzi. Oto jądro ciemności: nie tylko żadnej nadziei wyzwolenia, ale żadnej wizji jutra. Walka dla walki. Jako nagroda dla tych, którzy nie padną w boju i może doczekają zwycięstwa Anglosasów - powrót do przedwojennego status quo; a przecie to, co działo się w latach poprzedzających wojnę, było złe. Ten brak jakiegokolwiek wizji skłaniał Betę do przypuszczeń, że żyje w świecie, w którym nie ma nic prócz nagiej siły. Był to świat schyłku i upadku. Liberałowie starszego pokolenia ciągle jeszcze powtarzający frazesy o szacunku dla człowieka - podczas gdy dokoła mordowano setki tysięcy ludzi - robili wrażenie żalonych wykopalisk.

Beta nie miał żadnej wiary - ani wiary religijnej, ani innej - i miał odwagę w swoich wierszach przyznawać się do tego. Z wielkim nakładem pracy i wysiłku, używając prymitywnych klisz i złej farby, bo o dobrą było trudno, odbił swój pierwszy tom poematów na roneo. Kiedy dostałem ten tom i odlepiając z trudem palec od zadrukowanej kleistą farbą okładki zajrzałem do środka, przekonałem się zaraz, że mam do czynienia z prawdziwym poetą. Lektura jego heksametrów nie była jednak zajęciem radosnym. Ulice okupowanej Warszawy były pęsepnne. Zebrania konspiracyjne w zadymionych i zimnych mieszkaniach, kiedy nasłuchiwało się, czy na schodach nie odezwą się kroki gestapo, miały w sobie też ponurość katakumbowych obrządków. Jak powiedziałem, przebywaliśmy na dnie imperium jak na dnie olbrzymiego krateru i niebo w górze było jedynym elementem, którego własność dzieliliśmy z innymi ludźmi na kuli ziemskiej. Wszystko to istniało w wierszach Bety: szarość, mgła, pęsepnność i śmierć. Jego poezja nie była jednak poezją skargi. Była to poezja stoicyzmu. W wierszach jego rówieśników również brak było wiary, zasadniczy motyw stanowiło wzywianie do walki i wizja śmierci; w przeciwieństwie do śmierci, która u młodych poetów różnych epok stanowiła romantyczny rekwizyt, ta śmierć była aż nadto rzeczywista: wszyscy ci najmłodszy poeci Warszawy zginęli przed końcem wojny albo z rąk gestapo, albo w boju. Nikt z nich jednak nie podawał w wątpliwość sensu ofiary w tym stopniu co Beta. "Zostanie po nas złom żelazny - I głuchy, drwiący śmiech pokoleń" - pisał w jednym ze swoich wierszy.

Wiersze jego nie miały w sobie żadnej afirmacji świata, tej afirmacji, która wyraża się w sztuce sympatią, z jaką artysta przedstawia na przykład jabłko czy drzewo. Widoczne w nich było głębokie zakłócenie równowagi. Ze sztuki można wiele odgadnąć: świat Bacha czy świat Breughla były uporządkowane, ułożone hierarchicznie. Nowoczesna sztuka zawiera wiele przykładów ślepej

namiętności, która w kształtach, barwach i dźwiękach nie znajduje nasycenia. Kontemplacja zmysłowego piękna jest możliwa tylko, kiedy artysta czuje miłość do tego, co go otacza na ziemi. Jeżeli jednak czuje tylko obrzydzenie, niezdolny jest zatrzymać się w miejscu i oglądać. Wstydzi się odruchów miłości, skazany jest na ciągły ruch, na szkicowe tylko ujęcie drobin zaobserwowanej materii. Przypomina lunatyka, który utrzymuje równowagę, dopóki idzie. Obrazy, jakich używał Beta, były wirujące mgłą i od zupełnego rozpadnięcia się ratował je tylko suchy rytm heksametru. Ten charakter poezji Bety można częściowo przypisać jego przynależności do nieszczęśliwego pokolenia i nieszczęśliwego narodu. Miał on jednak tysiące braci we wszystkich krajach Europy: braci namiętnych i zawiedzionych.

Beta w przeciwieństwie do swoich kolegów, którzy działali, bo byli wierni swojej ojczyźnie i próbowali szukać uzasadnień w chrześcijaństwie albo nieokreślonej metafizyce, potrzebował racjonalistycznych podstaw do działania. Kiedy gestapo aresztowało go w roku 1943, mówiono w naszym mieście, że nastąpiło to wskutek wyspy jednej z lewicowych grup. Jeżeli życie w Warszawie mało przypominało raj, to teraz Beta dostał się w niższe kręgi piekieł, to jest zamknął się za nim bramy "koncentracyjnego świata". Normalną wówczas koleją rzeczy spędził najpierw szereg tygodni w więzieniu, a następnie został wywieziony do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Szansę przeżycia w tym obozie były nieduże. Jak innych wywiezionych do obozów uważaliśmy Betę za straconego. A jednak przetrwał dwa lata Oświęcimia; kiedy do Oświęcimia zbliżała się Armia Czerwona, Betę z transportami innych więźniów odesłano do Dachau i tam wyswobodzili go Amerykanie. O tym wszystkim dowiedzieliśmy się dopiero po wojnie; co Beta przeżył w "świecie koncentracyjnym", można przeczytać w tomie opowiadań, w którym dał opis swoich doświadczeń.

Po wyjściu z obozu Beta zamieszkał w Monachium. Tam ukazała się w roku 1946 książka "Byliśmy w Oświęcimiu", napisana przez Betę i dwóch jego współwięźniów. Książka ta była zadedykowana "VII Armii Amerykańskiej, która przyniosła nam wyswobodzenie z obozu koncentracyjnego Dachau-Allach". Z Monachium Beta powrócił do Warszawy i wydał tu tom swoich opowiadań.

Czytałem wiele książek o obozach koncentracyjnych, ale żadna z nich nie jest tak przerażająca jak opowiadania Bety. Gdyż Beta nie oburza się - relacjonuje. W "świecie koncentracyjnym", jak wiadomo, szybko wytwarza się szczególna hierarchia społeczna. Na szczycie są władcy obozów; po nich idą więźniowie obdarzeni przez zarząd obozu zaufaniem; następną warstwą społeczną są sprytni więźniowie, którzy umieją znaleźć sposoby zdobycia żywności i przez to utrzymać swoje siły. Najniżej stoją słabi i niezaradni, którzy z każdym dniem staczą się coraz niżej, bo ich nieodżywiany organizm nie może podołać pracy. Spotyka ich

wreszcie śmierć - w obozach niemieckich działo się to przez zastrzyk fenolu albo w komorze gazowej. Oczywiście poza społeczeństwem koncentracyjnym stały masy ludzkie zabijane od razu po przyjeździe do obozu, to jest wszyscy mniej zdolni do pracy Żydzi. Beta w swych opowiadaniach wyraźnie określa swoją przynależność "klasową": należał do sprytnych i zdrowych i c h e ł p i się swoim sprytem i zaradnością. Życie w obozie koncentracyjnym wymaga ciągłego napięcia uwagi, każda chwila decyduje o życiu i śmierci. Trzeba umieć reagować w sposób właściwy, a umieć można tylko wtedy, kiedy wie się, skąd grozi niebezpieczeństwo i jak go uniknąć: raz przez ślepe posłuszeństwo, innym razem przez opieszałość, kiedy indziej przez szantaż albo przekupstwo. Jedno z opowiadań Bety składa się z opisu serii niebezpieczeństw, których Beta unika w ciągu jednego dnia:

1) Strażnik ofiarowuje Becie chleb; żeby wziąć chleb, trzeba przeskoczyć przez rów; rów ten stanowi linię wart; strażnicy mają polecenie strzelać do ludzi, którzy przekraczają tę linię; za każdego zabitego za tą linię dostają trzy dni urlopu i pięć marek. Beta rozumie zamiary strażnika i rezygnuje z przynęty.

2) Strażnik słyszy, jak Beta przekazuje innemu więźniowi wiadomość o zdobyciu Kijowa. Beta zapobiega złożeniu meldunku o tym przestępstwie dając strażnikowi, przez pośrednika, stary zegarek jako łapówkę.

3) Beta usuwa się spod ręki niebezpiecznego kapo przez szybkie wypełnienie rozkazu. Oto fragment (rzecz dotyczy więźniów Greków, którzy byli zbyt słabi, aby dobrze maszerować; przywiązano im za karę kije do nóg; nadzoruje ich Rosjanin Andrej):

"Odskakuję uderzony z tyłu rowerem. Zrywam czapkę. Unterscharffuehrer, gospodarz z Harmense, zeskakuje z roweru czerwony ze zdenerwowania:

- Co się tu dzieje na tym zwariowanym komandzie? Dlaczego ci ludzie chodzą tam z poprzywiązywanyymi kijami? To jest czas pracy!

- Oni nie umieją chodzić!

- Jak nie umieją chodzić, to ich zabić! A wie pan, że znowu zginęła gęś?

- Czego stoisz jak głupi pies? - wrzasnął kapo na mnie. - Andrej ma z nimi zrobić porządek.

Los! Poleciałem ścieżką.

- Andrej, kańczaj ich! Kapo kazał!

Andrej chwycił kij i uderzył na odlew. Grek zasłonił się ręką, zaskowyczał i upadł. Andrej położył mu kij na gardło, stanął na kiju i zakolysał się. Odszedłem prędko w swoją stronę."

Tak więc dzień opisywany przez Betę wypełniony jest unikaniem niebezpieczeństw; a również skomplikowaną grą, jaka toczy się pomiędzy Betą i jego współwięźniem, Rosjaninem Iwanem. Iwan ukradł Becie kawałek mydła; Beta postanawia się zemścić i cierpliwie szuka okazji.

Spostrzega, że Iwan ukradł gęś; przez misternie złożony donos (tak aby nie została na nim plama donosicielstwa) powoduje rewizję; gęś znajdują, Iwan jest zбитy przez esesmana, rachunek wyrównany.

Beta jest dumny z tego, że jemu się udaje, kiedy inni, mniej zaradni, obok giną. W stałym podkreślaniu, że on sam jest dobrze ubrany, zdrow, najedzony, jest sporo zwyczajnego sadyzmu. “Ruszają się, żeby uniknąć bicia, żrą trawę i lepką glinę, aby nie czuć głodu, chodzą oswiali, jeszcze żywe trupy” - powiada o swoich współtowarzyszach. A o sobie: “Dobrze jest pracować, jak się zjadło na śniadanie ćwierć boczku z chlebem i czosnkiem i zapiło się puszką skondensowanego mleka.” Szczegół dotyczący ubrania Bety (dokoła są półnaczy nędzarze): “Odchodzę w cień, podkładam pod siebie marynarkę, aby nie pobrudzić jedwabnej koszulki (podkreślenie moje - CM), układam się wygodnie do snu. Odpoczywamy, jak kogo na to stać.” A oto scena “klasowego” kontrastu. Więzień Beker ma zostać spalony w krematorium jako zbyt słaby, a więc nieużyteczny:

“W tej chwili na krawędzi buksy wylazła z dołu jakaś siwa, ogromna czaszka i spojrzały na nas zażenowane, mrugające oczy. Potem ukazała się twarz Bekera zmięta i jeszcze bardziej postarzała.

- Tadek, ja mam do ciebie prośbę.

- Gadaj - rzekłem przechylając się ku niemu.

- Tadek, idę do komina.

Pochyliłem się jeszcze niżej i zjrzałem mu z bliska w oczy: były spokojne i puste.

- Tadek, ale ja byłem tyle czasu taki głodny. Daj mi co zjeść. Na ten ostatni wieczór.

Kazik uderzył mnie dłonią po kolanie.

- Znasz tego Żyda?

- To Beker - odrzekłem cicho.

- Te, Żyd, włóż tu na buksę i zażeraj, jak się najesz, to resztę zabierz ze sobą do komina.

Włóż na buksę. Ja tu nie śpię, to możesz mieć wszy.

- Tadek - chwycił mnie za ramię - chodź. Mam na bloku świetną szarlotkę, wprost od mamy.”

Sprytni i silni byli używani przez zarząd obozu do pewnych szczególnych prac, które dawały im możliwość zaopatrzenia się w ubrania i żywność. Jedną z najbardziej poszukiwanych prac było rozładowywanie wagonów przywożących do Oświęcimia Żydów z różnych miast Europy. Żydzi ci wieźli ze sobą walizy pełne ubrań, złota, brylantów i żywności - mówiono im, że jadą “na osiedlenie”. Kiedy pociąg (krótko nazywany “transportem”) wjeżdżał w bramy obozu, natychmiast wypędzano przerażony tłum z wagonów, oddzielano młodych, a starszych i kobiety z dziećmi auta ciężarowe zabierały natychmiast do komór gazowych i krematoriów. Praca więźniów polegała na

wynoszeniu bagaży, które wzbogacały Rzeszę i zarząd obozu. Beta opisuje swoją pracę przy “transporcie”. Wkręca go do tej brygady Francuz Henri.

W obfitej literaturze okropności dwudziestego wieku nieczęsto zdarza się znaleźć relację faktów oglądanych oczami współników zbrodni (autorzy zwykle wstydzą się tej roli). Wspólnictwo jest zresztą w zastosowaniu do obozu koncentracyjnego pustym słowem: machina jest bezosobowa, odpowiedzialność przesuwana się z wykonujących rozkazy wyżej, coraz wyżej. Opowiadanie Bety o “transporcie” powinno, moim zdaniem, być włączone do wszystkich antologii literatury przedstawiających los człowieka w ustrojach totalitarnych, jeżeli antologie takie kiedyś powstaną.

Przybycie “transportu” jest rozłożone na szereg aktów, jak w teatralnej sztuce. Kilka cytat da lepsze wyobrażenie o metodzie pisarskiej Bety niż omówienie.

PROLOG - CZYLI OCZEKIWANIE NA “TRANSPORT”

“Wokół nas siedzą Grecy, ruszają łapczywie żuchwami jak wielkie niehumanoidalne owady, żrą łakomie zbutwiałe grudy chleba. Są zaafierowani, nie wiedzą, co będą robić. Niepokoją ich belki i szyny. Nie lubią dźwigania.

- Was wir arbeiten? - pytają.

- Niks. Transport kommen, alles Krematorium, compris?

- Alles verstehen - odpowiadają w krematoryjnym esperanto. Uspokajają się: nie będą ładować szyn na auta ani nosić belek.”

AKT I - CZYLI PRZYBYCIE “TRANSPORTU”

“Różnopasiasty tłum leżał pod szynami w wąskich pasach cienia, oddychał ciężko i nierówno, gadał po swojemu leniwie i obojętnie patrzył na majestatycznych ludzi w zielonych mundurach, na zieleń drzew, bliską i nieosiągalną, na wieżę dalekiego kościółka, z której dzwoniło właśnie na spóźniony «Anioł Pański».

- «Transport» idzie - rzekł któryś i wszyscy unieśli się w oczekiwaniu. Zza zakrętu wychodziły towarowe wagony: pociąg pchał się tyłem, kolejarz stojący na breku wychylił się, zamachał ręką, gwizdnął. Lokomotywa przeraźliwie odgwizdnęła, sapnęła, pociąg potoczył się wolno wzdłuż stacji. W małych, zakratowanych okienkach widać było twarze ludzkie blade, zmięte, jakby niewyspane, rozczochrane - przerażone kobiety, mężczyźni, którzy, rzecz egzotyczna, mieli włosy. Mijali powoli, przyglądali się stacji w milczeniu. Wtedy wewnątrz wagonów zaczęło się kotłować i dudnić w drewniane ściany.

- Wody! Powietrza! - zerwały się głuche, rozpaczliwe okrzyki.

Z okien wychylały się twarze ludzkie, usta chwytały rozpaczliwie powietrze. Zacerpnąwszy kilka łyków powietrza ludzie z okien nikli, na ich miejsce wdzierali się inni i tak samo znikali. Krzyki i rżenia stawały się coraz głośniejsze.”

AKT II - CZYLI SEGREGACJA

Niech wystarczy kilka scen:

“Oto idzie szybko kobieta, śpieszy się nieznacznie, ale gorączkowo. Małe, kilkuletnie dziecko o zarumienionej, pyzatej twarzy cherubinka biegnie za nią, nie może nadążyć, wyciąga rączki z płaczem: - Mamo, mamó!

- Kobieto, weźże to dziecko na ręce!

- Panie, panie, to nie moje dziecko, to nie moje! - krzyczy histerycznie kobieta i ucieka zakrywając rękami twarz. Chce skryć się, chce zdążyć między tamte, które nie pojedą autem, które pojedą pieszo, które będą żyć. Jest młoda, zdrowa, ładna, chce żyć.

Ale dziecko biegnie za nią, skarżąc się na cały głos:

- Mamo, mamó, nie uciekaj!

- To nie moje, nie moje, nie...!

Aż dopadł ją Andrej, marynarz z Sewastopola. Oczywiście miał mętne od wódki i upału. Dopadł ją, zbił z nóg jednym zamaszystym uderzeniem ramienia, padającą chwycił za włosy i dźwignął z powrotem do góry. Twarz miał wykrzywioną wściekłością.

- Ach, ty, jebit twoju mat',blad'jewrejskaja! To ty od swego dziecka uciekasz! Ja tobie dam, ty kurwo! - chwycił ją wpół, zadławił łapą gardło, które chciało krzyżeć, i wrzucił ją z rozmachem jak ciężki wór zboża na auto.

- Masz! Weź i to sobie, suko! - i cisnął jej dziecko pod nogi.

- Gut gemacht, tak należy karać wyrodne matki - rzekł esesman stojący przy samochodzie.”

“Para ludzi padła na ziemię spleciona rozpaczliwym uściskiem. On wbił kurczowo palce w jej ciało, zębami chwycił za ubranie. Ona krzyczy histerycznie, przeklina, bluźni, aż przyduszona butem rzezi i milknie. Rozszczepiają ich jak drzewo i wpędzają jak zwierzęta na auto.”

“Inni niosą dziewczynkę bez nogi; trzymają ją za ręce i za tę jedną, pozostałą nogę. Łzy ciekną jej po twarzy, szepce żałości: - Panowie, to boli, boli... - Ciskają ją na auto, między trupy. Spali się żywcem wraz z nimi.”

AKT III - CZYLI ROZMOWA ŚWIADKÓW

“Zapada wieczór chłodny i gwiazdzisty. Leżymy na szynach. Jest niezmiernie cicho. Na wysokich słupach palą się anemiczne lampy za kręgiem światła.

- Wymieniłeś buty? - pyta mnie Henri.

- Nie.

- Czemu?

- Człowieku, ja mam dosyć, kompletnie dosyć!

- Już po pierwszym «transportie»? Pomyśl, ja: od Bożego Narodzenia przewinęło się przez moje ręce chyba z milion ludzi. Najgorsze są «transporty» spod Paryża: zawsze człowiek spotyka znajomych.

- I co im mówisz?

- Że idą się kąpać, a potem spotkamy się w obozie. A ty byś co powiedział?”

EPILOG

Tego wieczora przyjechało do Oświęcimia wiele pociągów. Ogółem transport wyniósł 15 tysięcy ludzi.

“Gdy wracamy do obozu, gwiazdy poczynają blednąć, niebo staje się coraz bardziej przezroczyste, podnosi się nad nami, noc przejaśnia się. Zapowiada się pogodny, upalny dzień.

Z krematoriów ciągną potężne słupy dymów i łączą się w górze w olbrzymią, czarną rzekę, która niezmiernie powoli przewala się przez niebo nad Birkenau i niknie za lasami, w stronę Trzebini. «Transport» już się pali.

Mijamy oddział S S idący z bronią maszynową na zmianę warty. Idą równo, człowiek przy człowieku, jedna masa, jedna wola.

- «Und morgen die ganze Welt»... - śpiewają na całe gardło.”

Doświadczenia koncentracyjnego obozu zrobiły z Bety pisarza. Spostrzegł, że właściwą jego dziedziną jest proza. W swoich opowiadaniach Beta jest nihilistą. Przez nihilizm nie rozumiem jednak amoralności. Przeciwnie, wynika on z pasji etycznej, jest to zawiedziona miłość do świata i ludzi. Opisując to, co widział, Beta chce iść do końca, przedstawić dokładnie świat, w którym na oburzenie nie ma już miejsca. Ludzki gatunek w opowiadaniach Bety jest nagi, odarty z dobrych uczuć, które trwają, dopóki trwa obyczaj cywilizacji. Obyczaj cywilizacji jest kruchy. Wystarczy naglej zmiany warunków, a ludzkość wraca do stanu pierwotnej dzikości. Ileż złudzeń jest w myśleniu szanowanych obywateli, którzy krocząc po ulicach angielskich czy amerykańskich miast uważają siebie za istoty pełne cnoty i dobroci. Czy jednak, gdyby ich zamknąć w Oświęcimiu, nie zmieniliby się jak inni w zwierzęta? Niebezpiecznie jest wystawiać człowieka na zbyt trudne dla niego próby. Nie zachowa się wtedy dla niego szacunku. Łatwo jest potępić kobietę, która chce swoje dziecko oddać na śmierć, byle ocalić życie. Jest to czyn potworny. A

jednak kobieta, która czytając o tym czynie na wygodnej kanapie potępia tamtą nieszczęśliwą swoją siostrę, powinna się zastanowić, czy w niej samej w obliczu zagłady strach nie byłby silniejszy od miłości. Może tak, a może nie - ktoś to potrafi z góry odgadnąć? Były też w "świecie koncentracyjnym" liczne wypadki, kiedy istota ludzka zdobywała się na najczystsze ofiary, płaciła życiem, aby ocalić innych. Tych wypadków nie znajdzie się w opowiadaniach Bety. Uwaga jego nie jest skupiona na człowieku, o którym wiadomo, czym jest: zwierzęciem, które chce żyć - uwaga jest skupiona na "koncentracyjnym społeczeństwie". Więźniów obowiązuje pewna etyka: wolno jest szkodzić innym wtedy, kiedy oni tobie zaszkodzą pierwsi. Jest to niepisana umowa. Poza tym każdy ratuje się jak może i próżno szukalibyśmy u Bety obrazów ludzkiej solidarności (prawda o zachowaniu się Bety w Oświęcimiu przekazana przez jego współwięźniów brzmi zupełnie inaczej, niż to można przypuścić z jego opowiadań: zachowywał się bohatersko i był wzorem koleżeństwa). Beta chce być t o u g h, patrzy trzeźwo i nie oszczędza siebie; boi się fałszu: fałszem byłoby przedstawić siebie jako obserwatora, który sądzi, podczas gdy w rzeczywistości był on, równie jak inni, poddany wszelkim prawom upodlenia. Przesadnie uczciwy Beta wyposaża siebie w szczególne właściwości, które w obozie koncentracyjnym uchodzą za dodatnie: spryt i przedsiębiorczość.

Dzięki przeciwstawieniu "Klasowemu silnych i słabych - w czym Beta nie odbiegał od prawdy - opisy jego zyskują niebywałą brutalność.

Wyzwolony z Dachau przez Amerykanów Beta zaczął poznawać życie uchodźców w Niemczech Zachodnich.

Było to jakby przedłużenie życia w obozie. Demoralizacja, złodziejstwo, pijaństwo, przekupność, wszystkie złe siły wyzwolone w człowieku przez lata hitleryzmu nadal triumfowały. Bezwzględna polityka władz okupacyjnych wobec milionów niedawnych niewolników budziła gniew. Oto był wymarzony Koniec wojny: znów wracało prawo dżungli, znów głosząc hasła demokracji i wolności, człowiek deptał słabszych, albo odnosił się do nich z obojętnym okrucieństwem. Beta był spostrzegawczy - jakkolwiek spostrzegawczość jego zwracała się przede wszystkim ku wytropieniu absurdu, ohydy i plugawości bliźnich. Był jedną rozjątrzoną raną, bezlitosny i nietolerancyjny. Być może jego rozgoryczenie nie byłoby tak głębokie, gdyby był zdolny po tych latach cierpień zatrzymać się w jednym punkcie przez chwilę i zobaczyć nie zbiorowisko wstrząsane wielkim paroksyzmem końca wojny, ale poszczególnego człowieka. Był wewnątrz w ciągłym ruchu, twarz wykrzywiała mu się w grymas wściekłości i ironii. Masa ludzka, wśród której przebywał, nadal przedstawiała mu się jako naga. Rządziło nią kilka prymitywnych impulsów. Świat, taki jaki był, był dla niego nie do zniesienia. Beta musiał zmierzać ku czemuś. Czuł, że nie może pozostać w stanie rewolty i furii niczemu nie podporządkowanej.

Jak wielu z byłych więźniów stanął wobec problemu: wracać do kraju czy zostać emigrantem. Polska znalazła się w sferze wpływów Rosji. Marksistowskie sympatie Bety z czasów wojny nie były poważnie ugruntowane. Miał te sympatie, bo marksizm traktuje człowieka trzeźwo. Przekonania Bety dawałyby się sprowadzić do prostej zasady, że władzę nad człowiekiem mają nie żadne jego dobre intencje, tylko prawa społecznego układu, w którym został umieszczony. Kto chce zmienić człowieka, niech zmieni społeczne warunki. Beta, jak wszyscy Polacy, odnosił się jednak z nieufnością do potężnego rosyjskiego państwa. Gwałtowność jego stylu zbliżała go raczej do literatury z gatunku Zoli czy - ze współczesnych - do Hemingwaya, którego zresztą czytał ? z zamiłowaniem. Należał do ludzi, których w Rosji nazywa się "zgnilizną Zachodu"; nic nie wywołuje tam takiego wstrętu jak pisarz ukazujący człowieka od strony elementarnych sił głodu i miłości.

Beta długo się wahał, wreszcie, kiedy zaczęły do niego docierać pisma literackie wychodzące w Polsce, powziął zamiar powrotu. Zdaje się, że skłoniły go do tego głównie dwa motywy: miał wielkie ambicje pisarskie, był autorem początkującym i nikomu nie znanym - gdzie, poza swoim krajem, mógłby znaleźć czytelników książek pisanych w rodzimym języku? Poza tym w Polsce odbywała się rewolucja: tam było miejsce dla człowieka targanego furją, tam była możliwość przerabiania świata.

Pożegnał się z przyjaciółmi i wrócił do Warszawy, której ludność mieszkała w piwnicach zburzonych domów i własnymi rękami usuwała stopy gruzów, ładując je na mizerne konne wózki: tak zaczynała się odbudowa tego miasta. Ale pisma i książki były w Polsce natychmiast rozchwytywane. Rząd na popieranie literatów nie żałował pieniędzy, przed każdym autorem, jeżeli miał choć trochę talentu, otwierały się nieograniczone możliwości. Literacka kariera Bety rozpoczęła się w tempie blitzu. Drukując swoje opowiadania w pismach i zgarniając duże honoraria brał zresztą to, co mu się należało. Władzał dobrze językiem. Jego styl był zwięzły i drapieżny. Doświadczenia, które miał za sobą, miało wielu jego rodaków, tematy, o których pisał - były powszechnie bliskie i zrozumiałe. Jego książka opowiadań o "świecie koncentracyjnym" została uznana za pierwszorzędne wydarzenie literackie.

W roku 1948 nie było jeszcze mowy w Polsce o socjalistycznym realizmie. Uważano lansowanie tego kierunku w demokracjach ludowych za przedwczesne. Było to pomyślnie dla Bety, bo jego książka stanowiła najjaskrawsze przeciwieństwo sposobów pisania uprawianych przez autorów sowieckich. Z punktu widzenia kanonów narzucanych pisarzom w Centrum była zbrodnią. Oczywiście sam temat był politycznie bez zarzutu: opisywanie bestialstw hitleryzmu uchodziło za jak najbardziej wskazane, zwłaszcza że nienawiść ogółu Polaków zwracała się w równym niemal stopniu przeciwko Rosjanom, jak Niemcom; skupiając całą uwagę czytelników na zbrodniach

niemieckich osiągało się ważny cel “psychologicznego przygotowania” narodu. Toteż rosła ilość książek o walkach partyzanckich, masowych mordach gestapo i obozach, a tolerancja posuwała się nawet tak daleko, że wolno było pisać przychylnie o walkach polskiej armii z Niemcami w 1939 roku, choć armia ta broniła Polski “pańskiej”, która była solą w oku dla Związku Radzieckiego. Poprawny politycznie temat nie uchroniłby jednak Bety od napaści krytyków, gdyby zechcieli oni stosować ortodoksyjne kryteria: Beta obóz koncentracyjny opisywał tak, jak go sam widział, a nie tak, jak widzieć go należało. Z tego płynęły wszystkie uchybienia. Co w obozie koncentracyjnym widzieć należało? Nietrudno to wyliczyć:

- 1) więźniowie powinni byli zrzeszać się w tajne organizacje,
- 2) leaderami w tych organizacjach powinni być komuniści,
- 3) wszyscy więźniowie Rosjanie, występujący na kartkach książki, powinni byli odznaczać się moralną siłą i bohaterstwem w zachowaniu,
- 4) należało pokazać zróżnicowanie więźniów według ich politycznych poglądów.

Niczego podobnego nie ma w opowiadaniach Bety. Zauważyła to, rzecz jasna, Partia. Pisarzy polskich oceniała ona jako niedojrzałych do “przełomu”, to jest do przyjęcia socjalistycznego realizmu, niemniej jej krytycy wytknęli Becie główne grzechy; zarzucili mu, że jego utwory są podobne do literatury zdeprawowanej, czyli amerykańskiej, że są pesymistyczne i że nie ma w nich żadnej idei “świadomej walki” (to znaczy walki w imię komunizmu). Te uwagi krytyków były utrzymane w tonie perswazji. Beta był młody, należało go kształcić, był w nim materiał na prawdziwie komunistycznego pisarza. Przyglądając mu się uważnie Partia odkryła, że jest w nim rzadki i cenny skarb: prawdziwa nienawiść.

Beta był pojętny. W miarę jak zapoznawał się z dziełami teoretyków leninizmu-stalinizmu, przekonywał się, że to było właśnie to, czego szukał. Nienawiść, jaka w nim istniała, można przyrównać do burzliwej rzeki, niszczącej wszystko po drodze. Gnała ona naprzód bezużytecznie: cóż prostszego, jak skierować jej bieg w pożądanym kierunku, a nawet ustawić nad nią wielkie młyny, które będzie obracać? Cóż za ulga: nienawiść użyteczna, nienawiść w służbie społeczeństwa!

U źródeł nienawiści Bety było to samo, co Sartre nazwał “la nausee”: obrzydzenie do człowieka jako do istoty fizjologicznej, zdeterminowanej przez prawa natury i społeczeństwa i poddanej niszczącym wpływom czasu. Człowiek powinien wyskoczyć ze swoich więzów choćby podciągając się za uszy swoich butów. Być może, gdyby Beta był Francuzem, stałby się egzystencjalistą. Prawdopodobnie jednak to by mu nie wystarczyło: na spekulacje umysłowe patrzył z pogardliwym uśmiechem, bo widział w obozie filozofów bijących się o ochłapy na śmietniku. Myśli ludzkie nie miały znaczenia; sprytne wybiegi i samołudzenie się indywiduów

były łatwe do odszyfrowania; naprawdę liczył się tylko ruch materii. Beta chłonał materializm dialektyczny jak wodę gąbka. Strona materialistyczna tego systemu zaspokajała jego potrzebę brutalnej prawdy. Strona dialektyczna pozwalała na nagły skok ponad gatunek ludzki, na zobaczenie ludzkiego gatunku jako materiału Historii.

Wkrótce wydał nową swoją książkę. Już sam jej tytuł można uznać za symboliczny dla nastroju autora: "Kamienny świat" - kamienny, a więc bezlitosny i nagi. Książka składała się z bardzo krótkich opowiadań, które nie miały prawie żadnej akcji - po prostu rysunki tego, co widział opowiadający. W tym sugerowaniu całej sytuacji ludzkiej przez zewnętrzny opis Beta był mistrzem. "Kamienny świat" to Europa Środkowa po zakończeniu drugiej wojny i klęsce Hitlera. Ponieważ Beta spędził dłuższy czas w Niemczech w żonie amerykańskiej, miał obfity zapas tematów: występują w jego książce ludzie różnych narodowości i różnej pozycji społecznej, byli hitlerowcy, więźniowie, niemiecka burżuazja nie rozumiejąca, co się stało, żołnierze i oficerowie amerykańscy. Pod wstrzemięźliwymi słowami autora kryje się bezmiar obrzydzenia do cywilizacji, której owocem był hitleryzm. Stawia znaki równania: chrześcijaństwo równa się kapitalizm równa się hitleryzm. Jego książka ma za temat finał cywilizacji. Ton tej książki można by oddać okrzykiem: "Opowiadaliście mi o kulturze, o religii, o moralności - a patrzcie, do czego to doprowadziło!"

Dla Bety, tak jak dla wielu jego kolegów, panowanie Hitlera było ostatecznym wypełnieniem się czasów kapitalizmu w Europie i równoznaczne było ze zwycięstwem rewolucji niesionej przez Rosję w skali światowej - dalszy ciąg mógł przynieść jeszcze zmagania, ale punkt zwrotny został przekroczony. Treścią książek i Bety, i jego kolegów była w pierwszych latach powojennych bezsilność człowieka wobec praw Historii: ludzie o najlepszych nawet intencjach wpadali w maszynę nazistowskiego terroru, która robiła z nich przestraszone prymitywy, troszczące się tylko o uchronienie własnego życia. Czytelnicy tych książek byli postawieni przed dylematem: albo dawna cywilizacja, o której schyłkowym charakterze przekonali się na własnej skórze, albo cywilizacja nowa, możliwa do zrealizowania tylko dzięki zwycięskiej potędze Wschodu. Taką władzę nad wyobraźnią ludzką ma sukces: wydaje się on wynikać nie z ludzkich zamiarów i ze zbiegu pomyślnych okoliczności, ale stanowić odbicie najwyższego prawa epoki (a przecież Rosja i jej ustrój były o włos tylko od klęski w drugiej wojnie światowej).

"Kamienny świat" był ostatnią książką Bety, w której starał się używać środków artystycznych, uznanych za skuteczne w literaturze zachodniej: powściągliwości, ukrytej ironii, maskowanego gniewu. Wkrótce przekonał się, że cała ta troska o artyzm jest niepotrzebna. Przeciwnie, chwalono go tym więcej, im mocniej przyciskał pedał. Głośno, gwałtownie, zrozumiale, tendencyjnie - oto czego od niego żądano. Wśród pisarzy partyjnych (a Beta wstąpił do

Partii) odbywała się licytacja na przystępność i uproszczenie - zacierała się już granica pomiędzy literaturą i propagandą. Beta zaczął do swoich opowiadań wprowadzać coraz więcej bezpośredniej publicystyki. Swoją nienawiść wyładowywał w atakach na nikczemności kapitalizmu, to jest na wszystko, co się działo poza obrębem Imperium. Brał na przykład jakąś wiadomość z prasy - o walkach na Malajach czy o głodzie w Indiach - i na tej podstawie budował coś pośredniego między migawkowym zdjęciem i artykułem.

Po raz ostatni widziałem go w roku 1950. Od czasu swojej działalności w Warszawie przed aresztowaniem go przez gestapo zmienił się bardzo. Nie było w nim dawnej nieśmiałości i sztucznej pokory. Dawniej chodził nieco zgarbiony, z opuszczoną głową, teraz był to prosto trzymający się mężczyzna o wyrazie twarzy pewnym siebie: był suchy, skoncentrowany na działaniu. Dawny wstydlivy poeta stał się całkowicie homo politicus. W tym okresie był już naczelnym propagandystą; co tydzień ukazywał się jego zjadliwy felieton w urzędowym tygodniku. Jeździł też często do Niemiec Wschodnich, skąd pisywał reportaże. Żaden dziennikarz nie jest zdolny służyć tak dobrze jakiejś sprawie jak pisarz, który ma za sobą okres bezinteresownej literackiej pracy. Beta używał w swoich jadowitych artykułach, zwróconych przeciwko Ameryce, całej swojej znajomości pisarskiego rzemiosła. Patrząc na twarz tego szanowanego nihilisty myślałem o tym, jak bardzo wszelkie pisarstwo jest równią pochyłą i ile wysiłków musi zawsze dokonywać pisarz, aby nie ześliznąć się ku temu, co jest łatwiejsze. Nakaz wewnętrzny, który go skłania do tych wysiłków, jest w gruncie rzeczy irracjonalny. Nowa Wiara, nie uznająca sztuki bezinteresownej, niszczy ten nakaz. Beta, choć podawał w wątpliwość wszelkie imperatywy wewnętrzne w człowieku, był w swoich opowiadaniach z obozu koncentracyjnego prawdziwym pisarzem: niczego nie podrabiał, nikomu nie pragnął dogodzić. Później wprowadził jedno ziarnko polityki, a to ziarnko sprawiło, że jak roztwór krystalizuje się, tak wszystko, co odtąd pisał, stało się już jednoznaczne i stereotypowe. A przecie - myślałem - rzecz nie jest tak prosta. Wielu wybitnych autorów dawało wyraz w swoich dziełach pasjom politycznym, choćby Swift, Stendhal czy Tolstoj. Można nawet powiedzieć, że dzięki pasji politycznej, to znaczy dzięki jakiemuś ważnemu posłaniu, które pisarz chce swoim czytelnikom zakomunikować, dzieło jego nabiera siły. Istotna różnica pomiędzy wielkimi pisarzami, krytykującymi instytucje polityczne ich czasów, a ludźmi typu Bety polegała, jak się zdaje, na całkowitym nonkonformizmie tych dawnych: działali wbrew swemu otoczeniu, podczas gdy Beta wodząc piórem po papierze już łowił uchem oklaski partyjnych kolegów.

Felietony Bety przy ich całej zjadliwości i celności języka były tak płaskie, że samo to zjawisko: poniżenia dobrze zapowiadającego się prozaika wzbudziło moją ciekawość. Przecież był dostatecznie inteligentny, aby zrozumieć, że marnuje swój talent. Dlaczego to robił? W rozmowie z

kilkoma oficjalnymi literatury, od których decyzji zależało umieszczenie literatów wyżej albo niżej w hierarchii, zadałem pytanie, dlaczego tak postępują z Beta; przecież ich interesy, to jest interesy Partii, nie wymagały, aby z Bety robić całkowitą szmatę; z ich punktu widzenia byłby bardziej użyteczny, gdyby pisał opowiadania i powieści; zmuszać go do pisania artykułów znaczyło źle gospodarować talentami. "Nikt nie wymaga od niego artykułów - padła odpowiedź. - To całe nieszczęście, redaktor tygodnika N. nie może się od niego opędzić. Beta sam obstaje przy pisaniu tych felietonów. Uważa, że nie czas dzisiaj na sztukę, że trzeba działać na masy bardziej bezpośrednimi, prymitywnymi środkami. Chce być jak najbardziej użyteczny." Odpowiedź ta nie była bynajmniej pozbawiona hipokryzji. Partia stale podkreśla swoją troskę o literaturę; chce literatury najlepszej. Równocześnie stwarza takie napięcie propagandowej atmosfery, że pisarze zaczynają się prześcigać w prymitywizmie artystycznego rzemiosła. Jednak prawdą było, że Beta sam chciał oddawać się dziennikarstwu i choć był wysoko wykwalifikowanym specjalistą, miał się pracy łatwej do wykonania przez zwyczajne popychadła. Działała w nim chęć, często spotykana u intelektualistów wschodnich: samounicestwienia intelektu. Proces psychiczny, który występuje, kiedy taki intelektualista trzyma w ręku pióro, jest dość zawyły. Wyobraźmy sobie, że ma on przedstawić pewne wydarzenie międzynarodowej polityki; rozumie doskonale współzależność zjawisk; te zjawiska są ze sobą raczej w związku funkcjonalnym niż przyczynowym. Uczciwe ich przedstawienie wymagałoby wniknięcia w motywy walczących ze sobą stron, w konieczności, jakim te strony są poddane, jednym słowem - możliwie jak najbardziej wszechstronnej analizy. Wtedy z pomocą przychodzi gniew; gniew wprowadza od razu porządek w skomplikowaną gmatwaninę zależności; gniew uwalnia od potrzeby analizy. Jest to gniew zwrócony przeciwko ludzeniu się, że cokolwiek zależy od ludzkiej woli, jest on połączony ze strachem, aby nie paść ofiarą własnej naiwności; ponieważ świat jest brutalny, należy wszystko sprowadzić do najprostszych i najbanalniejszych czynników. Autor rozumie, że nie jest to bynajmniej ściśle: ludzka głupota i ludzkie dobre zamiary wpływają na wypadki nie mniej niż konieczności ekonomicznej walki; jednak dokonując aktu zemsty na intencjach ludzkich, wykazując, że są one całkowicie zdeterminowane przez kilka praw elementarnych, odczuwa swoją wyższość, uważa siebie za przenikliwego i dostatecznie silnego, aby obyć się bez "idealistycznych przesądów". Kiedy Beta w swoich opowiadaniach z obozu koncentracyjnego ukazywał siebie samego sytym, dobrze ubranym i cynicznym, postępował podobnie jak później, kiedy pisał swoje polityczne felietony. Uprościć, obdrzeć ze złudzeń, przedstawić wszystko nago - ta dążność występowała w nim stale. Jednakże idąc coraz dalej ku nagości świata dochodzi się do punktu, w którym intelekt nie ma już nic do powiedzenia - słowo zmienia się w okrzyk bojowy i jest już tylko niedoskonałym zastępstwem czynu. To, co ono oznacza, lepiej wyraziłaby zaciśnięta pięść. Beta rzeczywiście sam

doszedł do stadium, kiedy słowo już nie wystarcza i dlatego nie mógł zadowolić się opowiadaniem czy powieściami, które bądź co bądź trwają w czasie, nie mogą być tylko krzykiem. Nigdy nie potrafił patrzeć i analizować bez nienawiści, ale ruch, któremu podlegał, był ruchem przyspieszonym: coraz prędzej, coraz większe dawki - i ruchu, i nienawiści. Kształty świata były dla niego coraz prostsze, aż poszczególny człowiek, poszczególne drzewo przestały mieć jakieś znaczenie i Beta znalazł się nie wśród rzeczy, ale wśród pojęć politycznych. Jego gorączkowy zapal do dziennikarstwa był niestety do wytłumaczenia. Pisanie artykułów działało na niego jak narkotyki. Odkładając pióro miał poczucie dokonania czynu, chociaż w istocie w artykule nie było ani jednej jego własnej myśli i to samo mówiły tysiące podrzędnych dziennikarzy na obszarze od Elby do Oceanu Spokojnego. Działał w tym znaczeniu, w jakim działa żołnierz maszerujący w kolumnie. "Und Morgen die ganze Welt" - śpiewali żołnierze SS idąc na tle czarnych dymów, wzbijających się z krematoriów Oświęcimia. Nazizm był masowym obłędem, a jednak masy niemieckie, które poszły za Hitlerem, nie zrobiły tego bez głębokich psychologicznych powodów. U narodzin nazizmu leżał wielki kryzys ekonomiczny i kryzys struktury społeczeństwa. Młody Niemiec patrzył wtedy na rozkład i chaos Republiki Weimarskiej, na poniżenie milionów bezrobotnych i odrażające aberracje kulturalnej elity, na prostytutkę swoich siostr i walkę wszystkich ze wszystkimi o pieniądze. Kiedy znikła nadzieja socjalizmu, zaakceptował ofiarowaną mu inną filozofię stawania się historycznego; owa filozofia była parodią tej samej filozofii, która tkwi u podstaw doktryny Lenina i Stalina. Niemiec, który zamknął Betę w obozie koncentracyjnym, był, być może, kiedyś równie zawiedzionym kochankiem świata jak Beta, zanim propaganda Partii nie uczyniła z niego bestii. Pragnął ładu i czystości, dyscypliny i wiary. Z jaką pogardą odnosił się do tych swoich rodaków, którzy nie chcieli przyłączyć się do radosnego marszu! Mruczeli coś o zasadach moralnych, z którymi nowy Ruch jest w sprzeczności, nędzne niedobitki humanitaryzmu, płaczący wyznawcy nikczemnego Jezusa. Właściwie budzili zdumienie: oto tutaj, zaraz, widoczne było zbawienie narodu niemieckiego i przebudowa świata w tak historycznym jedynym, niesłychanym momencie, który zdarza się raz na tysiąc lat - odważali się wspominać o swoich małostkowych moralnych skrupułach! Jak trudno jest walczyć o nowy, lepszy porządek, kiedy spotyka się jeszcze w swoim otoczeniu ludzi hołdujących śmiesznym przesądom!

Beta w swoich felietonach widział nowy, lepszy porządek też w zasięgu dłoni. Wierzył - i pożądał ziemskiego zbawienia. Do wrogów, którzy chcą przeszkodzić szczęściu ludzkości, odnosił się z nienawiścią. Wołał, że trzeba ich zniszczyć. Czyż nie są szkodnikami ci, którzy w chwili kiedy planeta ziemską wchodzi na nowe tory, ośmielają się twierdzić, że jednak nie bardzo dobrze jest zamykać ludzi w obozach i zmuszać ich strachem do wyznań politycznej wiary? Kogo zamyka

się w obozach? Wrogów klasowych, zdrajców, kanalie. A wiara, do której przyjęcia się zmusza, czyż nie jest prawdziwa? Oto Historia, Historia jest z nami! Oto widzimy jej buchający, żywy płomień! Zaiste mali i ślepi są ludzie, którzy zamiast ogarniać całość gigantycznego zadania trwonią czas na rozpamiętywanie mało znaczących szczegółów!

Wielki talent i wybitna inteligencja Bety nie wystarczyły, aby mógł sobie uświadomić niebezpieczeństwa, jakie kryją się w upajającym marszu. Przeciwnie, jego talent, jego inteligencja i zapal popychały go do czynu - podczas gdy ludzie mierni i ani zimni, ani gorący lawirowali próbując oddawać niemiłemu cesarowi tylko tyle, ile koniecznie potrzeba. Beta wziął odpowiedzialność. Nie zastanawiał się, w co przekształca się najszlachetniejsza nawet filozofia stawania się historycznego, kiedy jako środek przyjmuje podbój ziemi siłą zbrojną. "A jutro cały świat..."

W parę miesięcy po napisaniu tego portretu Bety dowiedziałem się o jego śmierci. Znalaziono go rano martwego w jego mieszkaniu w Warszawie. Kurek gazowej kuchenki był odkręcony, czuć było silny zapach ulatniającego się gazu. Ci, którzy obserwowali Betę w ostatnich miesiącach jego gorączkowej aktywności, byli zdania, że pomiędzy jego publicznymi wypowiedziami i możliwościami jego bystrego umysłu zachodził coraz większy konflikt; zachowywał się zbyt nerwowo, aby nie przypuszczać, że sam ten kontrast dostrzegał. Mówił zresztą często o samobójstwie Majakowskiego. W prasie ukazały się liczne artykuły pisane przez jego przyjaciół - pisarzy Polski i wschodnich Niemiec. Trumnę okrytą czerwonym sztandarem spuszczone do grobu przy dźwiękach "Międzynarodówki". Partia żegnała swego najbardziej obiecującego pisarza.

VI - GAMMA - CZYLI NIEWOLNIK DZIEJÓW

Mówiąc o Gammie trzeba przywołać obraz miasta, gdzie chodziłem do szkoły i rozpoczynałem studia uniwersyteckie. Są w Europie punkty przyczyniające szczególnych kłopotów nauczycielom geografii i historii: Triest, Zagłębie Saary, Schleszwig-Holsteih. Takim właśnie punktem kłopotliwym jest też miasto Wilno. W ciągu ostatniego półwiecza należało ono kolejno do różnych państw, widziało na swoich ulicach różne armie i za każdym razem malarze mieli wiele roboty przemalowując szyldy i nazwy urzędów na język właśnie obowiązujący urzędowo. Mieszkańcy za każdym razem dostawali nowe paszporty i starali się dostosować do nowych praw i rozporządzeń. Miastem władali kolejno: Rosjanie, Niemcy, Litwini, Polacy, znów Litwini, znów Niemcy i znów Rosjanie. Dzisiaj jest ono stolicą Litewskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, pod którą to nazwą kryje się prosty fakt, że Rosja skutecznie wypełnia wskazania carów, gdy chodzi o ekspansję terytorialną.

Za moich lat szkolnych i uniwersyteckich miasto należało do Polski. Leży ono w kraju lasów, jezior i strumieni, ukryte w wielkiej kotlinie. Oczom podróżnych zjawia się niespodziewanie spoza leśnej zasłony. Wieże jego kilkudziesięciu katolickich kościołów, budowanych przez włoskich architektów w barokowym stylu, kontrastują swoją bielą i złotem z czernią sosen. Legenda głosi, że pewien wódz litewski polował w puszczy i zasnawszy przy ognisku miał proroczy sen. Pod wpływem tego snu założył, w miejscu gdzie spał, miasto. W ciągu wielu wieków istnienia Wilno nie straciło swego charakteru leśnej stolicy. Dokoła rozpościerała się zapadła prowincja Europy, a mieszkańcy tej prowincji mówiący po polsku, litewsku i białorusku, albo mieszaniną tych języków, przechowali wiele obyczajów i przyzwyczajzeń nigdzie indziej nie znanych. Używam czasu przeszłego, bo dzisiaj to miasto mego dzieciństwa jest równie pogrzebane przez lawę jak Pompeje. Większość jego dawnych mieszkańców została albo wymordowana przez nazich, albo deportowana przez Rosjan na Syberię, albo przeniesiona na zachód, na terytoria, z których wysiedlono Niemców. Inni ludzie, urodzeni w miejscach oddalonych o kilka tysięcy mil, chodzą teraz jego ulicami, a kościoły fundowane przez litewskie książęta i polskich królów są dla nich bezużyteczne.

Wtedy jednak nikt nie spodziewał się jeszcze masowych morderstw i masowych deportacji, a życie miasta rozwijało się według powolnego rytmu mniej zmieniającego się niż formy rządów i granice królestw. Uniwersytet, pałac biskupi i katedra - były najszacowniejszymi gmachami miasta. W niedzielę tłumy pobożnych zapełniały wąską ulicę, nad którą w kaplicy, zbudowanej na bramie, był umieszczony obraz Matki Boskiej słynący cudami. Włoska architektura i Bliski Wschód

mieszały się w Wilnie. W wąskich uliczkach żydowskich dzielnic w piątkowe wieczory widziało się przez okna rodziny zasiadające w blasku świec. W starych synagogach rozlegały się słowa hebrajskich proroków. Był to jeden z najpoważniejszych ośrodków literatury i studiów żydowskich w Europie. Wielkie jarmarki w uroczyste katolickie święta ściągaly do miasta chłopów z okolicznych wiosek, którzy wystawiali na sprzedaż na placach wyroby z drzewa, zioła lecznicze i małe obwarzanki, nizane na sznurki; te obwarzanki, gdziekolwiek je wypiekano, zawsze nosiły tę samą nazwę, pochodzącą od małego miasteczka, które tym tylko wslawiło się w historii, że miało dobre piekarnie, a ongiś “niedźwiedzią akademię” - zakład, w którym tresowano niedźwiedzie. W zimie strome ulice zapelniały się chłopcami i dziewczętami na nartach; ich czerwone i zielone kurtki migały na tle różowych od mroźnego słońca śniegów.

Gmach uniwersytetu miał grube mury i niskie, sklepienie sale. W labiryncie jego podwórzy z podcieniami nie wtajemniczony musiałby zabłądzić. Te arkady i korytarze mogłyby być równie dobrze w Padwie czy Bolonii. Ongiś w tym gmachu uczyli synów szlachty jezuita otoczeni opieką przez polskiego króla, który toczył zaciekle i udane wojny z Moskwą. W czasie kiedy znalazłem się wśród studentów, świeccy profesorowie uczyli młodzież, której rodzicami byli przeważnie niewielcy właściciele ziemscy, drobni dzierżawcy i żydowscy kupcy.

Tam to, w tym gmachu, poznałem Gammę. Był to niezgrabny wyrostek o czerwonej twarzy, gburowaty i krzykliwy. Jeżeli miasto było prowincjonalne, to ci, którzy przyjeżdżali po naukę z zapadłej wsi, byli prowincjonalni w dwójnasób. Na wsi błotniste drogi czyniły komunikację niemal niemożliwą na wiosnę i jesienią; chłopskie konie na widok auta dostawały szału ze strachu; w wielu wioskach wciąż jeszcze, dawnym zwyczajem, za oświetlenie używano łuczywa. Z zajęć, poza rolnictwem, ludność znała tylko pracę w lasach przy obróbce drzewa i domowe rzemiosło. Gamma pochodził ze wsi. Jego ojciec, emerytowany oficer polskiej armii, miał farmę; rodzina siedziała w tamtych okolicach od dawna; nazwisko jej można znaleźć w starych spisach tamtejszej szlachty. Matka Gammy była Rosjanką i w domu używano obu języków. W przeciwieństwie do większości swoich kolegów Gamma nie był katolikiem - był prawosławny, wyznanie odziedziczył po matce.

Nasze pierwsze rozmowy nie wróżyły bliskiego porozumienia. Łączyły nas wprawdzie wspólne zainteresowania literackie, ale raziło mnie zachowanie się Gammy, jego przenikliwy głos - nie umiał mówić normalnie - i wypowiedane przez niego tym głosem opinie. Nosił zawsze grubą łaskę, która zresztą była ulubionym narzędziem części młodzieży skłonnej do antysemitycznych wybryków. Gamma był zaciekle antysemitą. Był to jego program polityczny. Ja natomiast do nacjonalistów odnosiłem się z obrzydzeniem; uważałem ich za szkodliwych głupców, którzy wrzaskiem i budzeniem wzajemnych nienawiści wśród różnych grup narodowościowych zwalniają

siebie od obowiązku myślenia. Zdarza się, że pewne rozmowy szczególnie zostają w pamięci. Nie zawsze są to słowa, czasem zapamiętuje się to, na co się wtedy patrzyło. Pamiętam naszą rozmowę o rasizmie; widzę nogi Gammy, okrągłe kamienie bruku i jego laskę opartą na krawędzi rynsztoka. Mówił o krwi i ziemi, o tym, że władza w państwie powinna należeć nie do ogółu obywateli, niezależnie od ich rasy i rodzimego języka, ale do narodu panującego, który powinien dbać, aby jego krew nie została skażona. Być może ten zapał nacjonalistyczny wynikał u niego z faktu, że Gamma próbował nadrobić w ten sposób swoje braki: w prowincjonalnej szkole jego mieszane, półrosyjskie pochodzenie i jego wyznanie prawosławne musiały mu przyczyniać wiele przykrości ze strony prymitywnych kolegów. Głos jego rozlegał się nade mną, było w nim podrażnione poczucie wyższości. Moje argumenty przeciwko teoriom rasy budziły w nim niesmak: uważał mnie za człowieka, któremu myśl przeszkadza w działaniu. Co do niego, chciał działać. Był to rok 1931. Obaj byliśmy bardzo młodzi, ubodzy i nieświadomi niezwykłych zdarzeń, w które mieliśmy być później wtrąceni.

Odwiedziłem Gammę w roku 1949 w jednej ze stolic zachodnioeuropejskich, gdzie był ambasadorem czerwonej Polski i zaufanym człowiekiem Partii. Jego rezydencji chroniła kuta brama z żelaznych płyt. Kiedy się zadzwoniło, po pewnym czasie pojawiała się w otworze oko, zgrzytały zawiasy i ukazywał się podwórzec, na którym stało kilka błyszczących samochodów. Na lewo od wejścia była budka dyżurnego woźnego, który urzędował tam uzbrojony na wszelki wypadek w pistolet. Stojąc w środku podwórca ogarniało się wzrokiem fronton gmachu i jego skrzydła. Był to jeden z ładniejszych pałaców tej pięknej stolicy. Zbudował go w osiemnastym wieku pewien arystokrata dla swojej kochanki. Wnętrze zachowało swój dawny charakter. Wielkie sale o ścianach pokrytych złożonymi boazeriami miały meble, dywany i gobeliny z tamtego czasu. Gamma spotkał mnie wśród złocen i marmurów; był serdeczny; lata starły z jego ruchów dawną szorstkość, nadały natomiast jego zachowaniu się nieco sztuczną słodycz. W pałacu Gamma miał swój apartament, salony recepcyjne i swoje biuro. Bywało u niego wielu najwybitniejszych przedstawicieli nauki i sztuki Zachodu. Pewien biolog angielski mawiał o nim, że jest to człowiek czarujący, liberalny i pozbawiony fanatyzmu. Tego samego zdania byli liczni przedstawiciele umysłowej elity: katolicy, liberałowie, a nawet konserwatyści. Co do wielkich luminarzy literatury komunistycznej, to cenili go zarówno jako wysłannika uwielbianego przez siebie Wschodu, jak i za jego bystrość w marksistowskiej ocenie problemów literackich. Nie znali oni oczywiście jego przeszłości i nie wiedzieli, jaką cenę płaci się, aby z nieokrzesanego młodzieńca, który wychował się w jednym z najbardziej zapadłych kątów Europy, stać się gospodarzem osiemnastowiecznego pałacu.

Gamma dobrze czuł się w tej zachodniej stolicy. Lubił odwiedzać nocne boite'y i kabarety. Znano go tam i kiedy wchodził, maitre d'hôtel w ukłonach prowadził go do najlepszego stolika. Patrząc na tego nonszalanckiego mężczyznę, przyglądającego się zmrużonymi oczami publiczności spoza ustawionych w lodzie butelek szampana, łatwo byłoby go wziąć za angielskiego squire'a, któremu udało się ocalić coś ze swojej fortuny. Wysoki, nieco zgarbiony, miał pociągłą, rumianą twarz człowieka spędzającego czas ze strzelbą i psami. Powierzchność jego klasyfikowała go pomiędzy warstwę społeczną, z której się wywodził: niedużą szlachtę, która ongiś w Polsce namiętnie polowała, namiętnie piła i za działalność polityczną poczytywała oracje przeplatane łaciną, zwyciężanie przeciwników chóralnym wrzaskiem protestu, a w razie potrzeby - przy pomocy bitwy na szable pośród przewróconych ław i stołów. Swoboda jego ruchów była swobodą człowieka świadomego swoich przywilejów. Do podwładnych, którzy często z urzędu towarzyszyli mu w jego nocnych wyprawach, odnosił się z dobroduszną pogardą. Również w swoich biurach ciągnął nieraz, w przystępie dobrego humoru, sekretarzy ambasady za nosy albo wymierzał im potężne klapsy po tyłku. Był też skłonny ulegać atakom niepohamowanego gniewu; jego rumiana twarz stawała się wtedy purpurowa, niebieskie oczy nabiegały krwią, a w głosie powracał dawny, przenikliwy, dziki ton. Nie należy się dziwić, jeżeli zachodni dyplomaci, uczeni i artyści uważali go za niezbyt skomplikowanego wewnątrznie bon viveura. Nawet jego nietakty zdawały się płynąć z szerokiej, otwartej natury, która grzeszy nieraz nadmierną szczerością, ale w każdym razie wolna jest od obłudy. Brak skrępowania, z jakim mówił o sprawach uważanych przez innych komunistów za drażliwe, budził zaufanie u rozmówców. Żaden komunista, a jeżeli nawet komunista - to jakże szeroki w swoich poglądach i jakże cywilizowany - wymieniali między sobą uwagi po wizycie w ambasadzie. Popelniali błąd przypisując temu, co dla Gammy było sztuką, cechy naturalności. Świadomy swojej powierzchowności wiejskiego squire'a, używał z ręcznie swych dobrodusznych manier. Ci, którzy go bardzo dobrze znali, mogli spostrzec pod pozorną wylewnością zimny rachunek. Nosił w zanadrzu niewidzialny sztylet. Tym sztyletem umiał zadawać niespodziewane przez nikogo ciosy. Równocześnie chłód tego sztyletu, z którym nie rozstawał się za dnia ani w nocy, ziębił mu serce. Świadomość gry nie czyniła go szczęśliwym.

Dyplomatów, co do których istniały podejrzenia, że nie zechcą wracać za żelazną kurtynę, Gamma najczarowniejszym ze swoich uśmiechów przekonywał o swojej dla nich życzliwości. Rzucił gromy na głupców w Warszawie, którzy nie rozumieją, jak należy załatwiać sprawy na Zachodzie, po czym proponował wspólną przejażdżkę do Warszawy, samolotem, na parę dni, dla wytłumaczenia tamtejszym głupcom, jak należy rozstrzygnąć jakąś kwestię, która była powodem wymiany wielu telegramów. Delikwent zastanawiał się: dobra wola Gammy była oczywista, a każda wyprawa do Warszawy stanowiła dowód lojalności wobec rządu i przedłużała pobyt za

granicą; nie było widać żadnego ryzyka. W pogodnym nastroju, wymieniając żarciki z Gammą, dyplomata wsiadał do samolotu. Już na lotnisku w Warszawie przekonywał się, że wpadł w pułapkę zostawiając za granicą żonę i dzieci. Spełniwszy co do niego należało, Gamma wsiadał w pierwszy samolot, jaki szedł w przeciwnym kierunku. Nadzorowanie wierności personelu stanowiło niepoślednią część obowiązków Gammy. Jest to funkcja uważana za zaszczytną; stanowi dowód zaufania. Sztylet Gammy pracował najlepiej tam, gdzie potrzebny był talent psychologa, to jest w zadaniach policji politycznej.

Wracam jednak w przeszłość. Wtedy Gamma nie znał smaku szampana. Stołówka uniwersytetu, w której jadalśmy, nosiła nazwę łacińską - jak wiele instytucji tego uniwersytetu przechowującego staroświeckie tradycje - "mensa". Obiady kosztowały tam mało, ale były równie złe jak tanie i stanowiły ulubiony temat złośliwych wierszy, opiewających niezrównaną twardość kotletów i wodnistość zup. W dymie złych papierosów siadywaliśmy tam prowadząc dyskusje o poezji i rozdzielając sobie nawzajem laury, które poza nami nie interesowały nikogo. Nasza grupa - początkujących pisarzy - miała jednak w przyszłości zainteresować wielu ludzi i odegrać rolę w historii naszego kraju. Podczas gdy naszych kolegów interesowały studia i zapewnienie sobie posad, w nas było pragnienie sławy i chęć przerabiania świata. Równocześnie, jak zwykle bywa w podobnych wypadkach, inteligencja i talent były okupione zakłóceniem wewnętrznej równowagi. W każdym z nas dałoby się odkryć głębokie urazy z dzieciństwa czy z lat chłopięcych, inne u każdego, ale wspólne w jednym podstawowym elemencie: było to coś, co uniemożliwiało harmonijne współzycie z rówieśnikami, coś, co stwarzało poczucie inności, a więc popchnąć mogło do szukania kompensaty. Te wewnętrzne motywy wygórowanej ambicji nie są łatwe do śledzenia. Gamma - wówczas student literatury i początkujący poeta - odczuwał, jak sądzę, silnie swoją sytuację rodzinną. Poza tym mógł w znacznym stopniu wpłynąć na niego wypadek, który zdarzył mu się, kiedy był w szkole: na polowaniu zabił przypadkiem swego przyjaciela. Poczucie winy, które powstało wskutek tego wypadku, mogło kształtować jego dalsze decyzje.

Ważniejsze może było zakłócenie społecznej równowagi. Wszyscy byliśmy zrewoltowani przeciwko swemu środowisku. Żaden z nas nie pochodził z proletariatu. Wywodziliśmy się z inteligencji, która w tej części Europy była synonimem zubożałej szlachty albo drobnomieszczaństwa. Ojciec Gammy - jak powiedziałem - był emerytowanym oficerem. Poeta Jerzy był synem prowincjonalnego adwokata, poeta Teodor (zastrzelony później przez polskie podziemie jako propagandysta Partii) nosił niemal arystokratyczne nazwisko, ale już matka jego była tylko urzędniczką w banku. Henryk, mówca, pisarz i polityk (rozstrzelany później przez Niemców), był synem maszynisty kolejowego, choć tenże maszynista kolejowy szczylił się nazwiskiem jednego z bardziej znanych w Polsce rodów. Stefan - poeta, który miał się później stać

wybitnym ekonomistą - pochodził z nieudanej rodziny kupieckiej; był pół-Niemcem: jego matka była córką kupców z Regensburga w Bawarii. Moja rodzina należała do litewskiej szlachty; ojciec mój wyemigrował ze wsi do miasta i został inżynierem. Rewolta przeciwko własnemu środowisku jest zwykle wstydem własnego środowiska. Status społeczny nas wszystkich był nieokreślony. Myślą przebywaliśmy w wieku dwudziestym, ale tradycje naszych rodzin cofały nas ku pojęciom i zwyczajom, które przedstawiały się nam jako śmieszne i zacofane. Nie byliśmy w tym zawieszaniu w pustce odosobnieni: kraj nie przeżył nigdy prawdziwej rewolucji przemysłowej; mieszczaństwo było słabe; robotnik był dla jednych brutalnym osobnikiem o brudnej twarzy, ciężko pracującym albo pijącym wódkę, dla innych mitem, do którego należało się modlić. Istniał podział na "inteligencję" i "lud", przy czym "ludem" byli robotnicy i chłopi. My jednak nie mogliśmy znaleźć sobie miejsca wśród "inteligencji", która zwracała się raczej ku przeszłości niż ku przyszłości. Sytuację naszą można porównać pod pewnymi względami z sytuacją zubożałych rodów na południu Stanów Zjednoczonych. Szukaliśmy oparcia i nie mogliśmy go nigdzie znaleźć. Naszą grupę nazywali niektórzy "klubem intelektualistów" - co zakładało przeciwstawienie "intelektualistów" warstwie "inteligencji".

Były to lata wielkiego ekonomicznego kryzysu. Bezrobocie dotknęło duże kręgi ludności. Młodzież uniwersytecka, żyjąca bez pieniędzy i pozbawiona nadziei na dostanie pracy po ukończeniu studiów, była nastrojona radykalnie. Radykalizm ten przybierał dwojakie formy: jedni - jak Gamma w początkach swego pobytu na uniwersytecie - przeżywali nasilenie nacjonalizmu. Rozwiązanie trudności widzieli w jakiejś bliżej nieokreślonej "rewolucji narodowej". W praktyce oznaczało to wrogi stosunek do ich kolegów Żydów, którzy jako przyszli prawnicy i lekarze stanowili konkurencję zawodową. Przeciwko tym nacjonalistom występowała "lewica", której program - zależnie od ugrupowania - wahał się od socjalizmu do odmiany New Dealu. W okresie dorocznych wyborów do Bratniej Pomocy, która była czymś w rodzaju autonomicznego rządu studenckiego (ona administrowała domami studenckimi, "mensą" itd.)⁵ toczyły się między dwoma obozami walki na słowa, a nieraz na pięści.

"Lewica" (jeżeli słuszne jest tak nazywać zlepek różnych ugrupowań) stanowiła teren działania zarówno rządu Piłsudskiego jak komunistów. Półdyktatura Piłsudskiego była łagodna. Pozbawiona jasnego programu działania trwożliwie zabiegała o względy młodzieży, starając się pozyskać przywódców. Widząc radykalizowanie się uniwersytetów próbowała stawiać na "lewicę", obiecując reformy. Nasza grupa była przez pewien czas ostoją tych poczynań na uniwersytecie. Nasi koledzy, Stefan i Henryk, uchodzili za najbardziej obiecujących młodych "rządowych" polityków w kraju. Próby te skończyły się niepowodzeniem. Najbardziej obiecujący młodzi politycy zerwali z rządem i poszli dalej na lewo. Mechanika wydarzeń popychała natomiast rząd

coraz dalej na prawo. Nacjonalizm - jeżeli nie wręcz totalizm w miejscowym wydaniu - odnosił coraz większe triumfy; rząd porzucił usiłowanie sklecenia "rządowej lewicy" i zaczął kokietować nacjonalistów.

Niech to, co powiedziałem, wystarczy za ogólny obraz polityki w zalanym lawą mieście Pompeje. Ten opis obejmuje szereg lat. Przez ten czas, co wiosny, właśnie kiedy musieliśmy uczyć się do egzaminów, drzewa pokrywały się zielenią - a nigdzie później zieleń nie wydawała mi się tak radosna; na rzece pojawiały się małe statki wożące spacerowiczów na pobliskie plaże; długie tratwy płynęły z lasów do tartaków. Pod arkadami uniwersytetu przechadzały się pary trzymając się za ręce. Wstać o świcie, wziąć kajak na przystani i płynąć w świetle wschodzącego słońca rzeką, której szybki nurt parł pomiędzy piaszczystymi urwiskami i kępami sosen - dawało pełnię szczęścia. Robiliśmy też wycieczki na niedaleko położone jeziora. Na wyspach, których całe archipelagi wynurzały się w środku jezior jak wielkie bukiety, trawa była bujna, nietknięta ludzką stopą; w łożynach darły się słowiki. Rzucaliśmy się gromadą w wodę i wypływaliśmy daleko na gładką taflę, na której mieszały się odbicia obłoków; leżąc na wznak na wodzie patrzyliśmy w niebo i śpiewaliśmy nieartykułowane pieśni zachwytu. Przeżywaliśmy swoje miłosne zawody, żale oblatanych egzaminów, wzajemne intrygi i zawiści. Ukazywały się drukiem nasze wiersze i artykuły. Przy twardych kotletach w "mencie" zmieniały się tematy rozmów: spory o znaczenie metafory w poezji ustępowały miejsca dyskusjom o teoriach Jerzego Sorela, potem przyszedł Marks i Lenin.

Gamma dość szybko rozstał się z nacjonalistami, do "rządowej lewicy" i do lewicy katolickiej czuł jednak mało sympatii. Pisał wiersze i publikował je w wydawanych przez naszą grupę pismach; tutaj spotkały go niepowodzenia. W przeciwieństwie do wierszy Teodora, Jerzego i moich jego utwory nie były przedmiotem pochwał ani napaści krytyków, zbywano je milczeniem. W istocie był w nich jakiś niedowład talentu. Gamma miał tę umiejętność techniki, jakiej wymaga nowoczesna poezja, ale to, co pisał, było jak nieruchoma sadzawka; ci, którym zazdrościł, pisali - jak sądzę - głupio; niemniej ich styl był osobisty; inkantacja rytmiczna wyrażała uczucia autorów; furia i sarkazm, które najczęściej się pojawiały, drażniły czytających, ale zwracały uwagę. Wiersze Gammy były układem starannie dobranych metafor; właściwie nie wyrażały nic.

Nasza grupa radykalizowała się coraz bardziej. Po bankructwie "rządowej lewicy" powstało pytanie: jaka lewica? Socjaldemokracja w naszym kraju dzieliła wady wszystkich socjaldemokracji kontynentu - była kompromisowa i bezsilna. Coraz częściej w naszych rozmowach zaczęło się pojawiać słowo "Rosja". Mieszkaliśmy nie więcej jak sto mil od granicy Związku Radzieckiego. Nie znaczy to, że mieliśmy o nim wiedzę gruntowniejszą od mieszkańców Paryża. Granica była hermetycznie zamknięta. Przebywaliśmy na peryferiach świata, który różnił się od świata na Wschodzie, jak różnią się dwie planety. Tamten świat, znany z książki,

przedstawiał się nam jako świat postępu, kiedy porównywaliśmy go ze stosunkami, które mogliśmy obserwować z bliska. Rozważając rzecz racjonalnie było jasne, że tam była przyszłość. Nasz kraj był w stanie paraliżu. Szerokie masy nie miały żadnego wpływu na rządy. Filtr społeczny był przemyślnie urządzony: młodzież chłopska i robotnicza nie mogła dostać się do szkół średnich i uniwersytetów; koszty studiów - choć niskie - były jednak ponad możliwości robotników i chłopów. Niezmiernie skomplikowane zagadnienia mniejszości narodowych (a nasz kraj był krajem o wysokim procencie mniejszości) były rozwiązywane w duchu jak najbardziej szowinistycznym. Ruch nacjonalistyczny, oparty na drobnomieszczaństwie i zubożałej inteligencji, popychał rząd do coraz ostrzejszej dyskryminacji. Kraj zmierzał ku jakiejś odmianie tego, co działo się w sąsiednich Niemczech - a Niemcy te groziły wojną i zmiżdżeniem Polski. Czyż można się dziwić, że patrzyliśmy na Rosję jako na kraj, gdzie znaleziono rozwiązanie wszystkich dręczących nas problemów - i kraj, który jedynie mógł ocalić od nieszczęść, jakie łatwo było sobie wyobrazić słuchając przez radio mów Hitlera?

Zdecydować się na komunizm nie było jednak łatwo. Znaczyło to dokonać całkowitego przewartościowania pojęcia narodowości. Polacy w ciągu wielu wieków byli w stanie permanentnej wojny z Moskwą. Był czas, kiedy oba kraje były równorzędne w sile i polscy królowie docierali w swoich wyprawach aż do "wschodniego Rzymu". Później szala przechyliła się na korzyść Moskwy, aż wreszcie w ciągu całego dziewiętnastego wieku większa część Polski była prowincją państwa carów. Aby zgodzić się na komunizm, trzeba było uznać te konflikty za konflikty klas posiadających obu narodów i zapomnieć o dawnych antagonizmach. Nie tylko jednak. Trzeba było uznać, że Polska - po krótkim okresie samodzielności uzyskanej wskutek pokoju wersalskiego - zmieniłaby się, w razie zwycięstwa komunizmu, znów w prowincję rosyjską. Program Moskwy nie budził pod tym względem wątpliwości. Polskie terytoria wschodnie - i miasto, w którym mieszkaliśmy - miały być włączone bezpośrednio do Związku; te terytoria były uważane przez Moskwę za część republik białoruskiej i ukraińskiej. Co do reszty, to oczywiście miała ona stać się jeszcze jedną republiką związkową. Taki był program bynajmniej przez polskich komunistów nie ukrywany.

Wyrzec się lojalności względem własnego państwa i zniszczyć uczucia patriotyczne wpajane w szkole i na uniwersytecie: taka była cena wkroczenia na drogę postępu. Nie wszyscy byli gotowi zapłacić taką cenę. Nasza grupa rozpadła się. Najbardziej obiecujący młodzi "rządowi politycy", Stefan i Henryk, zostali stalinistami. Jerzy i ja wycofaliśmy się. Ci, którzy zgodzili się zapłacić wysoką cenę, uważali nas za słabych, chwiejnych poetów, za dekadentów literackich niezdolnych do działania. Być może takie opinie nie były dalekie od prawdy. Nie wiem jednak, czy żelazna konsekwencja jest największą ludzką cnotą.

Gamma został stalinistą. Myślę, że pisząc swoje wiersze pozbawione namiętności czuł się źle. Nie był stworzony do literatury. Zasiadając nad papierem czuł w sobie pustkę. Nie był zdolny przeżywać upojeń pisarza - ani upojeń procesu twórczego, ani upojeń nasyconej ambicji. Okres pomiędzy nacjonalizmem a stalinizmem był dla niego okresem otchłani, bezsensownych prób i rozczarowań.

Partia komunistyczna w naszym kraju była niezwykle słaba; była ona partią nielegalną. Za przynależność do niej karano z paragrafu, który uważał za przestępstwo wszelką próbę oderwania od państwa części jego terytorium. Przywódcy Partii rozumieli bezsensowność nielegalnej roboty i starali się wpłynąć na opinię poprzez sympatyków nie zaangażowanych bezpośrednio. Ukazywało się w Polsce sporo pism, które szły za linią partyjną, łagodząc ją odpowiednio dla nie przygotowanych czytelników. Grupa, w której znalazł się Gamma, zaczęła wydawać jedno z takich pism. Kontakty z wysłannikami Partii odbywały się potajemnie, często na wycieczkach w okoliczne lasy. Było to już po ukończeniu studiów przez większość członków grupy: okres wojny w Hiszpanii, frontu komunistycznego w "obronie kultury", do którego starano się zwerbować jak największą liczbę liberałów.

Gamma pisał artykuły, występował na wiecach, kroczył w pochodach 1 Maja. Działał. Kiedy władze zamknęły pismo, aresztowały członków grupy i wytoczyły proces, Gamma - razem z innymi - znalazł się na ławie oskarżonych. Proces ten był wielką sensacją miasta i kompromitacją dla rządu: ta młodzież, na którą rząd liczył najbardziej, przeszła szybko ewolucję ku komunizmowi. Wielu z oburzeniem przyjęło bezwzględność władz wobec utalentowanych absolwentów uniwersytetu, młodych doktorów prawa czy filozofii. Bronili ich najlepsi adwokaci miasta. Oskarżeni w swojej obronie używali obficie kłamstwa; wyszkoleniem umysłów górowali nad prokuratorem; nie ustępowali mu też w znajomości prawnych przepisów. Wyroki dostali łagodne. Gamma został uniewinniony z braku dowodów.

Lata bezpośrednio poprzedzające wybuch drugiej wojny światowej Gamma spędził na pracy w swoim zawodzie. Specjalizował się w badaniach nad literaturą; wydał studium o strukturze noweli, które w niczym nie zdradzało jego przekonań. Wydał też dwa tomy wierszy, z których również trudno byłoby wywnioskować o szczególnie rewolucyjnych tendencjach autora. Ożenił się. Urodziła mu się córka. Walczył z dużymi trudnościami finansowymi. Nie mógł liczyć na rządową posadę, bo znano go jako komunistę. Utrzymywał się z dorywczych prac literackich. Od czasu do czasu ogłaszał wstrzemięźliwe artykuły o literaturze w lewicowych pismach. Czekał swojej godziny.

Godzina ta wkrótce nadeszła. Hitler zaatakował Polskę i pochód jego armii był błyskawiczny. Ze wschodu ruszyła mu na spotkanie Armia Czerwona i zajęła, opierając się na

układzie Mołotow-Ribbentrop, te tereny, które program Partii zawsze otwarcie proklamował jako godne włączenia do Związku. Obraz tego, czym w te dni był kraj, da się porównać tylko z obrazem pożaru w mrowisku. Drogami ciągnęły tysiące ludzi głodnych i przerażonych: żołnierze z rozbitej armii wracający do domów, policja starająca się pozbyć swoich mundurów, kobiety szukające mężów, hordy mężczyzn, dla których nie starczyło broni. Był to czas powszechnej wędrówki. Masy ludzkie uciekały ze wschodu na zachód pod okupację niemiecką. Takie same masy ciągnęły z zachodu na wschód uciekając przed Niemcami. Koniec państwa był zaznaczony chaosem, jaki może zdarzyć się bodaj tylko w dwudziestym wieku.

Gamma był zmobilizowany, ale spędził w wojsku tylko kilka dni. Zaraz przysła klęska. Miasto Wilno zostało wspañiałomyślnie ofiarowane przez Związek Radziecki Litwie, która przez rok jeszcze cieszyła się przyjaźnią potężnego sąsiada, zanim nie została przez niego połknięta. Gamma, spragniony czynu, wyemigrował z Wilna i przeniósł się do największego miasta pod okupacją sowiecką, do Lwowa. Tam spotkał się z innymi literatami nastroszonymi prostałinowsko. Zaczęli oni szybko się organizować. Z poparciem nowych władz uzyskali - jak to należy się pisarzom otoczonym opieką ustroju - dom na mieszkania dla siebie, założyli stołówkę i wystartowali w nowym rodzaju pisania, które zresztą polegało na tłumaczeniu z rosyjskiego i niewybrednej propagandzie. Gamma w tych nowych warunkach szybko zyskał zaufanie speców literackich, którzy z ramienia Partii i NKWD przyjechali z Rosji dla "kulturalnej gospodarki" na nowo nabytych terenach. Był zdecydowany. Wielu jego kolegów, chociaż teoretycznie komunistów, przeżywało wewnętrzne rozdarcie. Nieszczęścia ich ojczyzny, zaiste niezmiernie, doprowadzały ich do stanu nerwowego załamania. Dzikość zdobywców i wrogi stosunek do wszystkich Polaków napełniały ich przestachem: po raz pierwszy zetknęli się z nowym groźnym światem, który dotychczas znali tylko z upiększających opisów. Gamma nie okazywał wątpliwości. Pewnym wytłumaczeniem jest dla mnie jego głos i rodzaj śmiechu; jest to śmiech nieprzyjemny, oschły. I ten głos, i śmiech mogłyby prowadzić do przypuszczeń, że życie uczuciowe Gammy było zawsze dość prymitywne. Znał gniew, nienawiść, strach, entuzjazm, ale obca mu była uczuciowa refleksja; prawdopodobnie z tym łączyła się słabość jego talentu. Skazany na operacje mózgowe (bo to, co pisał, nie było zasilane przez wewnętrzne źródła) Ignął do doktryny. To, co miał do powiedzenia swoim krzykliwym głosem i skłonnym do uproszczeń piórem, mogło być powiedziane na wiecu i napisane w propagandowej gazecie. Jego konsekwencja płynęła ze skali jego uczuciowych możliwości; mógł być nastroszony tylko na jeden ton. Jego sukcesom (nie były to sukcesy pisarskie, tylko sukcesy literackiej polityki) dopomagała również biegła znajomość rosyjskiego. Ostatecznie był pół-Rosjaninem; łatwiej niż inni znajdował z nowymi władcami porozumienie. Uchodził za jednego z najbardziej pewnych.

Ludność terytoriów, które zostały włączone do Związku, nie czuła się tak dobrze jak nieliczni "pewni". Drżała ze strachu. Już pierwsze areszty kazały się jej spodziewać rzeczy najgorszych. Jej strach był uzasadniony, bo najgorsze rzeczy zdarzyły się wkrótce. Były to masowe deportacje. O świcie do domów i chat stukali agenci NKWD; aresztowanym nie zostawiali wiele czasu na zabranie najpotrzebniejszych rzeczy; doradzali ubrać się ciepło. Z najbliższej stacji zaryglowane bydłące wagony uwoziły więźniów - kobiety, mężczyzn i dzieci - w nieznanym kierunku. Tysiąc za tysiącem odpływał na wschód. Wkrótce były to dziesiątki tysięcy, wreszcie setki tysięcy. Po wielu tygodniach albo miesiącach podróży transporty ludzkie przybywały do miejsc przeznaczenia; do obozów pracy przymusowej w okolicach polarnych albo do kolchozów w Azji. Wśród wywiezionych znaleźli się również ojciec, matka i kilkunastoletnie siostry Gammy. Ojciec - jak opowiadano - przeklął wyrodnego syna, który pisał na chwałę władców będących przyczyną cierpień jego rodaków; wkrótce umarł gdzieś na obszarach, na których tysiąc mil jest skromnym dystansem. Matka i dziewczęta wiodły ciężkie życie niewolnic. Gamma wygłaszał wtedy na wiecach płomienne przemówienia o wielkim szczęściu, jakim jest żyć i pracować w nowym, najlepszym ustroju, który realizuje marzenia ludzkości. Co wtedy czuł - ktoś to może wiedzieć. Gdyby próbował wystąpić w obronie swojej rodziny, nie przyniosłoby to żadnego skutku, a poza tym Gamma, choć dobrze notowany w NKWD, bał się.

Do komunistów innych narodowości Rosjanie nie odnoszą się z ufnością. Mniej niż jakimkolwiek innym ufają komunistom polskim. Lata 1917-1939 dostarczyły po temu szczególnie wielu przykładów. Liczni polscy działacze komunistyczni, uciekający do Związku w obawie prześladowań, zostali tam oskarżeni o wymaginowane przestępstwa i zlikwidowani. To samo spotkało trzech znanych polskich poetów komunistycznych: Wandurskiego, Standego i Jasińskiego. Imiona ich nie są dzisiaj nigdy wymieniane, ich utwory nie ujrzą ponownego druku. Kiedyś powieść Jasińskiego "Palę Paryż" ukazywała się w odcinkach we francuskiej "L'Humanite" i miał on ten rozgłos międzynarodowy, jakim dzisiaj otoczeni są poeci-staliniści: Nazim Hikmet czy Pablo Neruda. Zginął w jednym z obozów pracy przymusowej w pobliżu kręgu polarnego.

Fala aresztowań na nowo nabytych terenach nie ominęła również małego grona "pewnych". Polskich komunistów podejrzewano o skłonności nacjonalistyczne. Dostrzeżenie, że cierpią oni patrząc na tragedię ich własnego narodu, stanowiło już dostateczny powód do represji. Czystkę w kółku, do którego należał Gamma, NKWD przeprowadziło nagle, któregoś dnia. Jednym z aresztowanych był wybitny poeta B. Gdyby władze komunistyczne we Francji aresztowały Aragona, a władze komunistyczne w Ameryce Howarda Fasta - efekt byłby mniej więcej ten sam, jaki w opinii publicznej spowodowało aresztowanie B. Był on poetą rewolucyjnym. Uwielbiany

przez całą lewicę, zbyt szanowany przez wszystkich, nawet przeciwników politycznych, aby przeszkadzano mu w publikowaniu jego wierszy, miał on w naszym kraju pozycję wyjątkową. Uciekając z Warszawy zajętej przez Niemców, schronił się do strefy sowieckiej.

Gamma po aresztowaniach kolegów dostał ostrego ataku strachu. Nigdy chyba dotychczas w życiu nie był tak przestraszony. Przypuszczał, że to dopiero początek i że w następnej rundzie wszyscy pozostali jeszcze na wolności pisarze znajdą się pod kluczem. Zgorączkowany, z nieprzytomnymi oczami, zaczął obiegać swoich kolegów komunistów i proponować natychmiastowe środki zaradcze. Za najskuteczniejszy środek zaradczy uważał wydanie publicznej odezwy potępiającej aresztowanych - w tej liczbie poetę B. - jako faszystów. Odezwa taka, podpisana przez szereg nazwisk, stanowiłaby dowód ortodoksji. Natknął się jednak na opór. Jego współtowarzysze odnieśli się niechętnie do pomysłu, aby publicznie nazwać aresztowanych przyjaciół faszystami.

Byłby to, ich zdaniem, zbyt drastyczny krok. Bardziej doświadczeni tłumaczyli Gammie, że taki krok byłby wątpliwy politycznie. Mógłby tylko zaszkodzić tym, którzy złożą podpisy, bo motyw tchórzostwa byłby zbyt widoczny. Poza tym trudno było przewidzieć, jak ułożą się wypadki w przyszłości. Wskazana była ostrożność. Odezwa nie została wydana.

Gamma zaczynał wtedy dopiero swoją karierę i nie posiadał jeszcze arkanów skomplikowanej politycznej strategii. Jego odruchy były prymitywne, nie umiał działać chytrym. Miał się tego jeszcze nauczyć.

Hitler uderzył na Rosję i w ciągu kilku dni jego armia doszła do Lwowa. Gamma nie mógł zostać w mieście, był zbyt dobrze znany jako pisarz i mówca komunistyczny. W powszechnym popłochu ewakuujących się urzędów, władz NKWD i uciekającego wojska zdołał ucześcić się pociągu idącego na wschód. W mieście zostawił żonę i córkę. Co prawda współżycie małżonków pozostawiało wiele do życzenia. Żona do nowego porządku odnosiła się niechętnie, jak zresztą wszyscy niemal, którzy mieli okazję tego nowego porządku doświadczyć. Nowej kariery męża nie aprobowała. Rozstali się, a to rozstanie miało się okazać ostateczne. Gamma znalazł się w Rosji. Były to dla niego lata nauki. W Rosji przebywało wtedy wielu Polaków, którzy opuścili swój kraj w zaryglowanych bydłych wagonach. Liczba ich sięgała półtora miliona (wliczając w to internowanych żołnierzy i oficerów polskiej armii). Byli oni uważani przez rząd sowiecki za element wrogi i traktowano ich odpowiednio. Nie wśród nich należało szukać "kadr" nowej Polski, która, stosownie do dalekowzrocznych planów Kremla (nie zaniechanych nawet w czasie niepowodzeń militarnych), powinna być powstać w przyszłości. Wskazane było zacząć od małej grupki "pewnych" - komunistycznych intelektualistów. Polska w rachubach Kremla była krajem

najważniejszym: stanowiła pomost do Europy. Gamma w Rosji spotkał swoich kolegów z uniwersytetu, z którymi razem ongiś zasiadał na ławie oskarżonych.

Oni to, razem z kilkoma innymi, założyli na życzenie Kremla stowarzyszenie, które otrzymało piękną nazwę Związku Patriotów Polskich. Stowarzyszenie to stało się zaczątkiem rządu, który do dzisiaj urzęduje w Warszawie.

Członkowie Związku Patriotów jeszcze przed wojną zgodzili się zapłacić cenę: w imię logiki historii gotowi byli przekreślić niepodległość własnego kraju. Przebywając w Rosji płacili tę cenę w praktyce: nie wolno im było okazać solidarności z nieszczęsnym tłumem deportowanych (deportowano nie tylko byłych właścicieli ziemskich, fabrykantów i urzędników; większość stanowili ludzie ubodzy: chłopci, gajowi, policjanci, drobni kupcy żydowscy). Deportowani byli miazgą ludzką, która się nie liczyła; ich sposób myślenia był naznaczony piętnem przeszłości; ze spadkobiercami Polski szlacheckiej i burżuazyjnej, wspominającymi przedwojenne czasy jak raj utracony, cóż innego można było począć, jeżeli nie trzymać ich w łagrach i w odległych kołchozach? Członkowie Związku Patriotów mogli współczuć im jako ludziom, ale to współczucie nie powinno było wpływać na polityczne decyzje. Tyfus, głód i szkorbut niszczyły zresztą ten materiał ludzki tak skutecznie, że w ciągu niewielu lat problem ich mógł przestać istnieć.

Gamma, którego rodzina była wśród deportowanych, rozumiał, dlaczego wspominali oni przedwojenne czasy jako raj utracony. Ich los, chociaż nie gorszy od losu milionów innych mieszkańców Związku, był ponury, bo nie byli przyzwyczajeni do głodu i złego klimatu. Kiedy polski rząd emigracyjny w Londynie zawarł porozumienie z Moskwą dotyczące tworzenia w Związku polskiej armii i kiedy rząd sowiecki ogłosił dla Polaków amnestię, z obozów pracy przymusowej na północy wylały się masy ludzkie dążące na południe. Były to tłumy obdartych nędzarzy w stanie ostatecznego wycieńczenia; ich trupy zaścierały ulice miast południowo-wschodniej Rosji. Z tych półżywych ludzi tworzono armię. Była to armia zależna od rządu emigracyjnego w Londynie.

Gamma, podobnie jak rządcy rosyjscy, patrzył na tę armię jako na armię klasowego wroga; na równi z Anglikami i Amerykanami był to aliant tylko chwilowy.

Polskie dowództwo poszukiwało oficerów; kilkanaście tysięcy oficerów polskich zostało internowanych przez Związek Radziecki zgodnie z paktem Mołotow-Ribbentrop. Teraz nie można było ich znaleźć. Gamma wiedział, że poszukiwania Polaków londyńskich nie zostaną uwieńczone powodzeniem. Była to sprawa delikatna, nie należało o niej mówić. Zabijanie internowanych członków sił zbrojnych państwa, z którym się nie było w stanie wojny, nie jest na ogół praktykowane przez cywilizowane narody; jednak logika Historii wymaga czasem takich zabiegów. Oficerowie polscy była to "kadra" tej Polski, którą należało całkowicie, zmienić przy

pomocy Związku Radzieckiego: kadra broniąca dawnego ustroju. Większość z nich stanowili oficerowie rezerwy; w życiu cywilnym byli to nauczyciele, prawnicy, lekarze, urzędnicy - a więc inteligencja, której przywiązanie do przeszłości stało na przeszkodzie w przeprowadzeniu narzuconej z zewnątrz rewolucji. Biorąc pod uwagę, że wyniszczeniem tej inteligencji w Polsce zajmowali się skutecznie Niemcy, kadra kilkunastu tysięcy stanowiła liczbę pokaźną i nie całkiem nie usprawiedliwione było użycie drastycznych metod, byle się jej pozbyć. Gamma i inni członkowie Związku Patriotów, dowiadując się o daremnych wysiłkach wysłanników rządu londyńskiego, aby wpaść na ślad internowanych, wymieniali ironiczne spojrzenia.

Jednym z internowanych oficerów był młody profesor uniwersytetu, w którego murach Gamma i ja spędziliśmy najlepsze lata młodości. Profesor ten, o skłonnościach liberalnych, ubolewał, kiedy aresztowano Gammę i jego towarzyszy. Był on jednak autorem kilku prac naukowych, które przedstawiały Związek Radziecki w świetle niekoniecznie korzystnym. Nazwisko jego figurowało w kartotekach. Władze po wielu starannych badaniach wpadły wreszcie na trop. Zdarzyło się to jednak dość późno: depesza żądająca natychmiastowego przewiezienia profesora do więzienia w Moskwie przysłała na stację kolejową, na której wyładowywano właśnie transporty jeńców, aby zabić ich strzałem pistoletu w tył głowy w pobliskich lasach. Profesor nie podzielił ich losu tylko dlatego, że wypadki skomplikowane muszą być - jak nakazuje biurokracja - badane starannie. Po amnestii wy dostał się z Rosji.

W poglądach wielu Polaków, którzy z bliska mogli przyjrzeć się życiu Związku Radzieckiego, zachodziły zmiany. Dawni komuniści po pobycie w więzieniach i obozach pracy przymusowej wstępowali do armii rządu londyńskiego. Jednym z nich był wypuszczony z więzienia po amnestii poeta B. Kiedy armia polska została ewakuowana z Rosji na Bliski Wschód (miała później wziąć udział w walkach w Italii), poeta B. był szczęśliwy, że opuszcza kraj nadziei nie zrealizowanej od trzydziestu lat. Później, po końcu wojny, nie mógł jednak wytrzymać na emigracji. Powrócił do Polski, którą rządili Gamma i jemu podobni. Przebaczył. Dzisiaj każde dziecko w szkole uczy się na pamięć jego "Ody do Stalina".

Pomimo wewnętrznych wahań i chwil rozpacz (nikt nie będzie wiedział o tym) Gamma i jego towarzysze ze Związku Patriotów wytrwali. Grali wielką grę. Ich nadzieje zostały spełnione. Szala zwycięstwa przechyliła się na stronę Rosji. W Związku Radzieckim zaczęła się formować nowa armia polska; ta armia powinna była wkroczyć do Polski razem z Armią Czerwoną i posłużyć za podporę rządu zależnego od Kremla. Gamma był pośród kilku pierwszych organizatorów tej armii. Nie było oficerów; zastąpili ich Rosjanie. Co do żołnierzy, to nie można się było uskarżać na ich brak; znikoma tylko część deportowanych wy dostała się z armią Londynu do Persji. Dla

pozostałych jedyną szansą ocalenia, to jest wyjścia z granic Związku, pozostało dostanie się do nowej armii, nad którą nadzór polityczny sprawowało NKWD i Związek Patriotów.

Przyszło lato 1944 roku, Armia Czerwona, a z nią nowa armia polska, wkroczyła na polskie ziemie. Jakże opłacały się lata cierpień, poniżeń i zręcznej gry! Oto co się nazywa postawić na dobrego konia! Gamma witał z radością rozbite pociskami artylerii miasteczka i chłopskie poletka, które były ulgą dla oczu po monotonnych przestrzeniach rosyjskich kołchozów. Jego dżip niósł go drogami, przy których stały spalone niemieckie czołgi, ku władzy, ku oblekaniu w ciało tego, co dotychczas było tylko dyskusją pełną cytata z Lenina i Stalina. Oto nagroda dla tych, którzy umieli myśleć poprawnie, zgodnie z logiką Historii, którzy nie ulegli bezsensownym sentymentom! Oni nieśli narodowi polskiemu wyzwolenie od Niemców, nie ci łzawi durnie z Londynu. Ten naród musiał być co prawda zoperowany. Gamma czuł podniecenie dobrego chirurga przed wejściem na salę operacyjną.

Był oficerem politycznym w stopniu majora. Z Rosji przywiózł nową żonę, żonę żołnierską. W mundurze, w ciężkich rosyjskich butach, wyglądała na wiek nieokreślony. W rzeczywistości była bardzo młoda. Przeszła jednak w Rosji ciężką poniewierkę. Miała zaledwie kilkanaście lat, kiedy do drzwi mieszkania jej matki w Polsce zapukali o świcie agenci NKWD; ona, jej siostra, brat i matka odbyli przepisową podróż ze środka Europy w głąb Azji; tam zapoznać się musieli z życiem azjatyckich stepów. Lato jest tam upalne jak w krajach tropikalnych; zima tak surowa, że lzy, które od mrozu płyną z oczu, zamieniają się natychmiast w lodowe sople; zdobycie funta chleba uchodzi tam za szczęście; ciężka praca niszczy siły nie podtrzymywane przez dostateczne odżywianie; nadzór policyjny i bezgraniczność przestrzeni azjatyckiego kontynentu odbierają wszelką nadzieję ucieczki. Młoda dziewczyna, córka mieszczańskiej rodziny, nie była przyzwyczajona do ciężkiej fizycznej pracy; musiała się tego nauczyć. Udało się jej po pewnym czasie dostać na kurs traktorzystów. Po jego ukończeniu prowadziła wielkie rosyjskie traktory na stepach Kazachstanu. Jej sympatia do stalinowskiego systemu po tych doświadczeniach była nieduża; można raczej powiedzieć, że była to nienawiść. Dzieliła to uczucie zresztą z prawie wszystkimi żołnierzami polskiej armii złożonej z dawnych deportowanych. Tak, ale znalazła się wreszcie w Polsce i wielka gra, którą prowadził Gamma, była i jej grą.

Armia Czerwona doszła do Wisły. Nowy rząd, noszący jeszcze nazwę Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, zaczął funkcjonować w mieście Lublinie. Przed grupą Związku Patriotów stały wielkie zadania - i trudności. W opanowaniu kraju nie oczekiwano zbyt wielu przeszkód ze strony zachodnich aliantów. Przeszkody były z natury wewnętrznej, płynęły z wrogiego nastawienia tego narodu. Znów rysował się z wielką siłą zadawniony konflikt pomiędzy dwoma rodzajami lojalności. Na terytoriach, przez które teraz szła zwycięska Armia Czerwona,

działały pod okupacją niemiecką duże oddziały partyzantów; była to tak zwana Armia Krajowa podlegająca rządowi emigracyjnemu w Londynie. Teraz te oddziały były rozbrajane przez Armię Czerwoną, żołnierze wcielani do nowej polskiej armii albo aresztowani i wywożeni w głąb Rosji. Gamma z humorem opowiadał, co zdarzyło się w mieście naszej młodości, w Wilnie. Wybuchło tam powstanie przeciwko Niemcom i oddziały Armii Krajowej weszły do miasta równocześnie z Armią Czerwoną. Wtedy dowództwo sowieckie wydało wspaniały bankiet, na który zaprosiło dowódców Armii Krajowej. Była to - jak mówił Gamma - uczta prasłowiańska, która, jak przekazują dawne podania, zwykła była tym się odznaczać, że wśród uścisków przyjaźni, toastów i pieśni truto zaproszonych wujów. W czasie bankietu dowódcy Armii Krajowej zostali aresztowani. Z Lublina Gamma obserwował, jak to samo, tyle że w skali bez porównania większej, działo się w Warszawie. Armia Czerwona stała wtedy na linii Wisły. Miasto było za rzeką. Radio Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego nawoływało ludność stolicy do powstania przeciwko Niemcom. Kiedy jednak powstanie wybuchło, radio, otrzymawszy nowe instrukcje, zaczęło obsypywać sprawców powstania obelżywymi epitetami. Gdyż było to powstanie rywali w walce o władzę. Uczta prasłowiańska w tym wypadku nie byłaby środkiem wystarczającym. Miasto, które było centrum oporu zarówno przeciwko Niemcom, jak Rosji, musiało być zniszczone. Oficerowie Armii Czerwonej oglądali przez lornetki bitwy uliczne za rzeką. Dymy pożarów przesłaniały pole widzenia. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu trwał tam bój i pożary wreszcie zlewały się w ścianę płomieni. Powstańcy z rozbitych oddziałów, ci, którym udało się przepłynąć rzekę, opowiadali nieudolnie zdarzenia w piekle. Słuchał tych opowiadań Gamma i jego towarzysze. Zaiste, cena, jaką należało płacić, jeżeli się chciało pozostać wiernym logice Historii, była straszliwa. Trzeba było patrzeć na tragedię setek tysięcy, brać na swoje sumienie śmierć w męczarniach kobiet i dzieci zmienianych w żywe pochodnie. Kto był winien? Rząd emigracyjny londyński, bo chciał użyć powstania jako atutu w walce o władzę? Kreml, bo nie udzielał pomocy patrząc na wypadki z perspektywy przyszłości, z której niepodległość narodów przedstawia się jako przeżytek burżuazyjnej epoki? Czy nikt?

Pochyleni nad stołem, w mundurach z grubego sukna, intelektualiści komunistyczni słuchali opowieści młodej dziewczyny, jednej z tych, którym udało się przedostać przez rzekę, na brzeg zajęty przez Armię Czerwoną. Jej oczy były obłąkane. Miała wysoką gorączkę. Mówiła: "Nasz oddział został rozbity i przyparty do rzeki. Niektórym udało się dołączyć do innych oddziałów. Z tych, którzy zostali na brzegu, wszyscy byli ranni. O świcie miał nastąpić atak wojsk SS. To znaczyło, że wszyscy zostaną zastrzeleni. Jak powinnam była postąpić? Zostać z moimi rannymi kolegami? Ale nie mogłam im w niczym pomóc. Zdecydowałam się płynąć. Szansę były małe, bo rzeka jest oświetlona przez reflektory. Gniazda niemieckich karabinów maszynowych są wszędzie.

Na łachach pośrodku rzeki widziałam dużo trupów tych, co próbowali przepłynąć; prąd znosi te trupy na piaskowe mielizny. Byłam bardzo słaba. O jedzenie było u nas trudno i byłam chora. Prąd jest bardzo silny. Strzelali do mnie, więc starałam się płynąć jak najwięcej pod wodą.”

Ofiara z Warszawy powinna była być złożona. Po dwóch miesiącach walk Niemcy .byli panami ruin miasta. Armia Czerwona stała na linii Wisły. Intelktualiści komunistyczni mieli zbyt wiele roboty, aby rozpamiętywać nieszczęście miasta. Przede wszystkim puścić w ruch drukarnie. Słowo jest podstawą tego systemu. Panowanie nad umysłami daje podstawę do rządzenia krajem. Gamma był jednym z głównych organizatorów prasy w mieście Lublinie.

W ciągu tych lat stał się lepszym pisarzem, niż był przed wojną. Jego nieduży talent nie mógł istnieć samodzielnie, wymagał podpory doktryny. Socjalistyczny realizm wzmacnia małe talenty i niszczy wielkie. Prymitywizm, którego Gamma przestał już się wstydić, nadawał teraz jego utworom cechy szczeroci. W jego wierszach odezwał się jego własny głos, który kiedyś próbował sztucznie stłumić: krzykliwy i donośny. Napisał szereg poprawnych opowiadań według wzoru, który owocował wtedy w Rosji tysiącami stron prozy. Były to opowiadania o walce z Niemcami i o nazistowskich okrucieństwach.

W styczniu 1945 roku Armia Czerwona rozpoczęła ofensywę, przeszła przez Wisłę, nad którą stały ruiny martwej pozbawionej mieszkańców Warszawy i szybko zbliżała się ku Berlinowi. Gamma również ruszył na zachód. Partia skierowała go do Krakowa, miasta, które po zburzeniu Warszawy przygarnęło największą ilość pisarzy, uczonych i artystów. Tam zastał słodczy dyktatorstwa. Z zakamarków starych domów, można by powiedzieć: spod podłogi, zaczęły się wyrażać dziwnie ubrane stwory - w szczątkach futer, w chłopskich kurtkach ściągniętych pasami, w niezgrabnych buciorach mających sznurki za sznurowadła. Byli wśród nich intelektualiści, którym udało się przeżyć lata niemieckiej okupacji. Dla wielu Gamma był przed wojną tylko początkującym poetą, którego utworom nie uważali za stosowne udzielać żadnej uwagi. Teraz jednak wiedzieli, że Gamma jest wszechmocny. Od jego słowa zależała możliwość druku, posady w redakcjach, mieszkania i zarobki. Zbliżali się do niego z obawą. Ani przed wojną, ani w swojej działalności podziemnej nie byli komunistami. A jednak nowy rząd był faktem. Wiadomo było, że nic nie zapobiegnie takiemu rozwojowi wypadków, jakiego będzie życzyła sobie Moskwa oraz Gamma i jego towarzysze. Wielka jest magia władzy. Gamma z szerokim uśmiechem przyjaźni ścisnął wyciągnięte dłonie i bawił się. Obserwował opornych i tych, którzy starali się nie okazywać, jak bardzo zależy im na pozyskaniu jego względów. Niemało było też takich, którzy zdradzali wszelkie cechy daleko posuniętego służalstwa. Wkrótce Gamma był otoczony dworem potakujących, którzy krzywili się, kiedy się krzywił, wybuchali głośnym śmiechem, kiedy raczył opowiadać dowcipy.

Być może nie umiałby tak szybko stać się postacią popularną, gdyby postępował tak jak dawniej - porywczo i brutalnie. Miał jednak za sobą dobrą szkołę. Lata, które spędził w Rosji, nie były - jak powiedziałem - nawet dla "pewnych" pozbawione cierpień i poniżeń. Obserwując życie w Rosji i spędzając długie godziny na dyskusjach o stalinowskiej taktyce i strategii - Gamma, jak i inni jego koledzy, zyskał należne przygotowanie do czekającej go pracy. Pierwsza i najważniejsza zasada: nie przstraszać; okazywać liberalizm; dawać możliwość zarobku; pomagać; werbować do redakcji i stawiać jedynie minimalne żądania; ludzie są nie przygotowani, ich mentalność jest podobna do mentalności głupców na Zachodzie. Karygodnym błędem byłoby stwarzanie punktów psychicznego oporu. Proces musi być stopniowy, tak aby pacjenci nie spostrzegli, kiedy i jak się zaangażowali. Druga zasada: jeżeli dostrzeże się oburzenie na drastyczność metod rządu, cenzury czy policji politycznej, natychmiast stawać po stronie tych, co się oburzają i samemu udawać najgłębsze oburzenie; rozkładać wtedy ręce i mówić, że trudno jest coś zrobić z idiotami, którzy zajęli odpowiedzialne stanowiska i popełniają karygodne błędy. Trzecia zasada: brać wszystkich, którzy mogą się przydać, niezależnie od ich przeszłości politycznej, z wyjątkiem zdecydowanych faszystów albo tych, którzy wykazali skłonność do kolaboracji z Niemcami.

Wiernie przestrzegając tych zasad Gamma kaptował zwolenników nowemu rządowi; stawali się nimi nie dlatego, że chcieli i niekoniecznie poprzez ich publiczne oświadczenia. Działo się to drogą faktów: rząd położył rękę na wszystkich drukarniach i objął w posiadanie wszystkie większe zakłady wydawnicze; każdy z pisarzy i uczonych miał wiele rękopisów z czasów wojny, kiedy domy wydawnicze były nieczynne; każdy chciał publikować. Z chwilą kiedy jego nazwisko ukazywało się na łamach pism kontrolowanych przez rząd albo jego książkę wydawała kontrolowana przez rząd firma - nie mógł twierdzić, że do nowych władców odnosi się wrogo. Po pewnym czasie udzielono koncesji kilku pismom katolickim i pewnej liczbie małych prywatnych firm wydawniczych; dbano jednak, aby zachowały one możliwie parafialny charakter i dzięki temu nie stanowiły pokusy dla lepszych autorów.

Nie żądać zbyt wiele: od nikogo nie żądano. W miastach powiewały narodowe flagi, aresztowania członków Armii Krajowej odbywały się po cichu. Starano się o danie należnego ujścia narodowym uczuciom. Hasłem była wolność i demokracja. Zgodnie z taktyką wypróbowaną przez Lenina ogłoszono podział majątków ziemskich pomiędzy chłopów; brali, pracowicie odmierzali nowe działki, które wzbogacały ich małe gospodarstwa; nie było wtedy oczywiście mowy o kolchozach; te, jak wiedział Gamma i towarzysze, przewidziane były na później, "w następnym etapie". Wtedy jeśli ktokolwiek ośmielał się mówić o kolchozach, był karany jako wróg ludu rzucający oszczerstwa na rząd i próbujący w ten sposób szerzyć niepokój.

Oczywiście właściciele ziemscy, którym skonfiskowano ziemię, nie byli zadowoleni; większość jednak majątków, tak samo jak fabryk i kopalń, znalazła się już w czasie okupacji niemieckiej pod niemieckim zarządem przymusowym i właściciele byli w praktyce z posiadania wyzuci. Nienawiść klasowa chłopów do dworów nie była silna w naszym kraju i wypędzanym właścicielom nie czyniono krzywdy. Masy ludności miast nie czuły szczególnej sympatii do tej feudalnej warstwy i nikt nie przejmował się utratą przez nią jej znaczenia. Nie przejmowali się tym też intelektualiści. Że fabryki i kopalnie przechodzą na własność państwa, wydawało im się na ogół słuszne - należy też zważyć, że działo się to po pięciu i pół latach rządów nazistowskich, które zniweczyły szacunek dla prywatnej własności; słuszna na ogół wydawała im się również radykalna reforma rolna. Interesowało ich co innego: granice swobody słowa. Te były dość szerokie. Jedno było pewne: nie wolno było napisać nic, co by podawało w wątpliwość doskonałość instytucji Związku Radzieckiego. Przestrzegano tego pilnie cenzura. Pochwały nie były jednak, jak później, obowiązkowe. Można było milczeć na ten temat.

Mimo to wszystko ludność całego kraju była ogarnięta jednym uczuciem: potężnej nienawiści. Nienawidzili chłopci dostający ziemię; nienawidzili robotnicy i urzędnicy wstępujący do Partii; nienawidzili członkowie "legalnej" partii socjalistycznej, która otrzymała nominalny udział w rządach; nienawidzili pisarze zabiegający o wydanie ich rękopisów. Ten rząd nie był własny: istnienie swoje zawdzięczał bagnatom obcej armii. Łoże małżeńskie na zaślubiny rządu z narodem było przybrane w narodowe godła i flagi, ale spod łóżka wystawały buty enkawudzisty.

Nienawidzili również ci, którzy łasili się do Gammy. Wiedział to i było to dla niego źródłem niepoślednich przyjemności. Uderzał w czułe punkty i obserwował reakcje. Przerazenie i furia, które pojawiły się na twarzach rozmówców, ustępowały natychmiast miejsca przymilnemu uśmiechowi: tak, tak być powinno. Miał ich w rękę. Od niego zależały ich posady, jego ołówki mógł wykreślić ze złożonej strony pisma ich wiersze i artykuły; jego opinia mogła sprawić, że ich książki zostałyby odrzucone przez dom wydawniczy. Musieli być grzeczni. Co do niego, to bawiąc się nimi okazywał jak najżywszą przyjaźń; pomagał, pozwalał zarabiać, dbał o ich kariery.

Spotkałem się z Gammą w Krakowie. Wiele lat upłynęło od naszych dyskusji w "mencie"; w czasie jednej z nich wrzuciłem mu do zupy z wyraźnie złośliwą intencją pudełko zapalek; ponieważ był skłonny do napadów wściekłości, doszło wtedy do bokserskiego pojedynku. W ciągu tych lat uzupełniałem studia w Paryżu, później mieszkałem w Warszawie. Z naszego uniwersyteckiego miasta wyemigrowałem, bo na życzenie miejscowej administracji wyrzucono mnie z pracy; podejrzany byłem o sympatie komunistyczne (zdaje się, że dla wszelkich policji na świecie rozróżnienie pomiędzy lewicą stalinowską i antystalinowską przedstawia niepokonane trudności) i o zbyt życzliwy stosunek do Litwinów i Białorusinów (słusznie). Teraz byłem

uchodzącą ze spalonej Warszawy. Mój majątek składał się z robotniczego ubrania, które miałem na sobie, i z parcianego worka na plecach, w którym wyniosłem swoje rękopisy, przybory do golenia i groszowe wydanie "Żebrackiej opery" Gaya. Z punktu widzenia interesów Związku Radzieckiego nie zasłużyłem się niczym w ciągu lat wojny; przeciwnie, miałem pewne grzeszki na sumieniu. Byłem jednak teraz potrzebny i użyteczny; moje pióro przedstawiało wartość dla nowego ustroju.

Spotkanie z Gammą było niemal czułe. Dwa psy, dość sztywne, ale uprzejme. Pilnowaliśmy się, żeby nie pokazywać sobie zębów. Gamma pamiętał naszą dawną rywalizację literacką, która przyczyniła mu zmartwień; pamiętał również mój list otwarty przeciwko stalinistom, który stawiał mnie mniej więcej na pozycji dzisiejszych zachodnich dysydentów. Do dawnych jednak kolegów uniwersyteckich odnosił się z sentymentem. Tego sentymentu ja również nie byłem pozbawiony. To pomogło przełamać pierwsze lody. Tak zaczęła się między nami gra, która miała trwać długo.

Nie była to tylko gra między mną i Gammą. Grę tę prowadziliśmy my wszyscy, to jest intelektualiści, którzy przeżyli wojnę pod nazistowską okupacją, z grupą, która przybyła ze Wschodu. Podział był wyraźny. Znacznie ważniejsze sprawy niż tylko rywalizacja osobista były tu zaangażowane. Po doświadczeniach wojny nikt z nas - nawet dawni nacjonaści - nie wątpił o konieczności reform; nasz naród powinien być się zmienić w naród robotników i chłopów - i to było dobre; uczony, pisarz, artysta przestawał być osobnikiem zawieszonym w pustce, zyskiwał kontakt z masą, otwierały się przed nim nieograniczone możliwości. A jednak chłop, który dostawał ziemię, nie był zadowolony. Bał się. Robotnik, mimo że z wielkim samozaparciem pracował nad uruchomieniem fabryk, nie miał bynajmniej poczucia, że fabryki należą do niego, mimo że tak zapewniała propaganda. Intelektualista rozpoczynał marsz na linie, balansując z trudem nad pułapkami cenzury. Drobni przedsiębiorcy i kupcy czuli strach warstwy skazanej na zniszczenie we właściwym terminie. Była to dziwna rewolucja nie mająca w sobie cienia rewolucyjnej dynamiki, robiona przy pomocy dekretów z góry. Intelektualiści, którzy spędzili wojnę w kraju, byli szczególnie wrażliwi na powszechne nastroje. Dla Gammy i towarzyszy te nastroje dawały się zamknąć w formułce "przeżytków świadomości burżuazyjnej", jednak formułka ta nie obejmowała prawdy. Masy tego narodu czuły, że nic nie zależy od nich i nic nie będzie zależało. Wszelka dyskusja miała odtąd służyć tylko jednemu celowi: usprawiedliwianiu decyzji odległego Centrum. Opierać się? Ale w systemie, w którym wszystko przechodzi stopniowo na własność państwa, sabotaż godzi w interesy całej ludności. Tylko opór myśli był możliwy. Intelektualiści (a przynajmniej ich większość) czuli, że mają poważny obowiązek. Publikując artykuły i książki dawali rybakowi - to jest grupie wschodniej - satysfakcję. Ryba schwyciła przynętę. Jak wiadomo, kiedy ryba chwyci przynętę, należy popuścić linkę. Linka została popuszczona i do chwili kiedy rybak postanowił rybę wyciągnąć, zaszły w naszym kraju

pewne korzystne procesy kulturalne, które nie były możliwe na przykład we włączonych bezpośrednio do Związku krajach bałtyckich. Pozostawało obliczać, jak długo może potrwać ten stan rzeczy. Mogło to być równie dobrze pięć, jak dziesięć czy piętnaście lat. Była to jedynie możliwa gra. Zachód nie liczył się. Tym mniej liczyła się polityczna emigracja.

Gra pomiędzy mną i Gammą miała oprócz tych cech ogólnych zabarwienie osobiste. Gamma nie był wolny od poczucia winy, które sięgało wstecz do jego dzieciństwa. Szczególna troska, jaką okazywał członkom naszej dawnej grupy, płynęła zarówno ze wspólnych wspomnień młodości, jak z chęci, aby ci, którzy nie zostali stalinistami, zostali teraz nawróceni: w ten sposób jego czyny zyskałyby pełne usprawiedliwienie. Trudność polegała na tym, że Gamma był pesymistą, a nawracani nimi nie byli. Pozory ocen krytycznych stosowanych do jakiegoś pisarza są często mylne. Gamma, jako pisarz wierny centrum, okazywał urzędowy optymizm. W istocie po latach spędzonych w Rosji był przekonany, że Historia jest wyłączną domeną diabła i kto służy Historii, podpisuje diabelski cyrograf. Wiedział zbyt wiele, aby się łudzić.

Gra nasza nie toczyła się tylko w Polsce. Nie bez wpływu Gammy Jerzy, który stał się poetą katolickim, został wysłany jako attache kulturalny do Francji, ja jako atache kulturalny - do Stanów Zjednoczonych. Pobyt za granicą dawał znaczne korzyści: publikowałem bezcenne poematy i artykuły, w których czaiły się zniewagi dla Metody. Kiedy spostrzegłem, że struna jest zbyt napięta, posyłałem coś, co mogło świadczyć, że dojrzewam do nawrócenia. Gamma pisał do mnie serdeczne i kłamliwe listy. Obaj popełnialiśmy błędy. Gamma wiedział, że ryzyko mojej ucieczki jest nieduże: bardziej niż ktokolwiek inny byłem związany z moim krajem; byłem poetą, mogłem pisać tylko w moim rodzinnym języku i tylko w Polsce była publiczność, złożona przeważnie z młodzieży, z którą mogłem uzyskać porozumienie. Wiedział też, że boję się zostać emigrantem i skazywać się na jałowość i pustkę, które są cechą każdego wygnania. Przeceniał jednak moje przywiązanie do literackiej kariery. Ja wiedziałem, że jego listy są fałszywe. Trudno jednak wyrzec się myśli, że w objawach czyjegoś uczucia nie kryje się odrobina prawdziwej przyjaźni. Sądziłem też, że jest dostatecznie inteligentny, aby nie oczekiwać ode mnie nawrócenia. Nadeszła chwila, kiedy postanowił użyć swego sztyletu. Stało się to w Warszawie. Cios był silny, ale chybił, czego dowodem jest, że mogę napisać ten portret.

Wyjazd Gammy za granicę nastąpił w chwili, kiedy po opanowaniu pierwszego bezładu przez nowych rządców przewidywać można było dłuższy okres względnej stabilizacji; wyeliminowanie partii chłopskiej, pochłonięcie socjalistów - te rozgrywki na najbliższą przyszłość nie przedstawiały się zbyt poważnie i wynik ich był z góry przesądzony, na ogół miał to być okres NEP-u; w życiu kulturalnym wskazany był liberalizm. Gamma uważał, że po napięciu nerwowym ostatnich lat należy mu się nieco spokoju, objął więc jedną z dyplomatycznych placówek.

Nową żonę posłał na wychowanie do pewnej instytucji pedagogicznej w Szwajcarii, aby nauczyła się tam języków i poprawnych manier. Wkrótce z żołnierki w niezgrabnych rosyjskich butach przekształciła się w laleczkę o utlenionych włosach i długich malowanych rzęsach. Była tres chic. Ubierała się w najlepsze paryskie suknie. Gamma zażywając spokoju poświęcał wiele czasu pisaniu. Napisał długą powieść; tematem jej był proces grupy młodych stalinistów w naszym mieście uniwersyteckim, proces, w którym sam był jednym z oskarżonych. Politycznie powieść jego była bez zarzutu; wydano ją spieszenie i recenzenci nie żałowali pochwał; co prawda te pochwały nie były tak gorące, jak można by było oczekiwać: w naszym kraju styl prozy nie uległ jeszcze wtedy procesowi niezbędnej sterylizacji; natomiast powieść Gammy nosiła wszelkie cechy tego ideologicznego ćwiczenia, które w Rosji nosi nazwę powieści. Miasto Wilno, gdzie działa się akcja, było w czasach naszej młodości miejscem niezwykle malowniczym - nie tylko ze względu na otaczające je lasy i pagórki czy swoją architekturę, również ze względu na wielość współistniejących tam kultur i języków. Nic z tej malowniczości nie przedostało się w prozę Gammy. Znakomicie bezbarwna, pozbawiona daru ewokacji rzeczy zmysłowych, służyła wyłącznie jako narzędzie relacji o zdarzeniach i ludziach. Ze zdarzeniami i ludźmi nie było jednak o wiele lepiej. Rozpoznając bez trudu rzeczywiste osoby w bohaterach powieści mogłem stwierdzić, że Gamma nie był w przedstawieniu postaci dokładny. Wyobraźnia powieściopisarza często przekształca ludzi, których miał on możliwość obserwować: zgęszcza barwy, wyłania spośród wielu cech psychicznych te, które są dla bohaterów najbardziej charakterystyczne; kiedy pisarz chce wiernie przedstawić to, co jest rzeczywiste, przekonuje się nieraz, że niewierność bywa największą wiernością: świat jest niewyczerpany w swoim bogactwie i im większy jest wysiłek, aby nic nie uronić z prawdy, tym więcej odkrywa się dziwów wymykających się pióru. Niedokładność Gammy była innego rodzaju. Tworzył, jak nakazywała Metoda, abstrakcyjne typy działaczy politycznych. W te gotowe formy wtlaczał żywych ludzi; jeżeli się nie mieścili, obcinał im bez żenady głowę albo nogi. Główne postacie - a byli nimi Stefan i Henryk - były zredukowane do ich udziału w politycznej akcji. A przecież znając ich dobrze wiem, jak bardzo skomplikowaną osobowością odznaczał się ci ludzie. Henryk, który znalazł śmierć przed niemieckim plutonem egzekucyjnym, był człowiekiem nieszczęśliwym, wewnętrznie rozdartym; był on najbardziej jaskrawym przykładem tragedii polskiego komunisty, szarpiącego się między dwiema lojalnościami. Stefan, który po powrocie z Moskwy stał się jednym z dyktatorów państwowej ekonomiki, stanowił zawsze dla mnie nie mniejszą zagadkę. Ciężki, ponury mężczyzna, o typie sowieckiego urzędnika, zmienił się najzupełniej od tego dawnego czasu, gdy wahał się, czy wybrać stalinizm. Znałem go, kiedy pisał wiersze i bystre literackie rozprawy. Wtedy był to młody Faust - upojony pięknem świata, ironiczny, błyskotliwy i drapieżny. Powieść Gammy nosiła tytuł

“Rzeczywistość”, ale niewiele w niej było z rzeczywistości. Był to raczej pamflet na Polskę przedwojenną, choć próbę, aby zdemonizować ówczesną dość niemrawą policję i ówczesnych ospałych sędziów, trudno byłoby uważać za udaną.

Po napisaniu tej książki o latach naszej młodości Gamma zaczął się nieco nudzić za granicą. Podróżował. Zwiedzał szereg krajów europejskich, pojechał do Afryki. Dawniej, w czasach naszych dyskusji w “mensie”, marzyliśmy o podróżach. Nasze wątpliwości, czy uda się nam kiedyś te marzenia zrealizować, okazały się zbyteczne: dane nam było zaznać aż nadto tego gatunku rozrywki. Przyjemności, jakie Gamma czerpał z podróży, nie były zresztą wyrafinowane. Dla zabytków architektury i sztuki miał niewiele ciekawości, podglądanie szczegółów życia ludzkiego w różnych cywilizacjach nie pasjonowało go nadmiernie: gdyby było inaczej, byłby innym i lepszym pisarzem. Podróże dla niego były interesującym zabijaniem czasu, nasycaly też ambicję dawnego prowincjonała.

Poza podróżowaniem główną przyjemność czerpał z gry, jaką uprawiał z cudzoziemcami. Ich przekonanie, że Gamma jest w gruncie rzeczy “liberalny”, nie było zbyt dalekie od prawdy: jego gwałtowność, z jaką oburzał się na niektóre zbyt brutalne metody stalinizmu, nie dałaby się zakwalifikować jako całkowity fałsz; Gamma uważał siebie za sługę diabła, ale diabła rządzącego Historią nie kochał. Oburzając się popuszczał sobie cugli, wiedział, że jest to użyteczne jako chwyt, bo wyrabia mu dobrą opinię. Równocześnie śledził reakcję rozmówców, śmiejąc się wewnątrz z ich prostoduszności.

Obowiązki dyplomatyczne, przyjęcia, polityczne tresowanie personelu. W wieczory wolne od zajęć Gamma urządza! partie brydża. Był zaciekłym i dobrym brydżystą. Mawiał, że jest zbyt zmęczony pracą, aby móc robić coś innego niż grać w karty. Skarżył się, że dyplomacja uniemożliwia mu pisanie. Naprawdę było inaczej. Gamma osiągnął w młodym wieku szczyty kariery; gdyby zechciał, mógłby zostać ministrem - w kraju, w którym stanowisko ministra uchodzi za podrzędne, bo ponad ministrami stoi Komitet Centralny Partii. Gamma był członkiem Centralnego Komitetu. Co dalej? Ten punkt zatrzymania i obrachunku w pięknej, zachodniej stolicy nie dawał nic prócz czczości. “Qu'a tu fait, toi que voila, de ta jeunesse?” - mówi wiersz francuski, który jest jak wołanie echa. Co zrobił ze swojej młodości? Gdzież było coś, co mógłby uznać za własne, a nie za twór determinizmu Historii? Zbliżał się do czterdziestki i zdolny był patrzeć jasno. Wracało dawne poczucie literackiej porażki. Czuł się pusty jak sito, przez które wieje wiatr. Ten wiatr historycznej konieczności odbierał sens literaturze: jeszcze jedno zręczne ideologiczne równanie, jeszcze ileś tam stron poprawnej prozy. Po co, jeżeli z góry wiadomo, co ma być tam powiedziane, jeżeli określa to linia Partii. W blasku świec migotały złocenia ścian i wielkie osiemnastowieczne lustra. Gamma grał w brydża nie dlatego, że był zmęczony, ale dlatego,

że uwalniało go to od znalezienia się sam na sam z ćwiartką nie zapisanego papieru. I dyplomacji, i kart używał jako wybiegu przed samym sobą.

Przyzwyczał się do tego trybu życia. Partia nie lubi jednak takich przyzwyczajęń do wygody. W Polsce zachodziły zmiany. Kurs stał się ostry. Od pisarzy zażądano wreszcie ścisłej ortodoksji. Gamma był potrzebny na miejscu. Z żalem opuszczał osiemnastowieczny pałac i piękną stolicę. Znał dobrze świat Wschodu, do którego wracał: czekały go zażarte walki, intrygi, strach tych, co są na szczytach, przed gniewnym zmarszczeniem brwi Moskwy. Nic nie mogła pomóc rozpacz. Musiał jechać. Stanowisko, jakie otrzymał, było wyższe rangą niż stanowisko ambasadora w zachodniej stolicy. Gamma został - tym razem już oficjalnie - politycznym nadzorcą wszystkich pisarzy, dyrektorem sumień. Do jego funkcji należało przestrzeganie, aby literatura rozwijała się zgodnie z linią. Rząd właśnie ofiarował Związkowi Literatów Polskich nowy, świeżo wykończony dom w Warszawie. Mieściła się w nim wielka, nowocześnie urządzona sala zebrań z rzędami krzesel wznoszącymi się amfiteatralnie; sale konferencyjne; biura; mieszkania dla pisarzy; restauracja. Tam to urzędował Gamma, odbywając liczne konferencje z pisarzami, z wydawcami, z policją bezpieczeństwa i z przedstawicielami związków pokrewnych.

Mieszkanie dostał w innym rządowym domu zamieszkałym przez wyższych dygnitarzy. Dostęp do tego domu jest możliwy po uprzednim porozumieniu telefonicznym, ale numery telefonów nie figurują w książce telefonicznej i są udzielane tylko zaufanym. Policja bezpieczeństwa przy wejściu telefonuje na górę i sprawdza, czy rzeczywiście spotkanie było umówione, po czym odbiera dokumenty osobiste gościa i pozwala mu przeniknąć do wnętrza.

Gamma nie mylił się przewidując nowy okres intryg i walki, nie z pisarzami oczywiście, bo miał wobec nich stanowisko nadrzędne - choć i wśród pisarzy były osobniki niebezpieczne, górujące nad Gammą obkuciem w materializmie dialektycznym i precyzją rabinicznych umysłów. Prawdziwe walki toczyły się wyżej, w górze partyjnej, do której należał Gamma. Miał wielu wrogów. Bądź co bądź, pomimo długoletniego treningu, ciągle jeszcze wyłaził z niego zapalczywy szlachcic, wpadający w gniew, kiedy ktoś mu się sprzeciwił i wtedy nie umiejący już ukryć, że traktuje ludzi jak służbę na swoim folwarku. To momenty jawnej brutalności (będąc ambasadorem mógł wobec swego personelu pozwalać sobie na nią bezkarnie) przyczyniały mu teraz kłopotu. Poza tym linia w Polsce była już sztywna, jedno słowo szczere (choćby to była szczerość używana do kaptowania zwolenników) mogło pociągnąć za sobą zgubne następstwa. Wkrótce po powrocie Gammie zdarzyła się jedna z największych gaff jego politycznej kariery. Stało się to na wiecu, który się odbył bezpośrednio po wybuchu wojny w Korei. Gamma odpierając "szeptaną propagandę" wykrzyknął zapalczywie: "Tak, zaatakowaliśmy pierwsi, bo jesteśmy silniejsi!" - i wiele trudu trzeba było, aby zatuszować to niefortunne wystąpienie.

Gamma musiał też wziąć się poważnie do pisania. Członkiem Związku Literatów Polskich może być tylko pisarz “aktywny”, to jest taki, którego utwory ukazują się w prasie czy w firmach wydawniczych (ryba, która schwyciła przynętę, została wyciągnięta na brzeg; pisarze musieli już teraz pisać i publikować pod grozą wykluczenia ze Związku i utraty wszelkich przywilejów). Zasada aktywności tym bardziej obowiązywała wyższych funkcjonariuszy.

“On robi tę walkę z imperializmem i propagandę na rzecz pokoju - powiedział ktoś w Warszawie o Gammie - ale marzy o jednym: o wojnie. Bo gdyby wybuchła wojna, to byłyby przemówienia, latanie samolotami, korespondencje z frontu i nie musiałby zasiadać co dzień za biurkiem i męczyć się nad powieścią. Ale na złość jemu będzie pokój i będzie miał w tym swoim wytwornym apartamencie pięć biurek i na każdym zaczęta powieść i co dzień będzie wył z rozpaczy, bo wie, że to, co pisze, to jest drewno.”

Trudno zazdrościć temu człowiekowi wyboru, jakiego dokonał i jego wiedzy uszczkniętej z drzewa wiadomości dobrego i złego. Patrząc na swój kraj wie, że jego mieszkańców czeka coraz większa doza cierpienia. Patrząc na siebie wie, że żadne słowo, które wypowie, nie będzie jego własnym. Jestem kłamcą - myśli o sobie i sądzi, że za jego kłamstwa odpowiedzialny jest determinizm Historii. Czasem nawiedza go jednak myśl, że diabeł, któremu zapisał swoją duszę, został wyposażony w siły przez takich właśnie ludzi jak on sam i determinizm Historii jest tworem ludzkich umysłów.

VII - DELTA - CZYLI TRUBADUR

W Europie Środkowej i Wschodniej słowo "poeta" ma nieco inne znaczenie niż na Zachodzie. Poeta nie jest tam tylko wynalazcą pięknie ułożonych zdań. Tradycja wymaga, aby był "bardem" narodowym, pieśniarzem, którego pieśni mogą pochwylić liczne usta, i aby zajmował się w swoich wierszach tym wszystkim, co stanowi przedmiot publicznego zainteresowania. Co prawda w każdym okresie Historii te obowiązki poety pojmowano inaczej. Zdaje się, że Delta najlepiej czułby się w czasach, kiedy królowie i książęta zapewniali poetom miejsce przy swoim stole w zamian za wzruszanie pieśnią i śmieszenie dowcipem. Nawet strój dawnych epok lepiej zgadzałyby się z jego powierzchownością niż marynarki naszego stulecia, a lutnia w ręku i długie włosy mogłyby dopiero otworzyć obraz stosowny do jego charakteru.

Delta miał ciemną, cygańską cerę, był piegowaty, niewysoki, jego gębę, kiedy się śmiał, wykrzywił sardoniczny grymas, włosy odgarniał w tył z wysokiego czoła. Jego głowa była nieproporcjonalnie duża w stosunku do tułowia, miał w sobie coś z karła i błazna, tak jak go malowali w scenach książęcych uczt dawni malarze. Zdradzał skłonność do ekscentrycznych ubrań, krawaty lubił wiązać na luźny, duży węzeł. Zdarza się często, że ci, którzy zewnętrznymi cechami chcą podkreślić swoją przynależność do artystycznego klanu, są w gruncie rzeczy podrzędnymi artystami. U Delty jednak artystyczna nonszalancja była częścią planu aktorstwa, które praktykował: każdym swoim gestem, intonacją głosu bawił się, jeżeli tak można powiedzieć, ze światem, akcentował różność swego rytmu od rytmu otoczenia. Jego rytm był sugestywny. Delta znakomicie recytował swoje wiersze w wielkich salach pełnych publiczności; był dobrym aktorem, panował nad salą, to znaczy miał tę sztukę wytrzymania słuchaczy aż do chwili największego napięcia i miarkowania słów oraz ich tonu, tak aby to napięcie się nie zmniejszało. Narzucał swój poemat *au ralenti*, robił pauzy między słowami i chociaż mówił, właściwie śpiewał. Był wtedy wcieloną inkantacją rytmiczną, zmieniał się, olbrzymiał.

Nikt nie zna pochodzenia Delty. Przekształcał swoją biografię stosownie do potrzeb chwili. Jego ojcem był raz zakrystian, kiedy indziej restaurator, rodzina to wywodziła się z Czech, to znów miała moskiewskie koneksje. U Delty granice pomiędzy fantazją i prawdą nie istniały.

Swoją znajomość obcych języków pozbiierał nie wiadomo skąd. Trudno byłoby go sobie wyobrazić zasiadającego za stołem ze słownikami i gramatyką. A jednak cytował obficie łacińskich, angielskich, francuskich i niemieckich poetów. Przez pewien niedługi czas studiował na uniwersytecie, gdzie wsławił się tym, że napisał pracę o angielskim poecie siedemnastego wieku, który nigdy nie istniał. Praca podawała obszerną biografię poety i zajmowała się szczegółową

analizą okoliczności, w których powstały poszczególne jego utwory. Szarlatan, mistyfikator - o to czym chciał być wtedy, jak zawsze, Delta, bawiąc się doskonale, kiedy pedantyczny profesor znalazł się w kłopotcie przytłoczony tak oczywistym dowodem erudycji.

Delta był nałogowym alkoholikiem. Alkoholizm (zwykle były to cykle trwające po kilka dni) wprowadzał go w stan halucynacji, który wyrażał się działaniami, jakie nie zdarzają się innym pijakom. Wchodził do biura podróży i żądał szklanki piwa. Jechał dorożką (przed drugą wojną światową ten sposób lokomocji ciągle jeszcze pospolity był w Warszawie), zatrzymywał dorożkę, zdejmował palto, rzucał je na jezdnię i w obliczu zdumionego tłumu sikał flegmatycznie na palto; był to akt najzupełniej irracjonalny, trudno byłoby wyśledzić powody poza skłonnością do ekshibicjonizmu. Do swoich znajomych przychodził i uskarżał się, że trudno mu było znaleźć adres, bo, jak mówił, "jego ludzie", których porozstawiał na ulicach i którzy mieli mu pokazywać drogę, tak się przebrali, że nie mógł ich rozpoznać. Te i tym podobne wybryki świadczyły, że Delta poprzez alkohol zanurzał się w świat opowieści E.T. A. Hoffmana czy Edgara Poe'go. Otoczony był z tego powodu legendą. W kawiarniach literackich lubiono opowiadać najnowsze wariactwa Delty.

Powodem legendy była również jego poezja. Nie była ona podobna do niczego w Europie z pierwszej połowy dwudziestego wieku. Delta nie ulegał wpływom szkół literackich. Czerpał z poezji przeszłości, przebywał w aurze cywilizacji łacińsko-włoskiej, która w naszym kraju zostawiła dość silne ślady. Wzięte stamtąd rekwizyty układał w sposób przypominający jego pijackie fantasmagorie. W jego wierszach występowały pyzate barokowe anioły, czarownicy ulatujący przez okno, porwani nieznaną siłą (w ostatniej chwili ratuje ich od tego losu żona chwytając zębami za ucho), astronomowie wieszczący koniec świata, polowania z sokołami. Wpłatały się w to gramofonowe płyty z muzyką Mozarta i Bacha, bezrobotni sprzedający motylki (dlaczegożby ostatecznie nie mieli sprzedawać motylków?), planety jako panny w niebieskich majtkach, zabawy ludowe na przedmieściach. Jego poezja była tragiczna i komiczna, bezsensowna i pełna sensu równocześnie. Przypominała przez swoją alogiczność i mieszaninę różnych elementów tę poezję nowoczesną, która chętnie uważa się za objaw schyłkowy, ale różniła się od niej w jednym: pomimo dziwacznych zestawień obrazów nie była niezrozumiała. Czytelnik poddawał się jej muzycznemu czarowi, przełykał porcje abstrakcjonizmu, które u innych poetów go tylko drażniły, śmiał się z niespodziewanych wolt autora, jednym słowem - niepostrzeżenie dla siebie wkraczał w wymiar, gdzie obowiązywały inne niż w życiu codziennym prawa.

Delta publikował wiele wierszy humorystycznych, podpisywanych najrozmaitszymi pseudonimami. Jego inwencja w wynajdywaniu tematów zdawała się niewyczerpana. M.in. napisał na przykład cykl zatytułowany "Piosenki naczelnika wydziału grobownictwa". Na tomikach lubił umieszczać spis fikcyjnych swoich dzieł; przypominam sobie taki tytuł: "Wstęp do ludożerstwa -

skrypt z wykładów, wyczerpane”. Ponieważ podobał się czytelnikom, miał wiele propozycji z redakcyj i z radia. Pióro było jedynym źródłem jego utrzymania, potrzebował pieniędzy i nigdy ich nie miał, bo honoraria natychmiast przepijał.

Kiedy był trzeźwy, nikt nie mógłby przypuścić, patrząc na niego, że jest on autorem wierszy, które rozśmieszały publiczność. Małomówny, ponury, patrzył spode łba. Ożywiał się tylko na widok pieniędzy. W targach był nieubłagany. Wymieniał sumę i żadne argumenty nie mogły go skłonić do ustępstw. Co więcej, żądał wypłaty natychmiast, czym doprowadzał redaktorów do ciężkiej walki wewnętrznej: chcieli mieć wiersz Delty, ale dać mu pieniądze znaczyło narazić się na ryzyko, że Delta zacznie swój cykl pijaństwa i zapomni o zobowiązaniu. Niektórzy znajdowali na to sposób: dawali pieniądze i nie opuszczali Delty ani na krok, zanim nie oddał rękopisu. Takie transakcje odbywały się nieraz w kawiarni. Banknot leżał na stoliku pomiędzy partnerami. Delta, po daremnych próbach zmiękczenia przeciwnika, wyjmował pióro, pisał wiersz (który, stosownie do jego nastroju, mógł być znakomity albo słaby) i zgarnawszy banknot szedł pić.

Zdarzało się, że Delta lądował w sanatorium dla alkoholików. Rezultaty kuracji nie były dobre. Opowiadano o zwycięstwach Delty w walce z lekarzami: w jednym z sanatoriów - jak wieść niesła - zwycięstwo jego było tak całkowite, że lekarze i pacjenci, na równi pijani, urządzali na rowerach wyścigi po korytarzach.

Szarlatan, alkoholik. A jednak Delta był wybitnym i - wbrew pozorom - tragicznym poetą. Rozpoczął swoją działalność literacką w latach wielkiego ekonomicznego kryzysu. Bezrobocie, powszechna beznadziejność, rozwój nazizmu w sąsiednich Niemczech - wszystko to wpłynęło na charakter jego twórczości. Delta słusznie był nazywany “królem nonsensu”. Z jego wierszy przebierała groźna wizja - dla tych, co ją umieli spostrzec, nie dając się uwieść zewnętrznym błazeństwom - końca cywilizacji, zbliżającego się “wieku żelaza”, katastrofy. Nic nie miało wtedy racjonalnych podstaw, wszystko zdawało się przegrane na wiele lat przed chwilą, kiedy zostało przegrane w rzeczywistości i Europa pogrążyła się w ciemność i okrucieństwo. Pojęcia i obrazy, których używał Delta, miały konsystencję marzeń sennych, powracały w nich groza i piękno minionych wieków, ale nie mogły stanowić żadnego oparcia, goniły jedne za drugimi z szybkością pośpiesznego pociągu. Madonna, która często pojawiała się w wierszach Delty, nie była madonną pobożnych, tylko stylowym ornamentem. Faszyci i komuniści w wierszach Delty zabijali się wzajemnie z zapalem jak aktorzy w grand guignolu, a Delta wykrzykiwał z kpina: “Rzeczywistości! Święta Mamo! Dla ciebie pająki zabijać to to samo!” I miał rację, kiedy mówił: “Wsparty na Watermanie - Odchodzę w otchłanie - Wiekuistego zwątpienia”.

“Koniec świata” - taki tytuł nosił jego poemat, w którym uczeni i politycy, członkowie rewolucyjnych partii, kochankowie i pijacy, kanarki i koty zostają wreszcie zmieceni przez

katastrofę kosmiczną - ku zadowoleniu poety i aby wypełniła się "marność nad marnościami" Eklezjasty - a wszystko opisane piórem, które się bawi. W innym jego poemacie - "Zabawa ludowa" - są karuzele, pary na trawie, zaśmiecone pustymi butelkami trawniki, huśtawki - i nagle niebo się chmurzy, deszcz zaczyna padać i to pochmurne niebo - w sposób będący tajemnicą kunsztu Delty - kojarzy się ze smutną eklogą Wergiliusza i ze szczekaniem karabinów maszynowych.

Najbardziej niezwykłym poematem Delty był "Bal u Salomona". Dlaczego król Salomon wydał bal? Dlaczego król Salomon żyje w dwudziestym wieku? Może to zresztą nie król Salomon, tylko Salomon po prostu? Dlaczego na salę wkraczają bezrobotni sprzedający motylki? Kto śpiewa pieśni perskie o Gulistanie, ogrodzie róż? Skąd nagle zjawiają się hordy policjantów i zaczynają tańczyć dzikie tańce? Nie warto troszczyć się o podobne pytania. Istnieje szczególna logika snu i tylko taki poeta jak Delta potrafi używać jej swobodnie. "The women come and go talking about Michelangelo" - pisał T.S. Eliot chcąc wyrazić nonsens. U Delty rozmowy toczące się na balu u Salomona są dźwignięte o stopień wyżej - w krainę majaczeń i "wiekuistego zwątpienia".

Tematyka poezji Delty była przygnębiająca. A jednak poezja jego - tu jeszcze jedna z wewnętrznych sprzeczności tego fenomenu - wolna była od smutku i rozpacz. Przeciwnie, biła z niej potężna afirmacja życia. Każdym swoim słowem Delta pochwalał świat taki, jakim go widział: kłębowski absurdalnych zabaw, dążeń, słów i walk. Kochał swoją fantasmagorię. Kochał karuzele, tańczące Cyganki, statki na Wiśle wypełnione tłumem w niedzielne poranki, żonę, do której pisał ody, koty śpiące na parapetach, kwitnące jabłonie. Był zwolennikiem entuzjazmu i radości samych w sobie, czegokolwiek dotknął, zmieniało się w widowisko pełne ruchu, barw i muzyki. Można powiedzieć, że tematy dla Delty były tylko pretekstem. Wysnuwał z siebie nic jak jedwabnik i owijał nią, cokolwiek napotkał na swej drodze. Był zdolny tworzyć pieśni i hymny na każdy temat.

Delta nigdy nie wykazywał skłonności politycznych. Swoje kpiny rozdzielał na równi pomiędzy zwalczające się ugrupowania. Dlatego z pewnym zdumieniem przyjęto nawrócenie się Delty - stało się to bodaj w r. 1937 - na skrajnie prawicowy nacjonalizm. Redaktor wielkiego prawicowego tygodnika długo zabiegał o pozyskanie Delty. Wreszcie mu się to udało i wiersze Delty zaczęły się ukazywać na łamach pisma, które niejako kupiło go na wyłączną własność. Pismo to miało kierunek antysemitki. Jego duży nakład był wynikiem szerzenia się nastrojów nacjonalistycznych w naszym kraju, "ruchu" znajdującego zwolenników szczególnie wśród młodzieży. Podobne "ruchy" pojawiały się wtedy we wszystkich krajach Europy, przykład Włoch i Niemiec był zaraźliwy. Liberalna publiczność z niedowierzeniem przyjmowała nową fazę wybryków Delty: wielbił maszerujące kolumny "falangi", prorokował w wierszach i artykułach

“noc długich noży” - nową noc św. Bartłomieja dla Żydów, liberałów i lewicy. A jednak fakt był oczywisty - takie utwory pojawiały się, były podpisane nazwiskiem Delty i nosiły wszelkie znamiona jego talentu.

Dlaczego Delta tak pisał? Sprawy rasowe były mu najzupełniej obojętne. Miał wielu przyjaciół wśród Żydów i tego samego dnia, kiedy ukazywały się jego rasistowskie wypowiedzi, przychodził do tych przyjaciół (oczywiście bywał wtedy pijany) i padając przed nimi na kolana, oświadczał im swoją miłość i prosił o przebaczenie. Przyczyny jego związku z prawicą trzeba szukać nie w jego politycznych upodobaniach. Delta, bufon i trubadur, nie był pozbawiony profesjonalnych zasad. Swoją profesję poety traktował z szacunkiem - ten szacunek nie rozciągał się jednak na to, o czym pisał i co głosił. Jak i dla kogo - to było ważne. Do ezoterycznych szkół literackich, którymi interesowało się jedynie małe grono smakoszków, odnosił się z pogardą. Poetów, których wiersze były zrozumiałe tylko dla nielicznych intelektualistów, wyśmiewał. Samotne rozmyślanie z piórem w ręku w czterech ścianach pokoju, bez nadziei znalezienia czytelników, nie było dla niego. Lutnia w ręku i tłum wielbicieli - oto czego pragnął, jak pragnęli dawni pieśniarze i poeci. Trudno o lepszy przykład pisarza buntującego się przeciwko izolacji intelektualisty w dwudziestym wieku niż Delta. Tenor, który znalazłby się na bezludnej wyspie, cierpiałby równie jak Delta, gdyby musiał publikować w małych magazynach czytywanych tylko przez snobów. Jego wrogość do Żydów (bo nie był od niej wolny) nie miała wcale tła rasowego: ograniczał ją do Żydów-pisarzy, którzy szczególnie byli skłonni do celebrowania “walorów” i “smaczków” literackich. Był to konflikt Delty z literacką kawiarnią. Z tej kawiarni szukał ucieczki. Poza tym Delta, jak się rzekło, był zwolennikiem entuzjazmu. Tłum maszerował. Tłum wywijał laskami: zdrowie, siła, pierwotność, wielka zabawa ludowa. Gdzie idą moi czytelnicy, tam idę ja, czego chcą moi czytelnicy, to im daję - stwierdzał Delta każdym swoim wierszem. Ponieważ “ruch” nacjonalistyczny zaczynał przybierać masowe rozmiary, Delta chciał kroczyć razem z masą. Z dumą opowiadał o tysiącach młodych ludzi, którzy umieją na pamięć jego wiersze. Duma jego nie była nie usprawiedliwiona: “awangarda”, którą interesowali się tylko nieliczni, nie rozporządzała tak obszerną skalą środków artystycznych jak Delta. Wreszcie zważmy, że Delta potrzebował, aby istnieć, mecenasa - mecenas musiał go zmuszać do pisania, walczyć z jego pijaństwem, jednym słowem - sprawować nad nim kontrolę i opiekę.

Wybuchła wojna. Delta został zmobilizowany. Jego jednostka, w której był szeregowcem, stacjonowała we wschodniej Polsce, na granicy Związku Radzieckiego. Kiedy Armia Czerwona ruszyła na przyjazne spotkanie armii niemieckiej, Delta dostał się do niewoli rosyjskiej. Pewną ilość rozbrojonych żołnierzy polskich Armia Czerwona oddawała Niemcom. W ten sposób Delta stał się niemieckim jeńcem wojennym i został odesłany w głąb Rzeszy do jednego ze stalagów.

Spędził tam pięć i pół roku. Używano go, jak innych jeńców, do różnych robót, przeważnie rolnych - jeńcy wojenni byli wypożyczani niemieckim bauerom. Kwalifikacje Delty do pracy fizycznej były wątpliwe. Trudno nawet wyobrazić sobie człowieka mniej przygotowanego do trybu życia, w którym najważniejszym i niemal nierozwiązalnym problemem było napełnianie sobie żołądka. Jednak przetrwał - dziwaczny błazen dworski w łachmanach, z łopata, recytujący Horacego. Myślę, że pewną pomocą było mu to, że płynnie mówił po niemiecku.

Tymczasem w Warszawie panował terror: smutne były owoce nacjonalistycznej gorączki w Europie. Ci, którzy jeszcze niedawno skłonni byli patrzeć na Niemcy jako na wzór, teraz stali się ściganą zwierzyną, ginęli przed plutonami egzekucyjnymi i w koncentracyjnych obozach. Redaktor prawicowego pisma, który występował jako mecenas Delty, stał się jednym z najbardziej czynnych działaczy podziemia. Był to fanatyk patriotyzmu. Został mi w pamięci tak, jak go widziałem po raz ostatni w kawiarni, która równocześnie była siedzibą jego tajnej grupy i tajnego pisma, które wydawał. Jego chuda żydowska twarz podminowana była zaciekłością (jak wielu antysemitów w naszym kraju był pół-Żydem), oczy paliły się gorączkowo, z zaciśniętych ust wydobywały się słowa wezwań do natychmiastowego działania. Wkrótce potem gestapo wpadło na trop jego organizacji. Cały personel kawiarni - który składał się z najbliższych jego współpracowników - został aresztowany, sam redaktor dłuższy czas przebywał w więzieniu w Warszawie, zanim samochód ciężarowy wypełniony uzbrojonymi po zęby żandarmami nie zabrał go na ostatnią przejażdżkę. Został rozstrzelany w lesie pod Warszawą: piasek, sosny i słowa komendy. Była to zresztą dobrotliwa forma śmierci. Gorzej byłoby, gdyby redaktor podzielił losy trzymilionowej masy żydowskiej w Polsce, do której jako pół-Żyd mógłby być zaliczony. Znalazłby się w getcie, które zostało utworzone w Warszawie w r. 1940 rozkazem władz okupacyjnych. Stamtąd zapewne wysłano by go, jak innych, do komory gazowej.

“Ruch” nacjonalistyczny, maszerujące kolumny, podniecony tłum! Przegrana kampania r. 1939 obróciła to wszystko wniwecz, w gorzkie wspomnienie ludzkiego obłędu. Nazi wprowadzali w życie program antysemitki, ale już nie jako bojkot żydowskich sklepów czy turbowanie żydowskich przekupniów - ani jako literackie spory Delty. O tragedii getta warszawskiego, której byłem naocznym świadkiem, pisać mi trudno. Pisałem o niej wtedy, kiedy się odbywała. Obraz płonącego getta jest zbyt zrośnięty ze wszystkimi przeżyciami mego dojrzałego wieku, abym mógł mówić o tym spokojnie. O jednym tylko chciałbym tu opowiedzieć. Zdarza mi się często, że siedząc na tarasie paryskiej kawiarni czy idąc ulicami wielkiego miasta ulegam szczególnej obsesji. Patrzę na przechodzące kobiety: bujne włosy, podniesione dumnie podbródki, wysmukłe szyje, których linie budzą zachwyt i pożądanie - i wtedy pojawia mi się przed oczami zawsze ta sama dziewczyna żydowska. Miała pewnie ze dwadzieścia lat. Jej ciało było rozrośnięte, wspaniałe,

radosne. Biegła ulicą z podniesionymi rękami, z piersią wysuniętą naprzód; krzyczała rozdzierającym krzykiem: “ Nie! Nie! Nie!” Konieczność umierania była dla niej niepojęta: ta konieczność umierania przychodząca z zewnątrz, nie mająca żadnego współnictwa, żadnego przygotowania w jej ciele, które było stworzone do miłości. Kule pistoletów automatycznych S S dosięgły ją w tym krzyku protestu.

Ta chwila, kiedy kule zanurzają się w ciało, jest chwilą zdumienia organizmu. Trwają przez sekundę życie i śmierć równocześnie, zanim na bruku zostanie krwawy łachman w agonii, który esesman kopnie nogą. Dziewczyna nie była pierwszą i nie była ostatnią spośród milionów ludzkich istnień, których życie zostało przerwane nagle, w fazie rozkwitu żywotnych sił. Jednak upór, z jakim ten obraz powraca - i zawsze wtedy, kiedy sam czuję w sobie upojenie pięknem przebywania wśród ludzi - powoduje pewne rozważania. Jest to chyba sprawa sięgająca do tej samej sfery, do której należą zbiorowe orgie seksualne prymitywnych plemion: sprawa zastępczości przedmiotu pożądania albo poczucia wspólnoty, tożsamości wszystkich kobiet i mężczyzn, której monogamia nie może dać ujścia. Inaczej mówiąc, jest to podstawa miłości do ludzkiego gatunku: ta miłość chyba jest niemożliwa do pojęcia, jeżeli patrząc na tłum roześmianych kobiet nie przywołuje się tej dziewczyny żydowskiej jako jednej z nich, jako tożsamej i wciąż obecnej. Jednym z najpiękniejszych wierszy Delty, napisanych o jego pobycie w Niemczech, jest wiersz na śmierć młodej wenejanki aresztowanej i deportowanej do Rzeszy. I jest to wiersz erotyczny: wenejanka występuje w nim nie jako indywidualna, ta właśnie dziewczyna, ale jako piękno młodości, jako urok piersi, ramion, rąk, bioder zniszczonych przez śmierć.

Delta w 1945 r., razem z tłumami takich jak on niewolników, witał oddziały brytyjskie. Na terenie, gdzie przebywał, działały również jednostki polskiej armii Londynu: spotkanie, pijaństwo, pieśni. Wyszuszywszy tamtejsze źródła pieniędzy i alkoholu, Delta wyruszył do Francji. Był to okres powszechnej wędrówki - znów jak ongiś w Polsce 1939 roku. Cała Europa była w podróży, miliony przymusowych robotników, więźniów i jeńców wracały do swoich krajów, inne miliony uciekały czy były wyrzucane ze swojej rodzinnej ziemi. Delta wszędzie spotykał wielką liczbę Polaków. Pisał wiersze patriotyczne i antyrosyjskie, które dobrze trafiały w powszechne namiętności. Od przeróżnych komitetów emigracyjnych wyduszał pieniądze. Jego przedwojenni wielbicielcy cieszyli się, że przeżył i starali się zrobić dla niego, co było można.

Stopniowo jednak pobyt w Paryżu i Brukseli przestawał mu się podobać. Możliwości druku były nieduże, publiczność rozproszona po różnych krajach, coraz mniej też było pieniędzy. Delta czuł, że zmienia się w zwyczajnego ubogiego uchodźcę, na którego bufonady - i w zachowaniu się, i wierszach - nikt już nie zwraca uwagi. Ponura, gorzka emigracja, pustka i smak klęski. Gdzież była masa ludzka, w kontakcie z którą można odzyskać entuzjazm marszu? Masa ta była w

rodzinnym kraju. Tam też była żona Delty, która przetrwała pięć i pół lat niemieckiej okupacji pracując jako kelnerka w warszawskich lokalach. Czytając pisma przychodzące z Polski Delta przekonywał się, że kurs był tam liberalny i że tam dopiero otwierało się dla niego pole działania. Wysłannicy rządu w Warszawie zapewniali go, że zostanie dobrze przyjęty i że nie będzie mu się pamiętać jego przedwojennych prawicowych błędów.

Powrót jego do Polski odbył się z towarzyszeniem wszelkich przepisowych skandali: Delta od portu (przyjechał statkiem) był w stanie alkoholicznej i patriotycznej euforii; wysyłał z każdej stacji kolejowej depesze do żony. Kiedy wreszcie zjawił się w Krakowie (dokąd żona przedostała się po zniszczeniu Warszawy) w towarzystwie przyjaciółki, którą przywiózł z Brukseli, żona natychmiast zastosowała ostre represje i przyjaciółkę wyrzuciła za drzwi. Żona Delty była drobna, szczupła i czarnowłosa, miała orientalny typ urody: z lekka garbaty, wydatny nos, czarne oczy; lubiła nosić na pięknych rękach błyszczące bransolety. Pochodziła z rodziny gruzińskich emigrantów; wyglądała jak kaukaska Madonna. Była bierna i samicza, ale nie pozbawiona zmysłu do interesów i daru trzymania męża w ręku.

Powrót Delty był wygodny dla tych, którzy rządili literaturą - i propagandą. Należało w tym okresie wykorzystać uczucia patriotyczne, a nawet podniecać szowizm; była to silna karta do wygrania: wyzwolenie, "suwerenność", flagi narodowe, nienawiść do Niemców. Delta był poetą popularnym, znanym jako zwolennik prawicy - to zwiększało jego walor. Taki poeta dla rządowych pism stanowił znacznie lepszy nabytek niż wielu zbyt gorliwych lewicowców.

Delta zawsze potrzebował mecenasa. Teraz znalazł wreszcie mecenasa naprawdę hojnego: państwo. Cokolwiek teraz napisał, przynosiło mu obfite dochody. Jego pióro było zaiste złote: każdy ruch piórem na papierze - Delta pisał wielkimi zdobnymi literami na długich rulonach papieru - przynosił mu większych niż kiedykolwiek dawniej korzyści. Entuzjazm słów, bez którego Delcie trudno było egzystować, również znajdował teraz dobre zastosowanie. Nie było już "falangi" ani podnieconego przeciwko mniejszościom narodowym tłumu. Ale była odbudowa kraju, którą pochwalili wszyscy, i było zaspokojenie pychy narodowej przez uzyskanie terytoriów na Zachodzie, które należały poprzednio do Niemiec. Tych elementów należało użyć w propagandzie, przy ich pomocy zwalczając powszechną nienawiść do narzuconego z zewnątrz rządu. Wiersze Delty były zawsze, z natury, pogodne, niezależnie od tego, co opisywał. To już było dobrze. Napełniał je teraz treścią optymistyczną: obrazami odbudowy i szczęśliwej przyszłości - to było jeszcze lepiej. Ponieważ nie miał żadnego kłopotu z wynajdywaniem dobrze płacących pism, Delta szalał: poematy, wiersze satyryczne, humorystyczne utwory prozą, dialogi wychodziły z jego warsztatu nieprzerwanym potokiem. Jedno z pism stworzyło dla niego stałą rubrykę, w której umieszczał co tydzień "sztuki teatralne": były to krótkie scenki "najmniejszego teatru świata",

któremu nadał nazwę “Zielonej Gęsi”. W żadnym innym języku nie zdarzyło mi się czytać równie czystego absurdu; bohaterami “Zielonej Gęsi” byli ludzie, zwierzęta i przedmioty; czytelnicy, asystując tym cotygodniowym przedstawieniom kabaretu Delty, wstydzili się trochę upodobania, jakie znajdowali w tych dziwactwach, ale pismo kupowali skwapliwie.

Jego działalność stanowiła przedmiot sporów. Ci, którzy chcieli się uważać za “pewnych” i ci, którzy poważnie traktowali swój marksizm, oburzali się: jak można - mówili - pozwalać temu błaznowi na brewerie, których miejsce byłoby raczej w kawiarni egzystencjalistów w Paryżu? Jest to oszalały drobnomieszczanin. Drukować na pierwszych stronach pism jego poematy, pozwalać mu na karierę? Ale każdy pamięta jego przeszłość, kiedy był antysemitą i kiedy swoich kolegów z lewicy straszył “nocą długich noży”! Teraz nikomu nie dzieje się tak wspaniale jak jemu. Czyż to nie jest odrażające?

Doświadczeni członkowie Partii uspokajali podnieconych purytanów, z pobłażliwym uśmiechem odnosząc się do ich naiwności. Delta jest potrzebny i użyteczny - na tym etapie. Ma on wielu zwolenników. Drukując go wszędzie, stwarza się atmosferę patriotyczną - patrzcie, nawet prawica i katolicy są z nami. Zaspokaja się przy tym pragnienia czytelników; nie są oni jeszcze przygotowani do poważnej, rozsądnej literatury. Wszystko to jest grą do czasu. W odpowiedniej chwili ukręci się Delcie łeb.

Kiedy w Polsce nastąpiło przejście od powściągliwego uwielbienia dla Rosji do jawnego bałwochwalstwa, Delta nie dawał się nikomu wyprzedzić. Pisał o bohaterstwie sowieckich żołnierzy, o wdzięczności, jaką dla Rosjan powinien czuć każdy Polak, o Leninie, o komsomolskiej młodzieży. Był jak najbardziej “na linii”. Jako ceniony pisarz otrzymał wizę sowiecką i spędził pewien czas w Moskwie. Przysyłał stamtąd entuzjastyczne korespondencje wierszem i prozą. W jednej z nich stwierdzał, że wszystko w Moskwie jest wspaniałe, ma jej tylko jedno do zarzucenia: jest ona zbyt podobna do Taorminy, bo je się w niej równie dużo pomarańcz jak na Sycylii, a on, Delta, pomarańcz nie lubi.

Korespondencje z Moskwy doprowadziły purytanów do stanu wrzenia. Wiedzieli oni, że Moskwa jest miastem raczej odrażającym i ponurym. Zachwyty Delty nosiły wszelkie cechy wyszukanego szyderstwa. Zdawały się one mówić: “żąda się ode mnie, żebym chwalił, dobrze, będę tak chwalił, że bokiem wam wylezie”. Niełatwo jednak byłoby odgadnąć, jakie były naprawdę jego intencje. Nie należał do ludzi, co do których da się stwierdzić, że kłamią czy też mówią prawdę. Normalne kryteria były wobec niego bezsilne. Poruszał się w innym wymiarze. Można go było porównać do prestidigitatora, który w każdej chwili wyciągnie dowolną ilość królików ze swego cylindra, i to królików dowolnego koloru. Nie troszczył się o zgodność swoich fantazji z rzeczywistością. Cokolwiek pisał, przekształcało się w operę buffo, stała przesada jako środek

artystyczny odbierała tematowi powagę. Ani kpił, ani mówił prawdę: robił sztuczki, uprawiał sztukę dla sztuki.

Delta nigdy nie był "poważny". Jak wiadomo, jest to podstawowe wymaganie socjalistycznego realizmu. Po zjazdach pisarzy, na których czynniki kompetentne proklamowały socjalistyczny realizm jako jedynie dopuszczalną metodę twórczą, zwolennicy powagi rozpoczęli akcję przeciwko Delcie, pewni już teraz, że będą mogli na nim się odegrać. Poddając analizie jego poezję dowodzili, że cały jego stosunek do świata polega na igraniu. Delta kiedyś, przed wojną, napisał "Elegię na śmierć motyla przejechanego przez samochód ciężarowy". Pomimo długiego tytułu elegia składała się z czterech linijek i kończyła się wnioskiem, że taki los słusznie spotkał motyla za jego lekkomyślność. Teraz sam znalazł się pod kołami samochodu. Zaczynała się epoka surowości i precyzji. Delta umiał pisać na każdy temat - o Madonnie, o marszu nacjonalistów, o Leninie i Moskwie. Wystarczyło, że książkę, który go utrzymywał, zażądał od niego usług. Ten zewnętrzny bodziec nie przesądzał jednak bynajmniej o braku spontaniczności w wierszach Delty. Odznaczały się one wielką exuberance - choć, trzeba przyznać, i Madonna, i nacjonalistyczne wiece, i Lenin, i Moskwa stawały się w nich czymś szczególnym i mało rzeczywistym, rodzajem teatru w obłokach. Teraz natomiast wyraźnie postawiono hasło "walki ze spontanicznością procesu twórczego" - co znaczyło, że nie wystarczyło już pisać na wskazane tematy; trzeba było pisać we wskazany sposób.

Delta chciał służyć księciu. Aby istnieć jako poeta, potrzebował dobrotliwego księcia, który bawi się i rozumie, że ani jego rządy, ani nic na niebie i na ziemi nie zasługuje na to, żeby tym się zanadto przejmować, i że pieśń - półpoważna, półdrwiąca - jest ważniejsza. Takich książąt nie ma już od dawna. Książę, w którego mocy był Delta, tolerował go przez pewien czas, nie dlatego bynajmniej, że podobały mu się jego pieśni; pieśń jest tylko środkiem do osiągnięcia celu. Książę zmarszczył brwi gniewnie, kiedy pieśni Delty przestały mu się opłacać. Redakcje otrzymały instrukcje, aby drukować tylko te wiersze Delty, w których wykaże wyraźną poprawę. Purytanie zatarli ręce: nareszcie ukrecono Delcie kark. Mógł próbować jeszcze, ale - wiedzieli to - poprawić się nie umiał. Pozbawione dawniej exuberance jego wiersze nie różniłyby się już niczym od wyciętych dziesiątków podrzędnych poetów.

Wkroczył więc w krainę żywych cieni, których używano do czasu, dopóki były potrzebne. W gospodarce socjalistycznej nic nie powinno ginąć. Ci, którzy spełnili swoją rolę, znajdują dosyć pracy na miarę swoich umiejętności. Delcie zapewniono egzystencję: państwowy dom wydawniczy zamówił u niego tłumaczenie sztuk Szekspira.

W parę lat po tym upadku na Deltę spłynęła znów łaska. Zorganizowano w Warszawie dyskusję nad jego twórczością, gdyż, jak się wyraził jeden z urzędników, taki "gejzer poezji" nie

powinien pozostać nie wykorzystany. Wyrok tego sądu nad przewinami był, jak to łatwo odgadnąć, ustalony z góry. Delta miał wykazać teraz czynnie, czy dojrzał do ostatecznej poprawy. I Delta natychmiast ogłosił kilka gorliwych, "poważnych" poematów. Znowu jest więc na powierzchni - i zapewne, jak poprzednio, znowu tylko do czasu.

VIII. - WRÓG ŁADU - CZŁOWIEK

Ktokolwiek czyta publiczne wypowiedzi Alfya, Bety, Gammy czy Delty, powie: oto wierni. Prawda jest jednak bardziej złożona. Są to ofiary sytuacji historycznej, mniej lub bardziej tego świadome. Świadomość nie pomaga im uwolnić się z więzów. Przeciwnie, ona to właśnie tworzy więzy. Może im ona najwyżej zapewnić rozkosze Ketmanu. Nigdy dotychczas nie zdarzyła się taka niewola przez świadomość jak w dwudziestym wieku. Jeszcze moje pokolenie uczono w szkole, że rozum służy do zdobycia wolności.

W demokracjach ludowych walka toczy się o władzę duchową. Należy doprowadzić człowieka do tego, aby zrozumiał. Kiedy zrozumie, zaakceptuje. Kim są wrogowie nowego ustroju? Są to ci, którzy nie rozumieją. Nie rozumieją albo dlatego, że ich umysł pracuje za słabo, albo dlatego, że pracuje źle.

W każdej ze stolic Europy Środkowej i Wschodniej długo w noc jasno oświetlone są okna w gmachu Centralnego Komitetu. Siedzą tam za biurkami ludzie biegli w pismach Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina.

Niepoślednią część ich pracy stanowi określenie pozycji przeciwnika. W miarę jak sytuacja się zmienia, sztab armii wpina nowe chorągiewki w mapę terenu batalii. Wiadomości z różnych krajów służą z kolei naczelnemu dowództwu w Moskwie przy ustalaniu ogólnej strategii.

Przedmiotem badań są różne grupy ludności. Najmniej ważna jest klasa posiadaczy, którzy zostali wyzuci z mienia przez nacjonalizację fabryk, kopalń i przez reformę rolną. Ich liczba jest nieznaczną, ich sposób myślenia humorystycznie staroświecki. Nie stanowią oni problemu. Skazani są na wymarcie. W razie potrzeby można temu wymarciu dopomóc.

Drobnomieszczactwo - drobni kupcy i rzemieślnicy - nie zasługuje na lekceważenie. Jest to potężna siła, głęboko wszczepiona w masy. Zaledwie zlikwiduje się w jakimś mieście czy dzielnicy prywatne sklepy i prywatne zakłady rzemieślnicze, natychmiast pojawia się handel pokątny, tajne restauracje ukryte za ruchomą ścianą prywatnego mieszkania, szewcy i krawcy, którzy w obawie represji pracują tylko dla znajomych, jednym słowem - to wszystko, co nazywa się przestępstwem spekulacji. Że tak się dzieje, trudno się dziwić. W sklepach państwowych i municypalnych brak jest najniezbędniejszych towarów. Latem można tam kupić zimowe ubrania, zimą letnie, ale najczęściej nie tego co potrzeba wymiaru i w złym gatunku. Kupienie kłębka nici czy igły jest niemałym zagadnieniem, bo jedyny sklep państwowy w miasteczku od roku nie ma ich na składzie. Kiedy chce się dać do zacerowania ubranie, trzeba pogodzić się z myślą, że kooperatywa rzemieślnicza będzie je trzymała pół roku. Ochota na wypicie z przyjaciółmi

przechodzi, kiedy się wie, że w zatłoczonej gospodzie ludowej (“punkt zbiorowego żywienia”) trzeba będzie przysiąść się do stolika, przy którym siedzą nieznajomi i czekać długo, nieraz godzinę, nim zjawi się kelner. Istnieje podaż na prywatne usługi. Żona robotnika jedzie do sąsiedniego miasteczka, zdobywa tam nici i igły, przywozi, sprzedaje: załazek kapitalizmu. Sam robotnik w wolne popołudnie idzie do znajomych, którzy od pół roku na próżno czekają, aż państwowe przedsiębiorstwo przyśle kogoś, kto by naprawił pękniętą rurę w łazience. Dostaje za to trochę pieniędzy, będzie mógł sobie kupić koszulę: odradzanie się kapitalizmu. Robotnik pracuje cały dzień i nie ma czasu, żeby stać w kolejce w państwowym sklepie w dniu, kiedy do sklepu przychodzi nowy transport towarów. Koszulę kupuje od swojej znajomej, która używając dużej zręczności i swojej przyjaźni ze sprzedawczynią kupiła ich trzy. Teraz sprzedaje to z drobnym zyskiem. Jest spekulantką. Pracuje jako sprzątaczką w miejscowym urzędzie. To, co tam zarabia, nie wystarcza jej jednak na utrzymanie trojga małych dzieci, a jej mąż zniknął rok temu zabrany przez policję polityczną z nieznanego powodu. Gdyby nie tępić tych objawów ludzkiej zapobiegliwości, łatwo odgadnąć, do czego by to doprowadziło. Robotnik założyłby warsztat naprawy urządzeń wodociągowych. Jego sąsiad, który sprzedaje pokątnie alkohol ludziom spragnionym intymności, wywiesiłby szyld restauracji. Sprzątaczką zajmowałaby się handlem domokrężnym. Rozszerzaliby powoli swoje przedsiębiorstwa i oto znów drobnomieszczaństwo jako klasa. Może jeszcze wprowadzić wolność prasy i zgromadzeń? Jak grzyby po deszczu wyrastałyby pisma oparte na tej klienteli. I oto drobnomieszczaństwo jako siła polityczna.

Gorzej, że ta sprawa łączy się z kwestią chłopską. Chłopi stanowią większość ludności w kraju. Są to również drobnomieszczenie, przyssani do swoich kilkuhektarowych poletek mocniej niż sklepikarze do swoich sklepików. Jeszcze w połowie dziewiętnastego wieku żyli w poddaństwie. Nie chcą kolektywizacji, uważając ją za powrót do stanu nieznośnego dla ich przodków; czy zrywać się rano na głos gongu dworskiego ekonoma, czy na sygnał urzędnika kołchozu albo sowchozu - jest równie uciążliwe. Głucha nienawiść chłopów doprowadza aparat partyjny do rozdrażnienia. Bardziej nerwowi aktywiści skłaniają się po cichu do ustępstw: uważają, że kolektywizacja powinna być poprzedzona wspólnym używaniem maszyn na poletkach prywatnych i nastąpić może tylko po długim wstępnym okresie wychowawczym, rozłożonym, być może, na dziesiątki lat. Stąd kłopoty; dlatego ciągle tak popularne są szeptane hasła “narodowych komunistów”. Ale Centrum żąda tempa. Proces upodobnienia struktury krajów zależnych od struktury Rosji powinien odbyć się możliwie najszybciej. Trudności wynikają też dla miast. Chłopów dzieli się na “biedniaków”, “średniaków” i “kułaków”, bo tylko wykorzystując wzajemne antagonizmy i łamiąc solidarność wsi można osiągnąć cel. Kryterium zaliczenia do kategorii wiejskich bogaczy nie jest tylko ilość posiadanej ziemi - osądza się “na oko”, według tego, ile kto

ma koni, krów i świń, jak mieszka, jak je, jak się ubiera. Zagrożony zaliczeniem do niewygodnej kategorii porzuca gospodarstwo i ucieka do miasta albo stara się hodować jak najmniej koni, krów i świń i uchodzić za nędzarza; cierpi wskutek tego aprowizacja miast.

Chłopi nie są jednak niebezpieczni. Mogą pobić jakiegoś urzędnika Partii czy zabić go w przystępie rozpaczy, nic więcej. Kiedy państwo jest jedynym nabywcą ich płodów, a na wysokość wymierzanych danin nie mogą mieć wpływu, są bezsilni. Opornym da radę policja bezpieczeństwa, która nie może uskarżać się na brak donosów od czasu, kiedy donos na sąsiada jest jedynym sposobem zabezpieczania siebie. Chłopi są masą bezwładną. Historia zna mało przykładów, żeby poważnie zagrozili rządzącym. Buntury chłopskie prawie zawsze służyły za narzędzie. Przywódcy, najczęściej niechłopskiego pochodzenia, używali ich do swoich celów. Siła chłopów leży tylko w ich liczbie: jest to siłą jedynie wtedy, gdy przychodzi człowiek taki jak Lenin, który tę liczbę rzuca na szalę wypadków. Oczywiście chłopi są zdolni przyczynić zmartwień w chwilach wstrząsów, na przykład wojny. Dopóki istnieje prywatne gospodarstwo chłopskie, stanowi ono naturalną bazę partyzantów. W chacie chłopskiej zaopatrują się w żywność, śpią, opracowują plany działania. Kontrola, jaką zapewnia kołchoz, w którym każdy krok jego członków jest łatwy do śledzenia, jest niezbędna, jeżeli chce się uprzedzić podziemną działalność przeciwnika.

Znacznie ważniejsi od chłopów są robotnicy. Większość z nich jest nastrojona niechętnie. To zrozumiałe: nie podobają się im normy, które muszą wyrabiać; normy te są stale podwyższane. Hasło "solidarności robotniczej" nie oznacza, że można tolerować solidarność załogi w fabryce, solidarność jest łamana dzięki instytucji "przodowników pracy" - zobowiązują się oni wyrabiać normy, którym nie mogą podołać ich koledzy. Dzieje się to pod wpływem dwóch środków: apelowania do ambicji i nacisku aparatu. W umysłach robotników daje się zaobserwować rozdwojenie, ambiwalencja. Z jednej strony doceniają oni korzyści, jakie zapewnia im system. Bezrobocie należy do przeszłości. Przeciwnie, jest stały brak rąk do pracy. Nie tylko głowa rodziny jest zatrudniona, kumulacja zarobków sprawia, że rodzina może odżywiać się (w okresach kiedy sklepy są lepiej zaopatrzone) lepiej niż dawniej. Dzieci robotnika mają łatwą możliwość społecznego awansu, z nich to rekrutują się kadry nowej inteligencji, nimi obsadzany jest aparat. Robotnik (w niektórych gałęziach przemysłu) czuje dumę zawodową, czuje się współgospodarzem fabryki. Ma możliwość kształcenia się na niezliczonych kursach wieczorowych. Latem może uzyskać, jeżeli jest dobrze widziany przez Partię, wyjazd na bezpłatne wakacje do domu wypoczynkowego. Z drugiej jednak strony nie może się bronić przed wyzyskiem pracodawcy, którym jest państwo. Przedstawiciele związku zawodowego (czyli, jak wszystko w państwie, narzędzia Partii) i zarząd fabryki stanowią jeden team, który ma na oku przede wszystkim podwyższenie produkcji. Tłumaczy się robotnikom, że strajk jest przestępstwem: przeciwko komu

mają strajkować? Przeciwno sobie? Przecież środki produkcji należą do nich, państwo należy do nich. Takie tłumaczenie ma jednak niezbyt dużą siłę przekonywającą. Cele państwa nie są identyczne z celami robotników, którym nie wolno powiedzieć głośno, czego w istocie chcą. Państwa Europy Środkowej i Wschodniej produkują, aby podnieść potencjał Imperium i nadrobić zacofanie przemysłowe Rosji. Na plany produkcji robotnicy nie mają żadnego wpływu; nie są one opracowywane stosownie do potrzeb obywateli. Większość wyprodukowanych towarów odpływa na Wschód. Poza tym każdy produkt rąk robotnika jest przedmiotem licznych operacji buchalteryjnych. W fabryce siedzą całe sztaby urzędników, którzy liczą, zapisują, prowadzą statystyki; to samo odbywa się na wszystkich szczeblach państwowej hierarchii - również w państwowych hurtowniach i w państwowych sklepach detalicznych. Jeżeli wreszcie towar dociera do konsumenta, jest on bardzo drogi: wlicza się w jego cenę koszt pensji mas urzędników, przez których ręce przeszedł. W fabryce maszyny są przestarzałe, brak jest niezbędnych części zamiennych, nakazuje się robotnikom, aby remontowali je swoimi domowymi środkami: produkcja przede wszystkim, nawet kosztem zupełnego zużycia maszyn. Dyscyplina pracy jest surowa. Za spóźnienie o kilka minut, za opieszałość w pracy grożą wysokie kary. Nic więc dziwnego, że w umyśle robotnika złe strony systemu przeważają nad dobrymi. Może on jednak mówić tylko "tak". Jeżeli będzie zdradzać objawy niezadowolenia, zaopiekuje się nim policja polityczna, której tajnymi agentami są jego koledzy, a nieraz przyjaciele.

Wybuchające od czasu do czasu dzikie strajki nie są groźne same w sobie, bo po masowych aresztowaniach uczestników spokój szybko zostaje przywrócony. Są one jednak groźne jako objawy, że niezadowolenie doszło do napięcia, które może się wyładować w aktach rozpaczliwych. Strajk wymaga pewnego minimum organizacji, dlatego nic nie budzi u dialektyków partyjnych równego niepokoju. Tylko robotnicy są klasą zdolną do zorganizowanej akcji - ta zasada Marksa nie została zapomniana. Żadna akcja nie jest jednak możliwa bez liderów. Jeżeli liderzy rozumują poprawnie, to jest rozumieją konieczność historycznego procesu, masa robotnicza nie zdobędzie się na żadne protesty.

Wszystko więc sprowadza się do panowania nad umysłami. Nowa i niesłychanie rozrośnięta biurokracja rekrutuje się z młodzieży pochodzenia robotniczego. Należy dać wszelkie możliwości kształcenia się i awansu najbardziej energicznym i ruchliwym jednostkom z robotniczego środowiska. Droga przed nimi jest otwarta. Droga jest otwarta, ale strzeżona: myślenie ich powinno być oparte na niewzruszonych zasadach materializmu dialektycznego. Służą temu: szkoła, prasa, literatura, malarstwo, film i teatr. Trzeba też wspomnieć o znaczeniu pewnej nowej instytucji: czym w średniowieczu była kaplica, tym teraz jest świetlica; istnieje ona w każdej fabryce, w każdej szkole, w każdym biurze; na ścianach wiszą portrety wodzów udekorowane

czerwienią; w niej odbywają się co kilka dni zebrania z przepisowymi referatami. Wpływ tych zebrań jest podobny do wpływu obrzędów kościelnych: mądry Kościół katolicki wiedział, że wiara jest raczej sprawą zbiorowej sugestii niż indywidualnego przekonania. Zbiorowe praktyki religijne wprowadzają w stan wiary niepostrzeżenie; gest rąk złożonych do modlitwy, klękanie, śpiewanie pieśni poprzedzają wiarę - jest ona zjawiskiem psychofizycznym, a nie tylko psychicznym. Edward Gibbon, opisując skutki dekretów Teodozjusza zabraniających obrzędów pogańskich ("The Decline and Fall of the Roman Empire", XXVIII), tak powiada: "Uczucia religijne poety czy filozofa mogą być utrzymane dzięki modlitwie, medytacji i studiom; ale odprawianie publicznych nabożeństw zdaje się być jedyną trwałą podstawą religijnych uczuć ludu, które czerpią swoją siłę z naśladownictwa i przyzwyczajenia. Przerwanie tych publicznych obrzędów może dokonać, w ciągu niewielu lat, ważnego dzieła narodowej rewolucji. Pamięć teologicznych opinii nie może być długo zachowana bez sztucznej pomocy kapłanów, świątyń i ksiązek, niewykształcone masy, których umysły są nadal poruszane przez ślepe nadzieje i przesadne obawy, zostaną szybko przekonane przez swoich zwierzchników, że powinny skierować swoje przywiązanie ku rządzącym bóstwom wieku: przesiąkną one niepostrzeżenie szczerą gorliwością popierając i propagując nową doktrynę, do której przyjęcia zmusi ich z początku głód duchowy."

Ta lekcja z zamierzchłej przeszłości godna jest naśladowania. Ludzie wypełniający świetlicę poddają się pewnemu zbiorowemu rytmowi: myśleć inaczej niż myśli zbiorowość wydaje się absurdem. Zbiorowość składa się z jednostek, które wątpią, ale wypowiadają przepisowe zdania i śpiewają przepisowe pieśni; tak postępując stwarzają zbiorową atmosferę, której same z kolei się poddają. Wpływ świetlicy należy do rzędu zjawisk zbiorowej magii pomimo racjonalistycznych pozorów. To połączenie racjonalizmu doktryny z magią następuje przez wyeliminowanie swobodnej dyskusji, która zresztą traci sens: jeżeli to, co głosi doktryna, jest równie prawdą jak to, że dwa razy dwa równa się cztery, tolerowanie opinii, że dwa razy dwa równa się pięć byłoby wręcz nieprzyzwoite.

Młodociany obywatel od pierwszego dnia pobytu w szkole otrzymuje wykształcenie oparte na tej prawdzie. Szkoła w demokracjach ludowych różni się poważnie od szkoły na Zachodzie, to jest od tej szkoły, do której chodziłem w przedwojennej Polsce. I ja, i moi koledzy byliśmy poddani podwójnemu systemowi wartości. Lekcje matematyki, fizyki i biologii uczyły nas praw naukowych i wpajały szacunek dla materialistycznego światopoglądu odziedziczonego po dziewiętnastym wieku. Nie były poddane tym prawom naukowym historia i historia literatury, nie mówiąc o historii Kościoła katolickiego i apologetyce, które podawały, często w sposób naiwny, w wątpliwość to, czego uczyły fizyka i biologia. W demokracjach ludowych materialistyczny światopogląd dziewiętnastego wieku został konsekwentnie rozciągnięty na wszystkie nauczane przedmioty;

historia i historia wszelkich dziedzin ludzkiej twórczości są przedstawiane jako wynik działania niezłomnych i już odkrytych praw.

W dziewiętnastym wieku, wskutek powstania masowego czytelnictwa, pojawiły się broszury popularyzujące teorie naukowe. Niezależnie od wartości tych teorii należy stwierdzić, że z chwilą kiedy przyjmowały one formę popularną, stawały się czymś innym, niż dopóki należały do dziedziny naukowych dociekań. Na przykład uproszczona i zwulgaryzowana teoria Darwina o pochodzeniu gatunków i walce o byt nie jest tym samym, czym była dla Darwina i spierających się z nim uczonych. Przekształca się ona w ważny element socjologiczny, nabiera emocjonalnego zabarwienia. Liderzy dwudziestego wieku, na przykład Hitler, czerpali swoją wiedzę wyłącznie z popularnych broszurek, co tłumaczy nieprawdopodobny zamęt w ich głowach. Wiedza zwulgaryzowana tym się odznacza, że daje poczucie, iż wszystko jest zrozumiałe i wytłumaczone. Przypomina ona system mostów zbudowanych nad przepaściami. Po tych mostach można iść śmiało naprzód ulegając złudzeniu, że żadnych przepaści nie ma. W przepaści nie wolno zaglądać - co niestety nie zmienia faktu, że istnieją.

Materializm dialektyczny w przeróbce rosyjskiej nie jest niczym innym niż wulgaryzacją wiedzy podniesioną do kwadratu. Niegdyś dla nauki przyrody las przedstawiał się jako zbiorowisko drzew poddanych pewnym nielicznym elementarnym prawom. Wydawało się, że wycinając las i zasiewając na tym miejscu nasiona drzew otrzyma się po upływie określonej liczby lat nowy, podobny do dawnego las, stosownie do ludzkich zamierzeń. Dzisiaj wiadomo, że tak nie jest: las jest organizmem powstającym wskutek złożonych związków wzajemnego oddziaływania mchów, gleby, porostów, drzew i traw. Z chwilą kiedy w wyciętym lesie te mchy i porosty ulegną zniszczeniu, zakłócona jest zasada symbiozy gatunków i nowy las będzie już zupełnie innym organizmem, niż mógłby to przypuszczać ktoś lekceważący socjologię roślin. Stalinistom obca jest wiedza o warunkach, jakich potrzebuje do istnienia roślina ludzka. Nie chcą o tym słyszeć - a tępiąc dociekania w tym kierunku, do jakich byliby zdolni uczeni i pisarze - bo takie dociekania są sprzeczne z ortodoksją - zamykają przed ludzkością możliwość zdobycia wiedzy o sobie samej. Element emocjonalny i dydaktyczny doktryny jest tak silny, że zmienia wszelkie proporcje. Metoda - w założeniu naukowa - zastosowana do dyscyplin humanistycznych polega przeważnie na dowolnym ich przekształcaniu w opowieści budujące, stosownie do potrzeb chwili. Nie ma jednak ucieczki z chwilą, kiedy człowiek wkracza na mosty stanowiące tak znakomite ułatwienia w poruszaniu się. Na skromne uwagi prawdziwych uczonych stwierdzających, że prawa naukowe są hipotetyczne, zależne od wybranej metody i użytych symbolów, nie ma już miejsca. Stulecia ludzkiej historii, wypełnione tysiącami zawiłych spraw, są sprowadzone do kilku najbardziej ogólnych terminów. Niewątpliwie analiza historii dawnej i współczesnej jako wyrazu walki klas

jest bliższa prawdy niż przedstawianie historii jako prywatnych awantur książąt i królów. Dlatego jednak właśnie, że jest bliższa prawdy, jest bardziej niebezpieczna: daje ona złudzenie pełnej wiedzy, dostarcza odpowiedzi na każde pytanie, a te odpowiedzi są w istocie powtarzaniem w kółko kilku formuł i nie wyjaśniają niczego, zapewniając pozorną satysfakcję. Do tego trzeba dodać powiązanie nauk przyrodniczych z humanistycznymi przy pomocy materializmu (na przykład teoria "wiecznej materii"), a spostrzeżemy, że koło jest znakomicie i logicznie zamknięte aż do Stalina jako szczytowego punktu dziejów od początku życia na naszej planecie. Syn robotnika poddany takiemu nauczaniu nie może myśleć inaczej, niż tego wymaga szkoła. Dwa razy dwa równa się cztery. Z pomocą szkole przychodzi prasa i literatura; jest ona ilustracją tego, czego młodzież w szkole się uczy, podobnie jak żywoty świętych i męczenników służyły za ilustrację teologii. Również malarstwo, film i teatr są ilustracją też leninizmu-stalinizmu. Nieścisle byłoby twierdzenie, że nadal nie istnieje podwójność wartości: sprzeciw jest jednak emocjonalny, rzadko może wytrzymać konkurencję tam, gdzie chodzi o racjonalizację odruchów.

Dzięki znakomitemu środkowi wulgaryzacji umysły nie przygotowane, to jest takie, które rozumują zbyt słabo, uczą się rozumować; ludzie tak wytresowani zyskują przekonanie, że to, co się dzieje w demokracjach ludowych, jest konieczne, choćby przejściowo miało być złe. Im więcej ludzi "uczestniczy w kulturze", to jest przechodzi przez szkoły, czyta książki i pisma, uczęszcza do teatrów i na wystawy, tym bardziej zwiększa się zasięg doktryny i tym mniejsze niebezpieczeństwo grozi panowaniu filozofów.

Istnieją jednak ludzie, którzy mając nawet dostateczne wykształcenie rozumują źle. Są oni całkowicie impregnowani na wpływy filozofii wywodzącej się z Hegla. Kury nie da się nauczyć pływać, podobnie nie da się przekonać ludzi obciążonych przynależnością do grup skazanych przez system na zagładę. Jasne uświadomienie sobie sytuacji odbierałoby tym ludziom wszelką nadzieję; oczywiste więc jest, że szukają umysłowych wybiegów. Ci ludzie są wrogami. Powinni być usunięci na margines społeczeństwa nie za to, że rozwijają jakąś działalność: za to, czym są; ich wina ma charakter obiektywny.

Mentalność wrogów jest przedmiotem badań ze strony dialektyków. Bada się reakcjonistę jako typ społeczny - i oto jak się go określa. Rozwińmy całe rozumowanie. Istnieją pewne cechy, po których można go rozpoznać. Reakcjonista, chociażby był człowiekiem wykształconym, nie jest zdolny przyswoić sobie współzależności zjawisk - tego nabytku dwudziestego wieku. Ponieważ operuje izolowanymi konceptami, jego wyobraźnia polityczna jest ograniczona. Człowiek wychowany socjologicznie z każdego zjawiska potrafi natychmiast wyprowadzić ciągi rozumowania - co do przyczyn zjawiska i jego następstw. Postępuje jak paleontolog, który ze skamieliny odgaduje formację, która ją wydała. Pokażcie mu wiersz poety z jakiegoś kraju, obraz,

nawet szczegół ubrania - natychmiast umieści to w kontekście historycznym. Jego ciągi rozumowania mogą być fałszywe; niemniej pojmuje on, że w obrębie pewnej cywilizacji nie ma przypadkowości, rozpatruje wszystko jako objawy. Reakcjonista nie jest do tego zdolny. Świat przedstawia mu się jako szereg zdarzeń równoległych, nie powiązanych ze sobą. Na przykład nazizm - według niego - był tylko wynikiem działalności Hitlera i towarzyszy, ruchy rewolucyjne powstają wskutek machinacji Moskwy itp. Dlatego zmiany, jakie zachodzą w demokracjach ludowych, sprowadzają się - jego zdaniem - do przemocy: jeżeli jakiś cudowny wypadek usunie tę przemoc, wszystko wróci do "normy". Przypomina człowieka, któremu powódź burzliwej rzeki zalała ogród i który spodziewa się, że po jej ustaniu odnajdzie dawne grządki; a przecie woda rozlanej rzeki nie tylko jest: wrywa ona i unosi całe połacie gruntu, obala drzewa, składa pokłady mułu, toczy kamienie - i dawny ogród oznacza już niewiele więcej niż pewną ilość metrów kwadratowych zupełnie zmienionej przestrzeni. Reakcjonista nie ogarnia ruchu. Sam język, jakiego używa, czyni go do tego niezdolnym; pojęcia, wśród których przebywa, są niezmiennie, nie ulegają odnowieniu wskutek obserwacji. Był taki film z Laurelem i Hardym oparty na zabawnym pomysle: Laurel jako żołnierz amerykański w pierwszej wojnie światowej został na rozkaz dowódcy w okopie przy karabinie maszynowym, kiedy kompania ruszyła do ataku. Działo się to akurat przed Armistice. W zamęcie Armistice zapomniano o nim i znaleziono go dwadzieścia lat później; koło okopu wznosiła się góra konserw, którymi się odżywiał; siedział przy karabinie maszynowym i strzelał, kiedy przelatował nad nim samolot linii lotniczej. Reakcjonista zachowuje się jak Laurel: wie, że trzeba strzelać do samolotu i nie może pojąć, że samolot stał się czymś innym niż był wtedy, kiedy padł rozkaz. Reakcjonista, czytając nawet wiele książek o Metodzie dialektycznej, nie rozumie, co stanowi jej istotę: brak mu jakiejś sprężynki w umyśle. Poważne skutki wynikają z tego na przykład w jego ocenie psychologii ludzi. Dialektyk wie, że umysłowe i emocjonalne życie człowieka jest w ciągłym ruchu, że traktowanie jednostek jako charakterów zachowujących niezmiennosc we wszelkich okolicznościach nie ma sensu. Zmieniając warunki życia zmienia się ludzkie wierzenia i odruchy. Reakcjonista ze zdumieniem patrzy na zmiany dokonujące się w ludziach. Obserwując, jak jego znajomi stają się powoli zwolennikami systemu, próbuje to wytłumaczyć w swój niezdolny sposób "oportunizmem", "tchórzostwem", "zdradą"; musi mieć takie etykiety, bez nich czuje się zgubiony. Ponieważ jego rozumowanie jest oparte na zasadzie "albo-albo", próbuje dzielić swoje otoczenie na "komunistów" i "niekomunistów", choć w demokracjach ludowych takie rozróżnianie traci wszelkie podstawy: tam gdzie dialektyka kształtuje życie, ktoś, kto chce stosować dawną logikę, musi się czuć zupełnie wytrącony z równowagi.

Reakcyjniście zdarza się ciągle ta sama przygoda: ma pojęcia i nagle z tych pojęć wycieka wszelka treść, zostają mu puste słowa i frazesy. Jego znajomi, którzy jeszcze przed rokiem powtarzali te słowa i frazesy z upodobaniem, odwracają się od nich jako wyrażnie za ogólnych, zbyt mało określonych i nie dających się zastosować do rzeczywistości. Reakcjonista z rozpaczą powtarza: "honor", "ojczyzna", "naród", "wolność", nie mogąc w żaden sposób oswoić się z faktem, że dla ludzi przebywających w zmienionej (i zmieniającej się co dzień) sytuacji te abstrakcje nabierają konkretnego i zupełnie innego niż dawne znaczenia.

Dzięki takim cechom reakcjonista jest uważany przez dialektyków za typ umysłowo od nich niższy i dlatego mało niebezpieczny. Nie jest to partner równorzędny. Reakcjonistami w tym sensie była klasa posiadająca i większość dawnej inteligencji. Dzięki temu właśnie wzięcie inteligencji mocno w ręce, po likwidacji klasy posiadającej, nie przedstawia większej trudności: bardziej żywotni jej przedstawiciele przechodzą na nowe pozycje ideologiczne, a reszta spada umysłowo i socjalnie coraz niżej, w miarę jak przestaje "nadażać" za zachodzącymi dokoła przemianami. Nowa inteligencja nie ma już z dawną wspólnego języka. Reakcyjne tendencje istnieją w masach chłopstwa i byłego drobnomieszczaństwa, jednak są to tendencje pozbawione umysłowego wyrazu. Masy te są wychowywane (przez stwarzanie nowych warunków życia) i choć są niezadowolone, z każdym miesiącem zwiększa się umysłowy dystans pomiędzy nimi i programowymi reakcjonistami. Poważnym czynnikiem ułatwiającym rządy krajem są politycy emigracyjni. Dziewięćdziesiąt procent z nich są to, według podanej wyżej definicji, reakcyjniści. Ich apele i przemówienia radiowe przypominają strzelaninę biednego Laurela do samolotów. Słuchacze nie bez przyjemności przyjmują ich wymyślenia pod adresem nie lubianych rządów, nie mogą jednak traktować tych sformułowań poważnie. Niewspółmierność pomiędzy słowami drogimi tym politykom a doświadczeniem jest zbyt wyraźna, wyższość rozumowania dialektyków, zawsze dostosowanego do aktualności, zbyt widoczna. Tego rodzaju ocena, nieprzychylna dla reakcjonistów, pojawia się instynktownie: jest w niej coś jak uczucie niejasnego zażenowania, wstyd, że ci, którzy występują przeciwko dyktaturze, nie dorastają do niej umysłowo. Stąd powstaje niechęć do solidaryzowania się z reakcjonistami (instynkt, który wyczuwa słabość, jest właściwy masom ludzkim) i pogłębia się poczucie fatalizmu.

Władza nad umysłami mas nie jest więc zagrożona. Energia intelektualna, gdziekolwiek się pojawia, może znaleźć tylko jedno ujście. Inna jednak sprawa, kiedy się patrzy na życie emocjonalne mas, na ogromne napięcie istniejącej w nich nienawiści. Tej nienawiści nie da się wytłumaczyć tylko ekonomicznymi przyczynami. Partia wyczuwa, że w tej dziedzinie, najmniej przez marksizm zbadanej, kryją się niespodzianki i prawdziwe niebezpieczeństwa.

Przede wszystkim problem religii. Ciągłe on jeszcze trwa mimo wielu słabych punktów chrystianizmu, które można z powodzeniem atakować. Nie bez powodu Kościół katolicki zażarcie bronił w początkach reformacji struktury feudalnej przeciwko rodzącemu się kapitalizmowi: kapitalizm stworzył naukowe myślenie, które zadało w Europie cios religii, ponieważ usunęło najlepsze umysły z zasięgu teologii. W społeczeństwie nowoczesnym można obserwować szybkie rozpowszechnianie się idei, które z początku są własnością tylko garstki umysłów; żeby wiedzieć, jak rozwój społeczeństwa będzie postępować, wystarczy nieraz śledzić kierunek, w jakim zmierza myśl niedużej liczby najbardziej wrażliwych jednostek. To, co jest w pewnym momencie na powierzchni (na przykład pewne style literackie), ustępuje miejsca nowym elementom, choć długo jeszcze przeżywa jako sfera drugorzędna i trzeciorzędna (jakkolwiek możliwe są odrodzenia). Zdarzyło się to w Europie również z teologią, która straciła swoją pierwszorzędną pozycję. Kościół stracił intelektualistów i nie zyskał nowo powstającej warstwy robotniczej - a są to dwie grupy, do których Partia przywiązuje specjalne znaczenie. Życie umysłowe chrystianizmu rozwija się dzisiaj na marginesie Kościoła - w małych grupach próbujących dostosować filozofię chrześcijańską do nowych potrzeb stulecia.

Jednak potrzeby religijne w masach istnieją i byłoby błędem, z punktu widzenia Partii, je negować. Być może przekształcając całą ludność w robotników zdoła się zniszczyć same te potrzeby, ale nie jest całkowicie pewne, kiedy to nastąpi. Ma się tu do czynienia z nieobliczalnymi pierwiastkami. W istocie tajemniczy jest opór wewnętrzny okazywany przez człowieka wobec rozumnego tłumaczenia zjawisk. Tak słaby jest ryzsztunek logiczny chrześcijaństwa w dwudziestym wieku i tak mocno dziecko w szkole nasiąka nowym sposobem myślenia, a mimo to ciągle jeszcze trwa strefa cienia niedostępna światłom rozumu. Natykamy się ciągle na zagadki. Profesor Pawłow, twórca teorii odruchów warunkowych, chodził co niedziela do cerkwi; ponieważ był wybitnym uczonym i starym człowiekiem, nie robiono mu w Moskwie z tego powodu przykrości. Twórca teorii odruchów warunkowych! Tej właśnie teorii, która stanowi jeden z najsilniejszych argumentów przeciwko istnieniu jakiejś stałej "natury ludzkiej". obrońcy religii powołują się na tę "naturę ludzką" twierdząc, że nie da się jej całkowicie zmienić i że skoro w ciągu tysięcy lat w rozmaitych cywilizacjach pojawiały się bóstwa i kościoły, można się tego samego spodziewać w przyszłości. Co działo się w głowie profesora Pawłowa, jeżeli dwa systemy pojęć - naukowy i religijny - przebywały tam równocześnie?

Czy jednak skłonności, które popychają ludzi do religii, są wynikiem "natury ludzkiej" czy odruchów warunkowych działających w ciągu stuleci - jest bez większego znaczenia: skłonności te są. W czasie wojny Związku Radzieckiego przeciwko Hitlerowi trzeba było wydobyć z kurzu zapomnienia popów, tak jak trzeba było odwołać się do uczuć nacjonalistycznych. Kiedy

przychodzi w obliczu śmierci ta chwila absurdalnego olśnienia, że wszystko to nie ma sensu - materializm dialektyczny ukazuje nagle swoją matematyczną strukturę. Człowiek spada z przemyślnie ustawionych mostów w przepaść i woli poddać się magii ikony.

Partia wie, że sama jest Kościołem. Od tego, w jakim stopniu zdoła skanalizować irracjonalne skłonności ludzkie i użyć ich dla swoich celów - zależy jej dyktatura nad kulą ziemską i przekształcenie ludzkiego gatunku. Nie, nie wystarczy przekonać ludzi poprawnym rozumowaniem. Obrzęd w świątlicy, poezja, powieść, film są tak ważne, bo sięgają głębiej, tam gdzie czai się emocjonalny sprzeciw. I nie należy tolerować innego Kościoła: chrześcijańskiego. Jest to wróg numer jeden: w nim znajduje oparcie wszelki sceptycyzm mas, jeżeli chodzi o radykalną przemianę człowieka. Jeżeli według ewangelii nie wolno krzywdzić bliźnich, to może nie wolno również tępić "kułaków"? Jeżeli ludziom nie należy się cześć najwyższa, może obrzędy na cześć geniuszów, takich jak Lenin i Stalin, są bałwochwalstwem?

Znałem i miałem wśród moich przyjaciół wielu chrześcijan - Polaków, Francuzów i Hiszpanów - którzy w dziedzinie politycznej byli zwolennikami ścisłej ortodoksji stalinowskiej, zachowując sobie wewnętrzne zastrzeżenia, wierząc w korektę Boga przeprowadzoną po wykonaniu krwawych wyroków przez pełnomocników Historii. Posuwali się oni w swoim rozumowaniu dość daleko: ich zdaniem, rozwój historyczny odbywa się według niezłomnych praw, które istnieją z woli Boga; jednym z tych praw jest walka klas; wiek dwudziesty jest wiekiem zwycięskiej walki proletariatu, który jest prowadzony do tej walki przez Partię komunistyczną; ponieważ wodzem Partii komunistycznej jest Stalin, wypełnia on prawo Historii, czyli działa z woli Boga i należy mu być posłusznym. Odnowienie ludzkości możliwe jest tylko w sposób zastosowany na obszarach Rosji, dlatego chrześcijanin nie może występować przeciwko jedynej okrutnej, co prawda, idei, która stworzy na całej planecie nowy gatunek człowieka. Takie rozumowanie jest często używane publicznie przez tych duchownych, którzy są narzędziami w rękach Partii. "Chrystus jest nowym człowiekiem. Człowiek nowy to człowiek sowiecki. Więc Chrystus jest człowiekiem sowieckim!" - powiedział patriarcha rumuński Justynian Marina.

W rzeczywistości chrześcijanie ci (pomijając zwyczajnych wykonawców w rodzaju Mariny) popełniają jeden z większych fałszów, jakie można było oglądać w ciągu stuleci. Ten fałsz polega na wstydliwym wyrzeczeniu się własnej wiary. Pomiędzy chrześcijaństwem i filozofią stalinizmu zachodzi sprzeczność nie do pogodzenia: chrześcijaństwo opiera się na pojęciu zasługi i winy indywidualnej, natomiast Nowa Wiara zastępuje to pojęcie pojęciem zasługi i winy historycznej. Chrześcijanin, który odrzuca zasługi i winę indywidualną, przekreśla tym samym czyn Jezusa, a Bóg, na którego się jeszcze powołuje, przekształca się powoli w Historię. Jeżeli uznaje natomiast, że istnieje tylko indywidualna zasługa i wina, czyż może patrzeć obojętnie na

cierpienia istot ludzkich, których jedynym przestępstwem było to, że stanowiły one przeszkodę w dokonywaniu się “procesów historycznych”? Aby uspić sumienie, używa tego szczególnego wybiegu, jakim jest teza, że reakcjonista nie może być człowiekiem dobrym. Kto jest reakcjonistą według przystosowanej do doraźnego użytku definicji? Każdy, kto sprzeciwia się nieuniknionym procesom historycznym, to jest polityce Politbiura. Teza o “grzechu reakcjonisty” jest z kolei obszernie uzasadniana przy pomocy niezwykle przemyślanych argumentów: każde poznanie jest “kierunkowe”; widzieć rzeczywistość prawdziwie może tylko ten, kto patrząc na nią ocenia ją według interesów tej klasy, która jest dźwignią postępu, to jest proletariatu; jakie są interesy proletariatu - o tym uczą nas pisma Lenina i Stalina; kto patrzy na rzeczywistość inaczej, widzi ją fałszywie, to znaczy jego obraz rzeczywistości jest zdeformowany przez nacisk interesów klas, które są wsteczne, a więc skazane na zepchnięcie z widowni dziejowej - a z tej przyczyny świadomie (czy też podświadomie) uprawiają eskapizm; kto widzi fałszywie świat, musi działać źle; kto działa źle, jest człowiekiem złym. Reakcjonista jest więc człowiekiem złym i nie należy go żałować. Uzasadnienie powyższe jest bardzo interesujące - ma tylko jedną wadę: stoi w sprzeczności z obserwacją faktów. Gdyż nacisk wszechpotężnego totalitarnego państwa wytwarza w obywatelach napięcia uczuciowe, które decydują o ich czynach. Podział na “lojalnych” i “zbrodniarzy” odbywa się z premiowaniem wszelkiego rodzaju konformistów, tchórzów i służalców, natomiast wśród “zbrodniarzy” znajduje się szczególnie wysoki procent ludzi prostych, szczerych i wiernych samym sobie. Z punktu widzenia społecznego ci ludzie byłiby najlepszą gwarancją rozwoju społecznego organizmu. Z punktu widzenia chrześcijańskiego nie mają oni innych win na sumieniu niż pogarda, jaką okazali cesarowi, czy też niewłaściwa ocena jego potęgi. Twierdzenie, że wina historyczna jest automatycznie winą indywidualną, nie może być traktowane inaczej niż wybieg wrażliwego a kłamliwego sumienia. Nie znaczy to, że można problem winy historycznej zbyć łatwymi ogólnikami. Głupota, to jest niezdolność zrozumienia mechanizmu wydarzeń, może być przyczyną olbrzymich cierpień, jakie człowiek zadaje bliźnim. W tym sensie dowódcy polscy, którzy wydali rozkaz rozpoczęcia powstania warszawskiego w r. 1944, są winni głupoty, a ich wina ma charakter indywidualny. Inna jednak wina indywidualna ciąży na dowództwie Armii Czerwonej, która nie przysłała powstaniu z pomocą - nie z głupoty, przeciwnie: z pełnego zrozumienia “procesów historycznych” (to jest po prostu z właściwej oceny siły). Przykładem winy przez głupotę jest stosunek różnych społeczeństw do tych myślicieli, pisarzy i artystów, którzy sięgali wzrokiem w przyszłość i których dzieła były mało zrozumiałe dla ich współczesnych. Krytyk odmawiający wszelkiej wartości takim dziełom mógł działać w dobrej wierze, ale przez swoją głupotę wtrącał w nędzę czy narażał na prześladowanie ludzi bez porównania bardziej od siebie wartościowych.

Specyficzność zabiegu chrześcijan-stalinistów polega na stopieniu w jedno winy historycznej i indywidualnej, podczas kiedy bywają tylko wypadki, kiedy te pojęcia się pokrywają.

Śledząc ewolucję moich przyjaciół-katolików, którzy zaakceptowali linię partyjną - miałem możliwość zauważyć, że z ich chrześcijańskiej metafizyki zostaje stopniowo tylko frazeologia, natomiast prawdziwą treścią staje się Metoda (Bóg przekształca się w Historię). Ten proces psychiczny zna wielu chrześcijan w demokracjach ludowych. Jest to niewątpliwie nowy i szczególnie nabytek dwudziestego wieku. Nie pojawił się on w Rosji, gdzie cerkiew została zniszczona wcześniej i na ogół skutecznie - natomiast istnienie sporej ilości lojalnych pół-chrześcijan w podbitej części Europy może mieć ogromne skutki, jeżeli chodzi o realizację politycznych celów Imperium. Tolerowanie, a nawet popieranie tych "chrześcijan-patriotów", jak się ich nazywa, stwarza dla Imperium możliwość uniknięcia jednego z najbardziej niebezpiecznych konfliktów. Przejście od chrześcijaństwa do kultu Historii odbywa się niepostrzeżenie. Niewątpliwie największym sukcesem Imperium byłoby osadzenie w Watykanie papieża wiernego linii partyjnej. Msza w Bazylice Św. Piotra w Rzymie odprawiona przez takiego papieża, z udziałem kierowniczych osobistości tych krajów podbitych, które posiadają większość ludności wyznania katolickiego - byłaby jednym z największych kroków dla skonsolidowania Imperium światowego.

Chrześcijanie w służbie wschodniego Imperium rozwiązują w szczególny sposób problem postawiony przez słowa Jezusa: "Oddajcie co boskie Bogu, a co cesarskie Cezarowi". Od tego czasu przeciwieństwo między jednostką ludzką i Cezarem nie zostało nigdy przekreślone.

Gwarancją utrzymania tego podziału było chrześcijaństwo. Według niego, każdy człowiek miał swoją własną historię, równoległą, czy też różną od historii grupy społecznej, do której należał, albo narodu. Jeżeli, jak uczy się dzisiaj w szkołach od Elby do Władywostoku, historia każdego człowieka jest niczym więcej niż refleksem historii klasy, a klasa znajduje swoje wcielenie w Cezarze - jest jasne, że człowiek występujący przeciwko Cezarowi występuje przeciwko samemu sobie. Chrześcijanie, którzy się na to godzą, składają dowód, że nie wierzą już w osąd czynów każdego człowieka przez Boga: do uległości skłania ich strach przed wiecznym potępieniem Historii.

Konflikt między chrześcijaństwem i rewolucją jest zasadniczy i zdaje sobie z tego sprawę Partia. Dąży ona do największego celu, jaki rodzaj ludzki postawił sobie w ciągu swojego istnienia: usunięcia "eksploatacji człowieka przez człowieka", to znaczy zniszczenia w człowieku chęci zysku jako motywu działania; na to miejsce stawia się motyw obowiązku względem zbiorowości. Jest to cel odległy i zaszczytny; prawdopodobnie nie da się go osiągnąć szybko i w ciągu dłuższego okresu nie można będzie zaszczepić poczucia obowiązku inaczej niż utrzymując trwały terror. W

chrześcijaństwie natomiast istnieje dualizm oceny: człowiek jest według niego i “dzieckiem bożym”, i członkiem społeczeństwa; jako członek społeczeństwa powinien poddać się ustalonym porządkowi rzeczy, ale pod warunkiem, że ten porządek nie przeszkadza mu w pracy nad zbawieniem duszy. Tylko niszcząc w człowieku dualizm i rozpuszczając go całkowicie w pierwiastku socjalnym - uczy Partia - można wyzwolić siły nienawiści potrzebne do realizacji nowego świata.

W krajach wysoce uprzemysłowionych - takich jak Anglia, Stany Zjednoczone czy Francja - masy w poważnym procencie odeszły od religii. Technika - i powstający wskutek niej sposób życia - niszczy chrześcijaństwo skuteczniej niż środki gwałtowne: następuje erozja wierzeń religijnych. Ten proces zrobił poważne postępy również w Europie Środkowej i Wschodniej. Istota zagadnienia polega na tym, żeby nie zgalwanizować chrześcijaństwa nieostrożnym postępowaniem. Takim nieostrożnym postępowaniem byłoby na przykład nagłe zamknięcie kościołów i wydanie zakazu praktyk religijnych. Należy raczej dążyć do rozbicia Kościoła na dwa odłamy; część kleru skompromitować jako reakcjonistów i “obcych agentów” - co przy rzeczywistych nastrojach reakcyjnych wielu księży nie jest szczególnie trudne. Drugą część należy mocno związać z państwem, tak aby Kościół był użytecznym narzędziem w ręku państwa, podobnie jak cerkiew w Rosji. Kler całkowicie uległy - stający się w niektórych wypadkach współpracownikiem policji bezpieczeństwa - traci autorytet w oczach wiernych. Taki Kościół można zachować przez dziesiątki lat aż do chwili, kiedy zgaśnie on śmiercią naturalną wskutek braku zwolenników.

I na religię więc, tę ostatnią ostoję oporu, są środki. Niemniej masy w demokracjach ludowych zachowują się jak człowiek, który chce we śnie krzyknąć i nie może wydobyć głosu. Nie tylko dlatego, że nie mogą nic powiedzieć: nie wiedzą, co powiedzieć. Logicznie biorąc, wszystko jest, jak być powinno, to znaczy zrozumiałe jest, że nie może być inaczej: od podstaw filozoficznych do kolektywizacji wsi wszystko stanowi jedną zwartą całość, piramidę ułożoną przekonywująco. Jednostka ludzka zapytuje siebie, czy jej sprzeciw nie jest błędem: całemu aparatowi propagandy może przeciwstawić tylko irracjonalne pragnienia. Czy nie należy się ich wstydzić?

Partia czujnie dogląda, aby nie nastąpiła transmutacja tych pragnień - narodowych i wolnościowych - w nowe sformułowania intelektualne obdarzone siłą żywotną, czyli dostosowane do nowych warunków i przez to mające szansę porwania mas. Nie reakcja i nie Kościół są największym zagrożeniem. Największym zagrożeniem jest herezja. Jeżeli pojawiają się ludzie obeznani z dialektyką i zdolni przedstawić w nowym świetle materializm dialektyczny - powinni oni być” jak najszybciej unieszkodliwieni. Profesor filozofii, który hołduje przestarzałym

“idealistycznym” koncepcjom, nie jest szczególnie szkodliwy: odbierze mu się katedrę, ale da mu się pracę przy opracowywaniu tekstów, niech sobie żyje, i tak wiadomo, że jest tylko muzealnym zabytkiem. Natomiast profesor, który używając nazwisk Marksa i Engelsa pozwoli sobie na odstępstwa od ortodoksji, zasiewa ziarna, z których mogą wyrosnąć nieobliczalne plony. Tylko głupia burżuazja uważa, że z niuansów myśli nic nie wynika. Partia wie, że wynika bardzo wiele: był czas, kiedy rewolucja nie była niczym innym niż niuansiem myśli grupki teoretyków pod przywództwem Lenina, kłócących się w Szwajcarii przy kawiarnianym stoliku. Najbardziej newralgicznymi punktami doktryny są: filozofia, literatura, historia sztuki i krytyka literacka; tam gdzie przedmiotem rozważań jest człowiek w swojej, niestety, złożoności. Różnica o drobny ułamek w przesłankach równania daje zawrotne różnice po przeprowadzeniu działań. Podobnie odchylenie od linii w zakresie oceny jakiegoś dzieła sztuki może stać się zaczynem politycznych przewrotów. Jest słuszne i konsekwentne, że Partia potępiła najwybitniejszego z marksistowskich badaczy literatury dwudziestego wieku - węgierskiego profesora Lukacsa; z całą pewnością entuzjazm, jaki wywoływały jego prace wśród marksistów demokracji ludowych, nie pozostawał bez głębszych i ukrytych powodów: widziano w nim zwiastuna odrodzenia filozoficznego i zwiastuna nowej literatury, różnej od literatury Związku Radzieckiego. Niechęć do sztuki socjalistycznego realizmu widoczna w jego pismach odpowiadała wierze powszechnej w pierwszych latach po drugiej wojnie światowej, że w demokracjach ludowych nauka Marksa i Engelsa wkroczy na nowe tory, nie znane w Rosji. Lukacs dawał wyraz tej wierze w swoich książkach, został więc oficjalnie napiętnowany.

Próby wyjścia poza krąg zakreślony przez Biuro Polityczne w Moskwie kończą się niepowodzeniem. Partia interpretuje w sposób dokładny hasło: “Kto nie jest z nami, jest przeciwko nam”: kto nie zgadza się w najdrobniejszym szczególe, staje się wrogiem i zostaje zepchnięty w ciemności zewnętrzne. Żaden nowy ferment umysłowy i polityczny nie powinien powstać poza stalinizmem ortodoksyjnym, który stara się zachować za wszelką cenę monopol “postępu” i “demokracji”. Gdyby ten monopol został złamany, herezje szerzyłyby się jak ogień. Terror umysłowy jest zasadą, której, skoro się rozważa rzecz logicznie, nie mogłoby usunąć nawet zwycięstwo w skali światowej. Tłumaczenie często stosowane przez stalinistów, że jest to tylko etap wynikający z “kapitalistycznego okrażenia”, zawiera w sobie sprzeczność: pojęcie etapu zakłada planowanie z góry, czyli całkowitą kontrolę teraz i kiedykolwiek. Sprzeczność ta jest uświadomiona na Wschodzie. Gdyby jej sobie nie uświadamiano, nie trzeba by było przedstawiać przymusowego udziału w wiecach i pochodach, przymusowego głosowania na jedną listę, przymusowego podnoszenia norm wyrabianych przez robotników jako czynności dobrowolnych i spontanicznych. Tutaj jest niejasny, niemiły punkt dla najbardziej nawet gorliwych wyznawców.

Wróg w stanie potencjalnym będzie istniał zawsze, przyjacielem będzie ten tylko, kto akceptuje w stu procentach. Ten, kto akceptuje w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach, będzie już utajonym wrogiem, bo z jednego procentu różnicy może wyrosnąć nowy Kościół.

W takim postawieniu sprawy kryje się szaleństwo doktryny. Dialektycy partyjni wiedzą, że podobne próby ze strony różnych ortodoksji zawsze kończyły się niepowodzeniem; właśnie rozwój historyczny rozsądza formuły uznane za obowiązujące. Tym razem jednak w Centrum rządzą ludzie, którzy władają dialektyką, w miarę więc nowo powstających konieczności będą modyfikować doktrynę. Sądy poszczególnego człowieka mogą być zawsze błędne, jedynym na to sposobem jest poddać się bez zastrzeżeń przewodnictwu.

Co jednak począć z nie sformułowanymi pragnieniami ludzi? Dlaczego dobry komunista nagle strzela sobie w łeb bez żadnego wyraźnego powodu albo ucieka za granicę? Czy nie jest to jedna z tych przepaści, nad którymi wznoszą się umiejętnie skonstruowane mosty? Ludzie uciekający z demokracji ludowych jako główny powód podają zwykle to, że nie można tam wytrzymać psychicznie. Ich próby wytłumaczenia są zwykle bełkotem: “straszliwy smutek życia t a m”, “miałem uczucie, że zmieniam się w maszynę”. Niemożliwa do zdefiniowania groza pełnej racjonalizacji człowieka nie nadaje się do przekazania jej ludziom, którzy tego nie doświadczyli.

Aby zapobiec wątpliwościom, Partia walczy przeciwko jakimkolwiek objawom sięgania w głąb istoty ludzkiej, zwłaszcza w literaturze i sztuce. “Człowiek” jako pojęcie gatunku nie jest mile widziany. Ktokolwiek zastanawia się nad jego wewnętrznymi potrzebami i tęsknotami, zostanie oskarżony o burżuazyjne tendencje. Nic nie powinno wykraczać poza opis jego zachowania się jako członka grupy społecznej. Jest to potrzebne, bo Partia, traktując człowieka wyłącznie jako wypadkową społecznych sił, jest zdania, że staje się on takim typem, jakiego obraz sobie wytwarza. Jest to mała społeczna. Co nie jest wyrażone - nie istnieje; dlatego usuwając możliwość pewnego rodzaju dociekań, automatycznie niszczy się skłonności do takich dociekań.

Muszę tutaj zapobiec możliwemu nieporozumieniu. Nie jestem zwolennikiem zbyt subiektywnej sztuki. Moja poezja była dla mnie środkiem samokontroli. Mogłem na niej badać, gdzie przebiega linia, za którą fałszywość tonu dowodzi fałszywości postawy - i starać się linii tej nie przekroczyć. Doświadczenia lat wojny nauczyły mnie, że nie należy brać do ręki pióra po to tylko, żeby innym komunikować swoją rozpacz i swoje wewnętrzne rozbicie - bo jest to towar tani, na którego wyprodukowanie trzeba za mało wysiłku, aby wykonując podobną czynność czuć do siebie szacunek; ktokolwiek widział milionowe miasto obrócone w proszek, kilometry ulic, na których nie zachował się żaden ślad życia, nawet kot, nawet pies bezdomny - ten z ironią przypominał sobie opisy wielkowiejskiego piekła u współczesnych poetów - w rzeczywistości piekła ich duszy. Prawdziwa “ziemia jałowa” jest o wiele straszniejsza od wymyślonej. Nikt,

kto nie przebywał wśród okropności wojny i terroru, nie wie, jak silny jest u świadka i uczestnika protest wobec siebie samego - wobec własnych zaniedbań i własnego egoizmu. Ruina i cierpienie są szkołą społecznej myśli. Literatura socjalistycznego realizmu jest bardzo użyteczna - ale, niestety, użyteczna tylko dla Partii. Ma ona przedstawiać rzeczywistość nie tak, jak człowiek ją widzi (to była cecha dawnego realizmu zwanego "krytycznym"), ale tak, jak ją rozumie. Rozumiejąc, że rzeczywistość jest w ruchu i że w każdym zjawisku istnieje równocześnie to, co się rodzi, i to, co zamiera (to znaczy dialektyczna walka "nowego" ze "starym"), autor powinien pochwalać wszystko, co jest wstępujące, kiełkujące i potępiać wszystko, co staje się przeszłością. Zasada ta stosowana w praktyce oznacza, że autor w każdym zjawisku powinien dostrzegać elementy walki klasowej. Prowadząc to rozumowanie dalej, otrzymuje się w wyniku literaturę o charakterze pedagogicznym: ponieważ tylko staliniści mają prawo reprezentować proletariatus (klasę wstępującą), "nowe" i godne pochwały jest tylko to, co powstaje wskutek tragedii i taktyki Partii. Celem literatury jest więc tworzenie wzorów postępowania dla czytelników, którzy zdążają we wskazanym przez Partię kierunku. Socjalistyczny realizm opiera się na identyfikacji "nowego" z proletariatem i proletariatu z Partią. Ukazuje on wzorowych obywateli, to jest komunistów (partyjnych czy bezpartyjnych) i wrogów klasowych. Pomiędzy tymi dwoma gatunkami ludzi są ci, którzy się wahają; muszą oni jednak - stosownie do tego, które skłonności w nich okażą się silniejsze - wylądować w jednym obozie albo w drugim. Proces tych przemian, którego uwieńczeniem jest albo zupełna poprawa, albo zupełny upadek - stanowi, poza rysowaniem już gotowych postaci przyjaciół i wrogów, jedyny temat literatury. Ten sposób traktowania literatury (i w ogóle sztuki) jest lekcją absolutnego konformizmu. Czy konformizm tego rodzaju sprzyja poważnej artystycznej pracy? Wyrażając się łagodnie - jest to wątpliwe. Rzeźby Michała Anioła są dokonanym czynem, który trwa. Był moment, kiedy nie istniały. Pomiędzy ich nieistnieniem i istnieniem znajduje się akt twórczy, który jest niemożliwy do pojęcia jako uleganie "fali historycznej"; gdyż aktowi twórczemu towarzyszy poczucie wolności, a to z kolei rodzi się z przewycięzania oporu, który przedstawia się jako opór absolutny. Kto naprawdę tworzy, jest sam. A kiedy uda mu się stworzyć, pojawia się wielu naśladowców i zwolenników, okazuje się też, że dzieło potwierdza jakąś "falę historyczną". Nie ma innej drogi dla człowieka niż zaufać wewnętrznemu nakazowi i rzucić wszystko na szalę po to, żeby wyrażać to, co wydaje mu się prawdą. Ten nakaz wewnętrzny jest absurdem, jeżeli nie jest wsparty o wiarę w porządek wartości, który istnieje poza zmiennością spraw ludzkich, to jest o wiarę metafizyczną. W tym streszcza się tragedia dwudziestego wieku. Tworzyć dzisiaj mogą tylko ci, którzy jeszcze mają tę wiarę (wśród nich jest pewna ilość stalinistów uprawiających Ketmar), albo ci, którzy stoją na stanowisku laickiego stoicyzmu (który jest zapewne również formą wiary). Dla reszty pozostaje żalodne

kłamstwo bezpiecznego miejsca na "fali historycznej". Oto są ramy, w których rozwija się życie w demokracjach ludowych. Jest to życie o tempie gorączkowym. "Budowa socjalizmu" nie jest tylko sloganem; jest to budowa w sensie dosłownym. Oko przechodnia napotyka wszędzie na rusztowania; wyrastają nowe fabryki, nowe gmachy biur i urzędów; wznosi się w górę krzywa produkcji; masy ludzkie zmieniają się z niesłychaną szybkością: coraz więcej ludzi staje się funkcjonariuszami państwa i zyskuje pewne minimum "wykształcenia politycznego". Prasa, literatura, film i teatr wyolbrzymiają te rzeczywiste osiągnięcia. Gdyby mieszkaniec

Marsa nie wiedzący nic o sprawach Ziemi osądzał różne kraje na podstawie opisów w ukazujących się tam pismach i książkach, doszedłby niewątpliwie do wniosku, że Wschód jest zamieszkały przez rozumne, jasno myślące istoty, a Zachód przez karłów i degeneratów. Nic dziwnego, że do podobnego wniosku dochodzi wielu inteligentnych mieszkańców Zachodu, dla których Związek Radziecki i zależne od niego kraje przedstawiają się jako legendarne wyspy szczęśliwości.

Obywatel demokracji ludowych wolny jest od newrozy, która przybiera tak rozliczne formy w krajach kapitalistycznych. Na Zachodzie człowiek stoi wobec społeczeństwa, które uważa podświadomie za coś nie związanego ze sobą. Gra swoją osobistą grę; społeczeństwo wyznacza mu pewne granice, których nie powinien przekroczyć; w zamian za to otrzymuje on gwarancję, że nikt nie będzie zbyt się mieszał do jego sfery działania. Jeżeli przegrywa, mówi się, że sam jest sobie winien. Niech pomaga mu psychoanaliza. Na Wschodzie nie ma przeciwstawienia ani granicy pomiędzy człowiekiem i społeczeństwem. Jego przegrana czy wygrana jest sprawą publiczną. Nigdy nie jest sam. Jeżeli ginie, ginie nie z powodu obojętności otoczenia: dlatego, że niestety otoczenie obserwuje go z nadmierną uwagą. Newrozy pospolite na Zachodzie są, jak wiadomo, przede wszystkim wynikiem samotności człowieka, a więc w demokracjach ludowych psychoanalizy - nawet założywszy, że pozwolono by im praktykować - nie zarobili ani grosza.

Cierpienia człowieka w demokracjach ludowych są nowego, nie znanego dotychczas gatunku. Ludzkość znalazła skuteczne środki na ospę, tyfus i syfilis, które niegdyś przybierały charakter masowych plag; życie w wielkich zbiorowiskach wytworzyło jednak nowe choroby. Coś podobnego zdarzyło się rewolucjonistom rosyjskim. Wynaleźli oni rzekomo skuteczne środki opanowania sił Historii i realizowania idealnego społeczeństwa. I Historia odpłaca im drwiną.

Podstawowy cel: usunięcie walki o byt, co było marzeniem teoretyków - nie jest osiągnięty i nie może być osiągnięty, jeżeli istnieje strach wszystkich przed wszystkimi. Państwo, które miało według Lenina stopniowo uwiędnąć, jest wszechpotężne i trzyma miecz nad głową każdego obywatela, karząc go za nieostrożne słowo. Obietnice dawane od czasu do czasu obywatelom, że państwo zacznie więdnąć z chwilą osiągnięcia panowania nad całą kulą ziemską, nie są na niczym

oparte: ortodoksja nie może zwolnić nacisku pod grozą, że przestanie być ortodoksją. Dialektyka, to jest wewnętrzne sprzeczności zjawisk, zwraca się przeciwko dialektyce stosowanej przez Centrum: tym gorzej dla wewnętrznych sprzeczności zjawisk, tym gorzej dla rzeczywistości. Ktoś powiedział, że wiek dwudziesty jest wiekiem produktów syntetycznych - syntetycznego kauczuku, syntetycznej benzyny - i tak samo została stworzona sztuczna dialektyka, która z pozoru tylko jest podobna do filozofii Hegla. Metoda jest jednak skuteczna, kiedy chodzi o walkę z wrogami. Człowiek wystawiony na jej wpływ miota się bezradnie: jest to jak walka przeciwko grze matematycznych symbolów. Wreszcie ulega - i w tym leży tajemnica prawdziwej władzy, bardziej niż w fantastycznych narkotykach, o których się opowiada.

Jest gatunek owadów, które nakłuwają gąsienice innych owadów i wstrzykują tam jad; gąsienice tak zoperowane żyją nadal, choć są sparaliżowane; w ich ciało owady-truciciele składają jajka i ciało gąsienicy służy za żywą spiżarnię młodemu pokoleniu. Podobnie w umysł człowieka w demokracjach ludowych wstrzykuje się środek znieczulający; jest nim materializm dialektyczny. Kiedy umysł jest już przygotowany, składane są tam jajka stalinowskiej interpretacji; skoro jesteś już marksistą - mówi się pacjentowi - musisz być stalinistą, bo poza stalinizmem nie ma marksizmu.

Naiwni wrogowie trucizny mogą sądzić, że zamykając dzieła Marksa i Engelsa w ogniotrwałych kasach i nie pokazując ich nikomu zażegna się niebezpieczeństwo. Nie biorą pod uwagę, że same wypadki historyczne prowadzą ludzi do tego, co jest przedmiotem tych dzieł. Ci, którzy nigdy nie doświadczyli na sobie ich siły magnetycznej, mogą się uważać za szczęśliwych - ale nie wiadomo, czy jest to powód do chluby.

Tylko ślepi mogą nie widzieć tragicznej sytuacji, w jakiej znalazł się gatunek ludzki, kiedy zapragnął wziąć swoje losy we własne ręce i usunąć przypadek. Ukorzył się przed Historią - a Historia jest okrutnym bóstwem. Rozkazy, jakie padają z jego ust, są głosem sprytnych kapłanów ukrytych w jego pustym wnętrzu. Oczy bóstwa są tak skonstruowane, że patrzą wszędzie, gdziekolwiek podąży człowiek; nie ma przed nimi schronienia. Kochankowie w łóżku odprawiają swoje miłosne obrzędy pod jego ironicznym spojrzeniem; dziecko bawi się w piasku nie wiedząc, że jego dalsze życie zostało zważone i policzone do ogólnego rachunku; tylko starcy, którym zostało niewiele dni do śmierci, mogą z pewną słusnością utrzymywać, że wyrwali się już niemal spod jego władzy.

Filozofia Historii emanująca z Moskwy jest to filozofia-siła; przekształca ona masy, rozporządza czołgami i samolotami. Przeciwko komuś, kto nie chce jej uznać, występuje miażdżąca moc państwa; a również atakuje się go od wewnątrz: mówi się, że opór jest spowodowany przez świadomość klasową. (Podobnie ten, kto nie chce poddać się zabiegom

psychoanalitycznym, może być oskarżony o to, że zamierza w ten sposób chronić swoje kompleksy.)

A przecie nie jest trudno wyobrazić sobie dzień, w którym miliony ludzi posłusznych tej filozofii obróciłyby się nagle przeciwko niej. Taki dzień nastąpiłby, gdyby Centrum straciło materialną siłę; nie tylko dlatego, że zniknąłby wtedy strach przed militarną potęgą; dlatego przede wszystkim, że w tej filozofii powodzenie jest integralną częścią rozumowania; przegrana odkryłaby błędność sztucznej dialektyki, która zostałaby zwyciężona przez rzeczywistość. Obywatele Imperium Wschodu niczego tak nie pragną jak uwolnienia się od terroru, jaki sprawuje ich własna myśl.

W gmachu Centralnego Komitetu stratedzy przesuwają chorągiewki na mapie batalii o panowanie nad umysłami. Coraz większe sukcesy, coraz bardziej rozszerza się kolor czerwony, który z początku - w r. 1944 i 1945 - ograniczał się do małej grupki wiernych przybyłych ze Wschodu. Jednak i mędracy są ludźmi. I ich nawiedza niepokój i drzenie. Przyrównując siebie do pierwszych chrześcijan, a pochód Nowej Wiary na planecie do pochodu chrześcijaństwa w rozkładającym się Rzymie, zazdroszczą apostołom ich daru sięgania w głąb serc ludzkich. "Ci umieli robić propagandę! Gdzież nam do nich!" - wykrzyknął z żalem pewien dostojnik partyjny słuchając Ewangelii nadawanej przez radio. Nowa (anty) religia czyni cuda: pokazuje wątpiącym nowe budowle i nowe czołgi. A gdyby cudów zabrakło? W rękach, które oklaskują, pojawiłyby się noże i pistolety; piramida myśli runęłaby. Tam gdzie stała, przez długi czas nie byłoby nic prócz krwi i chaosu.

IX – BAŁTOWIE

“Jeżeli będziesz ciągle myślał o tych swoich Bałtach i o obozach, to wiesz, co się stanie?” - zapytał mnie w Warszawie mój przyjaciel od niedawna wielbiący bez zastrzeżeń mądrość dialektyczną Centrum. “Przeżyjesz swój wiek i staniesz przed obliczem Zeusa, a ten wyciągnie do ciebie palec - tu mój przyjaciel zrobił groźny gest palcem wskazującym - i krzyknie: Idiota! Zmarnowałeś życie na zajmowanie się głupstwami!”

To prawda, że trudno mi wyzwolić się od myśli o Bałtach. Coś niecoś mogę jednak powiedzieć na swoje usprawiedliwienie. Zajmowanie się losem narodów, których ciała podeptał słoń Historii, świadczy o usposobieniu sentymentalnym i nie prowadzi na ogół do niczego - z tym mogę się zgodzić. Wściekłość, jaką się czuje czytając pamiętniki z szesnastego wieku, w których autorzy - przeważnie księża - notują niewysłowione okrucieństwa popełniane przez hiszpańskich konkwistadorów w Ameryce, jest bezużyteczna. Nie wskrzesi ona Karaibów wymordowanych przez gubernatora Ponce de Leon, ani nie poda garści strawy zbiegom z kraju Inków, ściganym w Kordylierach przez rycerzy wojujących wiarą i mieczem. Zapomnienie okrywa zwyciężonych i ktoś, kto by zbyt pilnie wczytywał się w rejestr minionych zbrodni, a co gorsza wyobraził sobie te zbrodnie w ich szczegółach, osiwiłby ze zgrozy albo stał się zupełnie obojętny. Że obszar nazywany Prusami Wschodnimi był kiedyś zamieszkały przez naród Prusów, których spotkał z ręki mówiących po niemiecku czcicieli Jezusa taki sam los, jaki spotkał Karaibów - znane jest historykom, ale w słowach historyków nie ma rozpaczki matek i cierpień dzieci, co jest być może słuszne. Cywilizacja używająca przydomka chrześcijańskiej zbudowana została na krwi niewinnych. Szlachetne oburzenie na tych, co dzisiaj próbują stworzyć inną cywilizację posługując się podobnymi środkami, nie jest pozbawione faryzeizmu. Kartoteki zbrodni będą przechowywane w miejscu ustronnym i bezpiecznym, a kiedy uczone przyszłych czasów sięgnie, poprzez kurz i pajęczynę, do tych tomów, uzna owe czyny za drobne występki w porównaniu z ogromem dokonanego dzieła. Bardziej prawdopodobne jest, że tych kartotek wcale nie będzie, gdyż, zgodnie z postępem, dzisiejsi władcy wyciągnęli konsekwencję z prostej prawdy, że co nie istnieje na papierze, nie istnieje w rzeczywistości.

Przypuśćmy, że tak się stanie. Jednakże nasz stosunek do teraźniejszości różni się od naszego stosunku do przeszłości - czy ktoś uznaje to za wadę, czy za zaletę. Żywy człowiek, chociażby oddalony o tysiące kilometrów, nie da się tak łatwo usunąć z pamięci. Jeżeli jest poddawany torturom, głos jego dosięga przynajmniej tych, którzy (co nie jest wcale dla nich wygodne) mają żywą wyobraźnię. A jeżeli nawet ten człowiek już nie żyje, to ciągle jest to jeszcze

teraźniejszość, bo ten, co go zabił czy wydał rozkaz zabicia, siedzi w jakimś punkcie kuli ziemskiej za stołem, na stole jest chleb, wędliny i herbata, a jego dzieci cieszą się przyniesionym przez niego prezentem. Wymaganie, żeby na to, co jest teraźniejsze, patrzeć jako na przeszłość i nie przejmując się, jak mówi mój przyjaciel, głupstwami oglądać przez historyczny teleskop dojrzewające owoce jutra - jest wymaganiem surowym. Jest chyba jakaś miara, której nie wolno się pozbyć, bo w przeciwnym razie dojrzewające owoce jutra okażą się zgniłe. Fakt, że tak myślę, wynika z tego, że ostatnie dwa tysiące lat widziały nie tylko zbirów, konkwistadorów i oprawców, ale że żyli i działali ludzie, dla których zło było złem i jako takie musiało być nazwane. Masowe rzezie, terror rewolucji, obłęd złota, nędza klas pracujących - tak, ale kto wie, do jakich te klęski doszłyby rozmiarów, gdyby każdy uważał, że wypada milczeć i akceptować. Mnie się zdaje, że nie chcąc akceptować bronię lepiej owoców jutra niż mój przyjaciel, który akceptuje. Biorę na siebie ryzyko błędu i płacę. Gdybym nie godził się na to ryzyko, zamiast tego, co piszę, pisałbym teraz odę ku czci Generalissimusa. Przy opanowaniu metier poetyckiego złożenie dźwięcznego, rytmicznego hołdu osobistości wybitnego męża nie jest szczególnie trudne (praca tego rodzaju przypomina pracę nad przekładem).

Kraje bałtyckie - Estonia, Łotwa i Litwa - leżą, jak wiadomo, na skraju wielkiego kontynentalnego masywu. Zatoka dzieli je od Finlandii, morze Bałtyckie od Szwecji. Narody, które je zamieszkują, nie są słowiańskie. Język Estów pokrewny jest z fińskim. Zbliżone do siebie języki Litwinów i Łotyszów są dotychczas zagadką dla uczonych: nie wiadomo, skąd przywędrowały te plemiona, aby osiedlić się w dolnym biegu Niemna i Dźwiny. Wiadomo tylko, że wytopieni Prusowie używali podobnego języka. Z tych trzech narodów tylko Litwinom udało się w przeszłości stworzyć duże państwo, którego granice sięgały do Dniepru, i utrzymać je przez czas pewien. Słabo zaludniony obszar trzech krajów był poddany, od chwili przyjęcia przez ludność chrześcijaństwa, silnej kolonizacji - głównie niemieckiej i polskiej. Wskutek kolonizacji powstała dwujęzyczność: istotni rządcy - a byli nimi właściciele dóbr ziemskich - mówili po niemiecku (Estonia i Łotwa) i po polsku (Litwa), częściowo dlatego, że przybysze przynieśli ze sobą swój język i obyczaje, częściowo dlatego, że miejscowe rody przejęły język i obyczaje przybyszów; lud natomiast używał języka rodzimego i przechował odrębną kulturę, wywodzącą się z zamierzchłych czasów. Po pierwszej wojnie światowej trzy kraje przestały być prowincjami rosyjskiego cesarstwa i uzyskały niepodległość. Radykalna reforma rolna usunęła wpływy właścicieli ziemskich. Narodowe języki stały się językami nowych państw, a literatura i szkolnictwo nawiązały do ludowych tradycji.

W roku 1939 ludność trzech krajów liczyła około sześć milionów, a więc nieco więcej niż ludność Chile, nieco mniej niż ludność Szwecji. Były to kraje rolnicze, utrzymujące równowagę

budżetów dzięki dobrze zorganizowanemu eksportowi bekonów, jaj, masła, zboża i drobiu do Europy Zachodniej. Pod tym względem przypominały Danię. Nie tylko zresztą pod tym względem. Kto zna styl życia farmerów, łatwo uzyska obraz egzystencji na tym nadbałtyckim terytorium. Dobrze rozwinięta spółdzielczość ułatwiała chłopu sprzedaż jego produktów. Stopa życiowa mieszkańców, sądząc z ich wyglądu, ich domów, ich sposobu odżywiania się, była wyższa niż w innych państwach Europy Wschodniej, z wyjątkiem może Czechosłowacji. Estończycy i Łotysze byli. w przeważającej większości protestantami, Litwini - katolikami. Wszystkie trzy narody cechował zaciekły patriotyzm, posuwany często do szowinizmu - co znajduje wytłumaczenie w przeszłości, twardej dla tych ludów. Militarne wszystkie trzy kraje były bezbronne.

Los trzech krajów rozstrzygał się w rozmowach pomiędzy Mołotowem i Ribbentropem. W jesieni 1939 roku Mołotow zażądał baz wojskowych. Rządy krajów bałtyckich skwapliwie udzieliły swojej zgody (prasa poświęciła wtedy wiele artykułów trwałej, niezłomnej przyjaźni z potężnym i dobrotliwym wschodnim sąsiadem). W czerwcu 1940 roku, pod pretekstem, że rządy nie zapewniają należytego bezpieczeństwa żołnierzom sowieckim stacjonującym w bazach, Armia Czerwona przekroczyła granice Łotwy, Litwy i Estonii. NKWD objęła władzę, a dotychczasowy aparat państwowy przestał istnieć.

Moja relacja o krajach bałtyckich nie jest zaczerpnięta z książek czy pism. Pierwsze światło, jakie widziałem w życiu, pierwszy zapach ziemi, pierwsze drzewo - były światłem, zapachem i drzewem tamtych okolic, bo urodziłem się tam, w mówiącej po polsku rodzinie, nad brzegiem rzeki o litewskiej nazwie. Wydarzenia te są dla mnie tak żywe, jak żywe jest tylko to, co czyta się z twarzy i oczu dobrze znanych nam ludzi.

Najazd Hiszpanów musiał być przerażającym doświadczeniem dla Azteków. Zwyczaje zdobywców były niepojęte, obrzędy religijne niezrozumiałe, drogi, jakimi chodziła ich myśl, nie do wyśledzenia. Inwazja Armii Czerwonej dla Estończyków, Łotyszów i Litwinów była nie mniejszym wstrząsem. Wprawdzie starsi ludzie pamiętali niewesołe czasy caratu - jednak to w niczym nie przypominało caratu, było stokroć gorsze. W ciągu lat, jakie dzieliły Rosję od upadku caratu, nie zbliżyła się ona do Europy, ale oddaliła - ku zasadom organizacji społeczeństw nigdy w Europie nie znanym. Myśli i reakcje zdobywców były równie obce dla podbitych, jak arkana teologii katolickiej i pojęcie kastylskiego honoru dla Azteków.

Zarządzono wybory do parlamentu. Wybory te nie przypominały jednak w niczym instytucji znanej dotychczas pod tą nazwą. Istniała tylko jedna lista kandydatów wystawiona przez nowe władze. Dlaczego więc miasta i wsie zasypane zostały ulotkami i broszurami propagandowymi, dlaczego głośniki nawoływały w dzień i w nocy, po co udekorowane portretami samochody ciężarowe, po co wieńce, wiece i trybuny? Jeżeli jest jedna lista i nie ma żadnego

wyboru, to po co propaganda? Ludność nic nie rozumiała. W dzień wyborów poszła jednak gromadnie głosować. Należało pójść: po oddaniu głosu otrzymywało się w paszporcie pieczętkę. Brak takiej pieczętki w paszporcie oznaczał, że właściciel paszportu jest wrogiem ludu - okazał złą wolę, nie chciał głosować. Wprawdzie ludność - naiwna - starała się oddawać kartki podarte, zabazgrane, tak aby głosy okazały się nieważne, uznawano je jednak za ważne i oznaczające "tak". Wynik był imponujący. Pierwszym aktem tak wybranych parlamentów stała się prośba o włączenie republik do Związku Radzieckiego. Prośbie tej stało się zadość.

Jednym z nowo wybranych posłów do litewskiego parlamentu był towarzysz mojej wczesnej młodości. Przejechaliśmy z nim kanadyjką wiele dziesiątków kilometrów różnymi rzekami Europy, topiliśmy się w wodospadach, wędrowaliśmy niedostępnymi ścieżkami górskimi, razem witaliśmy wschody słońca w dolinach Szwarzwaldu i między zamkami Nadrenii. Na kilka lat przed wybuchem drugiej wojny światowej stał się stalinistą. Chociaż podchodził z Warszawy i jego obecność na terenie państwa litewskiego w początku wojny była mniej czy bardziej przypadkowa, kandydatura jego została wysunięta (wobec znikomej liczby komunistów w tych krajach każdy był chętnie używany), a ponieważ wysunięcie kandydatury równało się wyborowi, został posłem. Dziwne to musiało być dla niego przeżycie: głosować za wcieleniem państwa, z którym nie łączyły go żadne związki, do innego państwa, znanego mu tylko z literatury propagandowej i urzędowych statystyk. Była to nowość, jakkolwiek odtąd miano się w Europie Wschodniej oswoić z podobnym reprezentowaniem poszczególnych krajów przez obcych, zmieniających nawet w razie potrzeby nazwiska.

Tak więc mieszkańcy krajów bałtyckich zostali obywatelami sowieckimi i musieli podporządkować się przepisom obowiązującym innych. Z punktu widzenia nowych władz ta masa ludzka, żyjąca zresztą na poziomie, w porównaniu z którym poziom życia innych obywateli Związku był nędzarski, przedstawiała się jako skandal, jako zabytek zamierchłej przeszłości. Należało ją poddać wychowaniu. Więzienia się zapełniły, a wkrótce rozpoczęły się masowe deportacje pewnych kategorii mieszkańców do obozów pracy, kopalń i kolchozów w głębi Związku, przeważnie do rejonów polarnych.

W roku 1941 obszar ten zajęła armia niemiecka. Naziści przystąpili z kolei do wymordowania kategorii ludności, którą zgodnie ze swoją doktryną uważali za niepożądaną, to jest wszystkich Żydów, niezależnie od ich przynależności klasowej, wieku i płci. Zadanie to wykonali z dużą precyzją. Równocześnie wywozili do Rzeszy duże ilości przymusowo werbowanych robotników. W roku 1944 kraje bałtyckie ponownie zajęła Armia Czerwona i Centrum przystąpiło do upodobnienia tego obszaru do innych obszarów państwa. Najpilniejszym zadaniem było zniszczenie dotychczasowej struktury rolnej, opartej na zamożnych gospodarstwach rolnych.

Kolektywizacja natrafiła jednak na znaczne przeszkody. Metoda "pogłębiania walki klasowej na wsi", to jest wykorzystania antagonizmów pomiędzy biednymi i bogatymi chłopami, dawała słabe wyniki; duża ilość broni pozostałej po działaniach wojennych i wyćwiczenie w partyzantce zachęcały do oporu. Chłopi uciekali w lasy i tam tworzyli zbrojne oddziały. Ekspedycje karne otaczały wsie i zabijały tych, co pozostali w domu. To wzmagало tylko opór, bo nieraz cała ludność okolicznych wsi, z dziećmi i kobietami, wolała przyłączyć się do partyzantów niż narażać się na pewną zgubę. Wobec wrogich nastrojów ludności należało uciec się do radykalnego środka, to jest do masowych obław, ładowania w wagony i wywozu na nie zaludnione obszary Euro-Azji. Lata, w których Europa Zachodnia zaczęła zażywać niepewnego i przerywanego chwilami paniki pokoju, nie były pokojowe dla krajów bałtyckich. Wsie, których mieszkańcy uciekli, zostali zabici albo wywiezieni, stały puste i obrabowane, wiatr gwizdał w wybitych oknach i wyważonych drzwiach. "Hitlerzy przychodzą i odchodzą, ale narody pozostają" - powiedział On, kiedy był już pewien zwycięstwa nad Niemcami. W stosunku do mniejszych grup ludnościowych zdanie to powinno być raczej zmienione na inne: "Narody przychodzą i odchodzą, ale kraje pozostają." "Litwa to budżet, no Litowców nie budżet" - powiedział w roku 1946 w rozmowie dygnitarz Centrum.

Ile ludności straciły te kraje, zanim ich gospodarcza struktura została przystosowana, to jest do roku 1950 - nie wiem i chyba nikt nie zna statystyki.

Wskaźnikiem mogłaby być ilość przybyszów z głębi Związku, kierowanych nakazem na miejsce opróżnione z tubylców. Proces nie jest zakończony. Na wieś przywożeni są kołchoźnicy, do miast kadry administracji i ich rodziny. W miastach słyszy się więcej języka rosyjskiego niż estońskiego, łotewskiego czy litewskiego. Wśród władz partyjnych i wyższych urzędników przeważają nazwiska rosyjskie, a z nazwisk miejscowych część jest przybranymi na doraźny użytek pseudonimami. Ludność Związku powinna być przemieszana: tylko roztapiając poszczególne narodowości "w rosyjskim morzu" osiągnie się cel - to jest jedną kulturę i jeden język uniwersalny. Terytorium łączące kiedyś państwa bałtyckie z Niemcami, to jest pogranicze Prus Wschodnich, zostało zasiedlone ludnością rdzennie rosyjską; tamtejsze większe miasto Königsberg, w którego murach urodził się i spędził całe swoje życie Kant, przemianowane zostało na Kaliningrad i nie różni się już od Tuły czy Samary. Z wysp położonych przy brzegach Estonii estońscy rybacy nie wyruszają już na połów. Kocioł, w którym gotują się narody bałtyckie, powinien być szczelnie zamknięty.

Szkoły i uniwersytety oczywiście używają języków rodzimych. Również książki. Niszczenie narodowości nie jest przecież celem. Celem jest niszczenie klasowego wroga. Kiedy młodzież nauczy się po litewsku, estońsku czy łotewsku, jak być dobrymi patriotami Związku i jak należy cenić wszystko, co pochodzi z Centrum, język rosyjski wyjdzie zwycięsko z konkurencji i

przejdzie się do wyższej fazy świadomości.[“Podszedłem do portretu Stalina, zdjąłem go ze ściany i postawiwszy go na stole, z twarzą w dłoniach, patrzyłem i rozmyślałem. Co powinienem zrobić? Twarz Wodza jak zawsze tak spokojna, jego oczy patrzące tak jasno, dalekosiężnym spojrzeniem. Zdawało mi się, że to przenikliwe spojrzenie przebija ściany mego małego pokoju i wybiega w przestrzeń, aby ogarnąć cały glob. Nie wiem, co pomyślałby o mnie ktoś, kto by zobaczył mnie w tej chwili. Ale każdym moim słowem, każdym moim gestem, każdą kroplą krwi czułem, że w tej chwili nic dla mnie w całym świecie nie istnieje prócz tej najdroższej, ukochanej twarzy. Co powinienem zrobić? «Rząd sowiecki rozprawia się z wrogami ludu w sposób zdecydowany... To twoje słowa, towarzyszu Stalinie. Wierzę im święcie. Teraz wiem, jak postąpić.”]

Skądże tu powód do gniewu? Świątek krajów bałtyckich był to świątek znany z wiejskich obrazów Breughla. Ręce ściskające szklanice, roześmiane czerwone gęby, niedźwiedzia ociążała dobroduszość, cnoty chłopskie: pracowitość, gospodarność, zapobiegliwość, i grzechy chłopskie: chciwość, skąpstwo, ciągła troska o przyszłość. Proletariat był nieliczny, przemysł słabo rozwinięty, reforma rolna rozdzieliła większą własność rolną pomiędzy chłopów. Czemuż by to miało trwać? Niewybaczalny anarchizm kułactwa musiał być zniszczony, a stopa życiowa obniżona, tak aby zrównała się ze stopą życiową ludności w reszcie Związku. Co do drastycznych metod, to ostatecznie każdy musi kiedyś umrzeć. Założmy, że znaczny procent ludności został zniszczony przez dżumę, a nie przez ekspedycje karne. Z chwilą kiedy uznamy historyczną konieczność za rodzaj dżumy, przestaniemy ronić łzy nad losem ofiar. Dżuma czy trzęsienie ziemi nie wywołują na ogół oburzenia. Stwierdza się katastrofę, odkłada się gazetę i je się dalej spokojnie śniadanie. Bo buntować się można tylko przeciwko komuś. Tutaj tak samo nie ma nikogo. Ludzie dokonali tego w pełnym przeświadczeniu, że wypełniają historyczną powinność.

A jednak list, który miałem w ręku, był przykry. Pochodził od rodziny deportowanej w marcu 1949 roku z jednego z krajów bałtyckich na Syberię i adresowany był do krewnych w Polsce. Rodzina składała się z matki i dwóch córek. List opisywał sucho i zwięźle prace, jakie wykonywały w kołchozie za Uralem. Końcowe litery poszczególnych linijek były lekko zgrubione i czytając pionowo otrzymywało się słowa “wieczne niewolnice”. Jeżeli taki list przypadkowo trafił do mnie (odwiedziłem człowieka, który go otrzymał, przecie nie wiedząc nic o liście) - to ileż innych, podobnie zamaskowanych oznak rozpaczki dotarło do osób, które nie zrobiły z nich, bo nie mogły zrobić, żadnego użytku. I, obliczając matematycznie, ile takich listów zostało nie napisanych i iluż tych, co mogli byli je napisać, umarło w nieprzyjaznych strefach Północy z głodu i przepracowania, powtarzając sobie te beznadziejne słowa: “niewolnik na wieczność”?

Matka i dwie córki, jeżeli żyją, noszą w tej chwili może wodę ze studni i matka martwi się niedostateczną porcją chleba otrzymaną przez nie jako zapłata. Może nachodzi ją też troska o

przyszłość córek. Mieszkaniec New Yorku przeniesiony do wioski w Kongo czułby się tak mniej więcej jak Bałt za Uralem: taka jest różnica w czystości, higienie i najbardziej nawet powierzchownych znamionach cywilizacji. Ci, co byli tam, potwierdzą, że nie kłamię. Matka umrze, ale córki muszą pozostać na zawsze, bo z takich deportacji nie ma powrotu. Będą zmuszone wyjść za mąż i zamknąć w sobie coś, co jest niezrozumiałe dla otoczenia, coś, czego nie będą zdolne przekazać swoim mówiącym po rosyjsku dzieciom.

Możliwe, że ani matka, ani córki nie odznaczały się szczególnymi zaletami. Matka chodziła z grubą książką do nabożeństwa co niedziela do kościoła, ale w domu była piekielnicą i okazywała chorobliwe skąpstwo. Córki miały w głowie tylko fatałaszkę i sobotnie tańce na murawie, lubiane w ich rodzinnych stronach. Nie czytały żadnej poważniejszej książki, obce im były nazwiska Platona i Hegla, Marksa i Darwina. Wywieziono trzy kobiety, bo były kułaczkami. Ich farma miała około trzydziestu hektarów ziemi. Korzyść dla ludzkości z ich spokojnego życia na gospodarstwie była, poza pewną liczbą kilogramów wyprodukowanego sera i masła, minimalna. Powstaje pytanie: wolno czy nie wolno zniszczyć trzy takie istoty w imię wyższych celów? Murti-bingiści odpowiadają, że wolno. Chrześcijanie i pseudochrześcijanie, że nie wolno. Ani jedni, ani drudzy nie są całkowicie konsekwentni. Dziewięćdziesiąt procent argumentów, używanych przez murti-bingistów w ich propagandzie zwróconej do szerokich mas, powołuje się na krzywdę człowieka. Na dnie ich emocjonalnych sloganów zawsze tkwi apelowanie do moralnego oburzenia. Chrześcijanie twierdzą, że nie należy nikogo krzywdzić, bo każdy człowiek jest cenny, ale wygłoszący tak piękną opinię nie kiwną już palcem, żeby mu pomóc. Nie tylko nie obchodzi ich los Bałtów, ale są obojętni na inne rodzaje zniszczenia niż obławy i przymusowe wysyłki. Na przykład śmierć duchową szerokich mas, w dzień ciężko pracujących, wieczorem skazanych na truciznę kina i telewizji, uważają za rzecz całkiem normalną.

Pablo Neruda, wielki poeta Ameryki Łacińskiej, pochodzi z Chile. Tłumaczyłem wiele jego wierszy na polski. Cieszyłem się, kiedy udało mu się uciec z rodzinnego kraju przed aresztowaniem. Pablo Neruda jest komunistą. Wierzę mu, kiedy pisze o nędzy swojego ludu, i cenię go za jego wielkie serce. Ponieważ Neruda pisząc myśli o swoich braciach, a nie o sobie, dana mu jest w nagrodę potęga słowa. Kiedy jednak przeciwstawia obłudowi świata kapitalistycznego szczęśliwe, radosne życie ludzi Związku Radzieckiego, przestaję mu wierzyć. Wierzę mu, dopóki pisze o tym, co wie. Przestaję wierzyć, kiedy zaczyna pisać o tym, co ja wiem. Oto jest rozbieżność pomiędzy wyznawcami ze Wschodu i wyznawcami z Zachodu. Komunistą z Zachodu potrzebuje wizji złotego wieku, który już realizuje się na ziemi. Murti-bingista ze Wschodu dokłada wszelkich starań, aby tę wizję w umysłach ugruntować, ale nie zapomina, że jest to użyteczne kłamstwo. Rozumowanie jego jest poprawne. Rozmaite rewolucje znały momenty

terroru zastosowanego wobec przeciwników nowego porządku. Nikt dzisiaj nie płacze nad francuskimi arystokratami, których głowy spadły na gilotynie. Dotychczasowe rewolucje były jednak drobnymi wydarzeniami w porównaniu z rewolucją, jaka dzisiaj się dokonuje. Zmierzały one do obalenia nielicznej klasy, stojącej w poprzek dążeniom twórczym i sztucznie hamowanych sił. Dzisiejsza rewolucja nie może się zadowolić chwilą terroru potrzebną do utrwalenia nowej władzy. Walka klasowa trwa, dopóki ekonomiczna podstawa, na której może opierać się wróg klasowy, nie zostanie usunięta: przedmiotem działania rewolucji są wielomilionowe masy drobnych wytwórców, to jest chłopów i rzemieślników, jak również prywatnych sprzedawców usług. Stały opór ze strony tych mas, krnąbrność ich psychiki korzystającej z każdej okazji, aby odradzać dawne formy gospodarki, wymaga stanowczych środków. Należy do tego dodać, że rewolucja zwyciężyła w kraju zacofanym i że w każdej chwili, od roku 1917, grozi regresja, czy to w postaci wewnętrznego rozkładu, czy zbrojnej interwencji z zewnątrz. Zrozumiałe jest więc, że chwila terroru dawnych rewolucji rozciąga się w rewolucji Największej na długie dziesiątki lat. A gdzie jest terror i nędza, nikomu nie może być dobrze. Złoty wiek należy do przyszłości. Centrum obwieściło, że jest już na etapie zrealizowanego socjalizmu i dąży do następnego etapu, to jest komunizmu. Trzeba więc oczekiwać nowego etapu. Moment obecny, oglądany z dystansu, na przykład z roku 2950, wyda się równie krótki, jak nam wydają się lata terroru Wielkiej Rewolucji Francuskiej, a liczba dwustu czy trzystu milionów ofiar nie wzbudzi większego zainteresowania niż iluś tam tysięcy francuskich arystokratów.

Wyobraźmy sobie spotkanie dwóch przekonanych zwolenników Centrum (opis opieram na starannej obserwacji podobnych spotkań). Jeden z nich pochodzi ze Wschodu. Ma za sobą trzy lata spędzone za bramami więzień i obozów pracy przymusowej tam. Nie załamał się i nie zmienił swoich przekonań. Jakkolwiek był niewinny, uważał, że gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą, i że mniejszy czy większy procent niewinnych wśród jego współwięźniów nie dowodzi niczego: lepiej jest skazać dwudziestu niewinnych niż wypuścić jednego szkodnika. Przetrzymanie zwycięsko tej próby jest źródłem siły moralnej dla niego i szacunku, jakim cieszy się wśród kolegów z Partii. Wie on, że kraj, który poznał dobrze od strony maszynerii ukrytej za sceną, jest padołem nędzy i zgrzytania zębami. Jednak pewność historycznej konieczności i wizja odległych owoców jutra sprawiają, że rzeczywistość istniejąca w ciągu kilku dziesiątków lat nie wydaje mu się szczególnie ważna. Drugi jest komunistą zachodnim. Uwaga jego jest zwrócona przede wszystkim ku nieprawościom ustroju, w którym żyje. Pełen jest szlachetnego oburzenia i tęsknoty do realizacji odbywającej się tam, skąd przyjeżdża jego towarzysz. Towarzysz patrzy na niego życzliwie i słowa, jakie wypowiada, ściśle odpowiadają oczekiwaniom. Czasem tylko w oczach ukaże się ledwie dostrzegalna iskierka humoru. To jest ludzkie, nie można mieć do niego o to pretensji.

Humor jest lekko zaprawiony zawiścią. Moralne oburzenie i entuzjazm tamtego są już dla niego nieosiągalnym luksusem moralnej wygody. Gdyby człowiek, który z nim rozmawia, wiedział, gdyby przeżył to co on, jak by wyglądała jego wiara? Doświadczenie wykazało, że większość tych zachodnich nie wytrzymuje nerwowo dłuższego pobytu w Centrum. Dawka jest dla nich za mocna. Mogą być bardzo użyteczni jako misjonarze wśród pogan albo wtedy, gdy ich kraj jest zajęty przez armię wyzwalającą. Kiedy nie ma odwrotu, ich wewnętrzne wątpliwości nie zrobią już sprawie większej szkody.

Wspomniałem o Nerudzie. Zagadnienie Bałtów jest dziesięć razy ważniejsze dla każdego współczesnego poety niż sprawy stylu, metryki i metafory. Jedyłą poezją godną tej nazwy jest dzisiaj poezja eschatologiczna, to jest taka, która zaprzecza dzisiejszemu nieludzkiemu światu w imię wielkiej przemiany. Czytelnik szuka nadziei i nie dba o poezję, która pojmuje to, co go otacza, jako stałe. Jeżeli ktoś jest obdarzony tym bliżej nie zbadanym wewnętrznym ładunkiem, jaki nosi nazwę poezji - nie zdoła się oprzeć powszechnemu oczekiwaniu i będzie szukał, przewracając się, wstając, znów padając i dźwigając się na nowo, bo wie, że taki jest jego obowiązek. Poezja rewolucjonistów stoi na ogół wyżej artystycznie niż poezja artystów kameralnych, bo treść bliska pragnieniom ludzkim wyzwala słowa z powijaków przejściowej literackiej mody. Słabość poezji rewolucyjnej pojawia się tam, gdzie zaczyna ona słać upragnioną przyszłość jako już dokonaną czy dokonującą się w części kuli ziemskiej. Trudność aprobaty nie polega na tym, "pozytywne" wartości są sprzeczne z samą zasadą literatury. Trudność aprobaty polega na tym, że aby aprobata była skuteczna, musi być oparta na prawdzie. Niezgodność słów z rzeczywistością mści się, nawet jeżeli autor działa w dobrej wierze. Sentymentalizm, to jest takie eksploatowanie uczuć, że stają się one celem samym w sobie, w oderwaniu od przedmiotu, który je spowodował, nie prowadzi do dobrego pisania. Rzeczywistość sprawdza literaturę prędzej czy później. Przemyślny sposób całkowitego izolowania się od rzeczywistości, praktykowane przez pisarzy murti-bingistów, są zastanawiające. Znany jest mi poeta, który po pakcie Mołotow-Ribbentrop i wybuchu drugiej wojny światowej znalazł się w jednym z miast zajętych przez Armię Czerwoną. Poeta bardzo bał się, bo w mieście przeprowadzano liczne aresztowania i coraz to ubywało ktoś z jego przyjaciół i znajomych. W panice zasiadał do pracy i spod jego pióra wychodziły pogodne poematy, przedstawiające błogosławieństwa pokoju i entuzjazm socjalistycznego budownictwa. Zapamiętałem wiersz, w którym pochwałił "szczęśliwe, zamożne kołchozy" sowieckiej Ukrainy. W kilka miesięcy później, kiedy armia niemiecka rozpoczęła inwazję, ludność "szczęśliwych, zamożnych kołchozów" witała Niemców jako oswobodzicieli spod jarzma i dopiero bezmyślne okrucieństwa zdobywców przekonały ją, że była w błędzie. Co nie jest żadnym argumentem

przeciwko ustrojowi: parę dziesiątków lat jest zbyt krótkim okresem wychowawczym. Jest to natomiast argument przeciwko wierszom poety.

Dwoistość miar etycznych, stosowanych do tego, co dzieje się poza Imperium i w jego granicach, uniemożliwia uczciwą literaturę. Rozumowanie dialektyczne może być zupełnie w porządku, ale sztuka nie rodzi się z rozumowania dialektycznego: czerpie ona ze znacznie głębszych i bardziej pierwotnych pokładów, złożonych w człowieku przez pokolenia. Ten fakt może być nie na rękę rządcom-filozofom, którzy by chcieli widzieć literaturę czysto dialektyczną, karmiącą się zrozumieniem historycznych procesów. Niemniej to, co nagradzają jako literaturę, jest tylko jej pozorem. Uczucia wciśnięte przemocą pod powierzchnię zatruwają całe dzieło i nadają mu połysk fabrykatu. Ten połysk ostrzega odbiorcę: uwaga, produkcja seryjna. Najszlachetniejsze słowa mają wtedy martwość ornamentu.

Przypuśćmy, że uznajemy niezbędną terrorku w okresach rewolucji i że Bałtowie, jako grupa antyrewolucyjna, powinni być w niezbędnym stopniu zniszczeni. Zaraz jednak powstaje wątpliwość, czy można stawiać znak równania pomiędzy terrorem chwilowym, improwizowanym, i terrorem trwającym długo. Nie wiadomo, czy oglądając z perspektywy tysiącleci wypadki naszego wieku ktoś uzna gilotynę i wywózki całych grup narodowościowych, praktykowane w ciągu kilkudziesięciu lat, za zjawiska tożsame. Rok i dziesięć lat nie równają się sobie. Element czasu zmienia jakość czynów. Terror uprawiany długo wymaga stałego aparatu i zyskuje trwałość instytucji. Wywiezieni mogą chcieć uciekać. Krewni wywiezionych nie są bynajmniej zachwyceni i wskazane jest włączyć ich na następną listę. Rodziny krewnych są elementem niepewnym i można je utrzymać w ryzach tylko przy pomocy strachu, że spotka je podobny los. Ponieważ chłopci, z których uczyniono siłą pracowników kolchozów, pracują niechętnie i są raczej obojętni na zyski nie płynące do ich kieszeni, zachętą może być tylko strach. Strach jest zresztą cementem społeczeństw znanym od dawna. W gospodarce liberalno-kapitalistycznej strach przed brakiem pieniędzy, przed utratą pracy, przed zejściem o szczebel niżej na drabinie społecznej popycha człowieka do wysiłków. Tutaj pojawia się jednak strach nagi. W mieście kapitalistycznym, liczącym sto tysięcy ludzi, na przykład dziesięć tysięcy mogło przeżywać strach z powodu bezrobocia czy możliwości utraty pracy. Ten strach przedstawia się im jako sytuacja indywidualna, tragiczna z powodu obojętności i nieczułości otoczenia. Jeżeli jednak sto tysięcy ludzi żyje stale w strachu, wytwarzają oni aurę zbiorową, która ciąży nad miastem jak wielki obłok. Złoto alienuje człowieka od niego samego, czyni go karłem. Nagi strach postawiony na miejsce kapitału alienuje człowieka nie mniej, a nawet znacznie bardziej skutecznie.

Przeciwko władzy strachu przewidziane są środki: wychowanie nowego człowieka, dla którego praca przestałaby być przekleństwem Adama, a stała się radością i dumą. Olbrzymia

literatura służy temu celowi. Pisma, książki, film, radio mają za temat zarówno tę przemianę człowieka, jak budzenie nienawiści do wrogów, którzy by tę przemianę chcieli uniemożliwić. W miarę jak człowiek będzie uczył się wykonywać swoje obowiązki względem społeczeństwa dobrowolnie i z radością, dawki strachu będą zmniejszane. Tak narodzi się wreszcie człowiek wolny.

Czy narodzi się przy użyciu stosowanych metod, jest kwestią wiary. Jeżeli wszystko na świecie jest poddane rozumowo poznawalnym prawom, jeżeli wolność jest niczym więcej niż zrozumieniem tej powszechnej racjonalnej konieczności, jeżeli człowiek zdolny jest osiągnąć pełną świadomość, dla której to, co konieczne, i to, czego powinno się chcieć, są jednym i tym samym - wtedy nowe wolne społeczeństwo jest możliwe w przyszłości. W tym znaczeniu komunista, który spędził trzy lata w więzieniach i obozach pracy przymusowej, był wolny, ponieważ środki zastosowane wobec niego i jemu podobnych uważał za racjonalne i konieczne. W tym też znaczeniu mają rację pisarze demokracji ludowych, kiedy twierdzą, że człowiek wolny już narodził się, a jest nim człowiek sowiecki. Jeśli jednak świadomość boska (dla bóstwa nie istnieje wybór, bo nie potrzebuje wybierać, kto widzi wszystko jasno) nie jest człowiekowi dostępna, zawsze pewna część ludzi dokona wyboru błędnego z punktu widzenia rządzących filozofów, a osłabienie napięcia strachu będzie grozić przewrotem. Nagi strach więc będzie równie mało skłonny do dobrowolnej abdykacji jak kapitał. Młody człowiek w Moskwie, urodzony i wychowany w nowym ustroju, jest na złej drodze, kiedy dokonuje wyboru i sięga po Dostojewskiego, który podobny dylemat rozwiązywał pesymistycznie.

Tymczasem jest jednak sprawa Bałtów. Postępowanie w stosunku do nich nie jest bynajmniej bezmyślnym okrucieństwem. Los ich jest dokładnie taki sam jak innych narodów mieszkających w granicach Związku. Nie widać powodów, aby miano ich traktować inaczej. Jaskrawość wypadku polega na tym, że zostali nagle włączeni i że byli zupełnie nie przygotowani do nowych warunków, bo nie przeszli przez żadne stadia pośrednie. Poza tym stali znacznie wyżej cywilizacyjnie niż reszta obywateli i, nie będąc Słowianami, mają trudności w uczeniu się języka rosyjskiego (widziałem w filmie sowieckim małą Estonkę recytującą wiersze Puszkina; jej wymowa była bardzo śmieszna). Niewątpliwie różnice narodowościowe są tutaj poważnym problemem.

Z chwilą osiągnięcia zwycięstwa i stadium socjalizmu "na całej kuli ziemskiej narody mają stopniowo przestać istnieć; wytworzyć się ma jeden język uniwersalny, który, jak powiada On, nie będzie ani rosyjskim, ani niemieckim, ani angielskim, a raczej stopem różnych języków. Można przypuścić, że zanim się to dokona, na znacznych obszarach globu przyjmie się już język rosyjski, który zresztą będzie później stanowił podstawę nowego języka uniwersalnego (mówi się przecież,

że francuski był językiem feudalizmu, angielski językiem kapitalizmu, a rosyjski jest językiem socjalizmu). Istnienie narodów nie nadaje się do racjonalnego uzasadnienia, natomiast w obecnej fazie należy się z nim liczyć jako z faktem. Wskazane jest popieranie rozwoju kultur narodowych, w tym jednakże tylko stopniu, w jakim to przygotowuje przejście do dalszej fazy. Co zbliża kulturalnie dany naród z narodem rosyjskim, godne jest opieki. Również godne jest opieki wszystko, co sprzyja utrwaleniu ustroju. W dziedzinie naukowej można nawet zachęcać narody do współzawodnictwa, pod warunkiem, że szacunek dla prymatu nauki rosyjskiej będzie zachowany (w jednej z demokracji ludowych odradzono delikatnie grupie uczonych publikację wyników ich działań naukowych, gdyż wyniki te były zbyt dobre i mogłoby to robić wrażenie konkurencji z nauką rosyjską na tym polu). Stale trzeba mieć przed oczyma cel odległy, to jest stopienie się narodów w jedną całość. Z tego względu nacjonalizm zasługuje na bezwzględne tępienie. Nacjonalizm można określić jako przeświadczenie, że kultura narodowa polega na “narodowej treści w narodowej formie”, podczas gdy wiadomo jest, że treść kultur narodowych była dotychczas zawsze klasowa. Przeciwnością nacjonalizmu jest formuła “kultura narodowa w formie, socjalistyczna w treści”, a ponieważ naród rosyjski dokonał rewolucji i ustalił wzory kultury socjalistycznej, czerpiąc ze swojego dorobku, nacjonalizm można też krótko określić jako antyrosyjskość. Mniejsze grupy narodowościowe, jeżeli chorują na antyrosyjskość, da się likwidować w całości (np. z powodzeniem dało się wywieźć z Półwyspu Krymskiego cały naród Tatarów krymskich). Jeżeli chodzi o większe narody, proces walki z antyrosyjskością jest rozłożony na długie etapy. Na Ukrainie można odnotować znaczne sukcesy. Coraz więcej młodych pisarzy ukraińskich przenosi się do Moskwy i pisze po rosyjsku. Poeci i krytycy ukraińscy, którzy chcieli tworzyć odrębną literaturę ukraińską, już nie żyją. Nie żyją też aktorzy, którzy byli dumni z narodowego teatru i posunęli się zbyt daleko, chcąc współzawodniczyć z teatrem rosyjskim. W krajach bałtyckich rzecz jest na jak najlepszej drodze. Co do demokracji ludowych, to schemat zastosowany jest inny i długofalowy program, realizowany z powodzeniem, jest modyfikacją doświadczeń zrobionych już dawniej.

Zadanie jest trudne, bo poszczególne narody są obciążone własną przeszłością i skłonne uważać za swoją - kulturę klas posiadających, na przykład narody bałtyckie - kulturę swoich kułaków. Przeciwstawiają tę kulturę kulturze rosyjskiej. Jak można jednak porównywać! Naród rosyjski jest wielkim narodem; nosił on w swoim łonie rewolucję jak matka nosi płód. Jego przeszłość, brzemiennej w największe dokonanie w dziejach, tylko bluźnierca zechce porównywać z przeszłością narodów, które zostały przez naród rosyjski wyzwolone. Naród rosyjski jest zbawcą świata.

Żadnych okrucieństw się nie popełnia. Zabija się tych, których trzeba zabić, torturuje się tych, od których trzeba zdobyć zeznania, deportuje się grupy, które trzeba deportować. Jeżeli łatwo giną przeniesieni w obce sobie warunki, to wina klimatu, ciężkiej pracy i niedostatecznego odżywiania - a tego nie można zmienić na obecnym etapie. Trudno żądać, żeby kraj, który dźwiga na sobie tak wielkie posłannictwo, zaopatrywał swoich więźniów tak jak Anglia swoich żołnierzy. Możliwe, że nie umieraliby wtedy tak prędko, ale ich praca przestałaby się opłacać. A zresztą zanim żywność dotrze do więźniów, administracja obozów ją rozkradnie. Wszystko zmieni się, kiedy stopa życiowa się podwyższy. Wtedy i więźniom będzie lepiej.

Wywód powyższy nie jest pozbawiony godnej podziwu dalekowzroczności. Narody Europy Środkowej i Wschodniej były nacjonalistyczne do szaleństwa i gotowe masakrować się wzajemnie, byle zdobyć od swego sąsiada skrawek terytorium. Dzisiaj widzą, jakie to było nierozsądne (co zresztą prawdopodobnie nie powstrzymałoby ich od skoczenia sobie nawzajem do gardła, gdyby znikła kontrola Centrum). Pod rządami Centrum godzą się na wzajemne ustępstwa: Polacy ustąpili swoje terytoria wschodnie, Niemcy zaakceptowali linię Odra-Nysa, Czesi i Węgrzy nie roszczą już pretensji do Rusi Zakarpackiej. W republikach znika zagadnienie mniejszości, wszystkie one przejmują jednolity wzór gospodarczy i kulturalny z Centrum i rzeczą, która je różni, jest jeszcze język. Trudno zaprzeczyć słuszności wielkiego planu.

Jedynym kłopotem jest pacjent, który wrywa się i krzyczy. Flaubert w "Madame Bovary" opisuje operację "pied bot", przeprowadzoną przez doktora Bovary. Ten prowincjonalny lekarz do spółki ze swoim przyjacielem, aptekarzem Homais, postanowił uleczyć posługacza z miejscowej oberży, który był kulawy. Po wielu trudach dało się go namówić, aby poddał się zabiegom. Doktor Bovary obłożył się podręcznikami medycznymi i na jego polecenie skonstruowano drewnianą skrzynkę wagi ośmiu funtów, zaopatrzoną wewnątrz w żelazne haki, śruby i skórzane siodełka.

Operacja udała się znakomicie, po czym nogę zaśrubowano w skrzynkę. "Chwała! Po trzykroć chwała! - wykrzykiwał miejscowy dziennik. - Oto okazja, aby zawołać, że ślepi przejrzą, a kulawi będą chodzić! Ale co niegdyś fanatyzm obiecywał swoim wybrańcom, to nauka zapewnia dzisiaj wszystkim ludziom!" Niestety po pięciu dniach z pacjentem zaczęło dziać się coś niedobrego. Ryczał z bólu. Otworzono skrzynkę i stwierdzono, że noga jest spuchnięta i pokryta wrzodami. Dwaj przyjaciele zdecydowali, że widocznie zaśrubowana była za słabo. Przykręcono śruby. A jednak pacjent miał się coraz gorzej. Lekarz wezwany z sąsiedniego miasteczka stwierdził gangrenę i nogę amputował. Oczywiście Flaubert był złośliwcem i wyszydzał kult postępu pana Homais. Nie oznacza to bynajmniej, że operacje przeprowadzane przez dobrych lekarzy nie mogą się udać. Zawsze jednak pozostaje wątpliwość, czy lekarz, z którym mamy do czynienia, jest lekarzem dobrym.

“To wszystko jest właściwie nudne - powiedział mi dygnitarz jednego z krajów demokracji ludowej. - Widziałem to już w Rosji. Etapy są z góry wymierzone i następują po sobie z matematyczną dokładnością. Jedyne, co jest ciekawe, to jak reaguje ludzki materiał.”

Ludzki materiał zdaje się mieć szczególną cechę: nie lubi, kiedy go się uważa tylko za ludzki materiał. Poczucie, że trzeba się całkowicie poddać posunięciom ustalonym w Centrum i pozbyć się jakiegokolwiek wpływu na zmiany, łatwe co prawda do logicznego wytłumaczenia *ex post*, ale zawsze zaskakujące - jest dla materiału ludzkiego trudne do zniesienia.

System parlamentarny może być w wielu wypadkach fikcją, zapewniającą władzę zawsze tym samym grupom społecznym. Niemniej możliwość pójścia do urn wyborczych i złożenia swego głosu przeciwko komuś ma wartość ożywczego toniku. Również udział w manifestacji wymierzonej przeciwko jakiemuś ministrowi, akcja strajkowa czy czytanie prasy opozycyjnej dostarczają chwil emocjonalnego wyładowania, prawdopodobnie bardzo potrzebnych. Duma narodowa może być uczuciem absurdalnym, ale duma koguta spacerującego po własnym podwórku między kurami, nie mniej absurdalna, jest biologicznie użyteczna. Zrozumieniu motywów psychologicznych trzeba przypisać środki oddziaływania na masy, zastosowane przez rządzące Centrum. Olbrzymie pochody, sztandary, portrety wodzów; propagandę w czasie wyborów, która z punktu widzenia zdrowego rozsądku jest wyrzucaniem pieniędzy, bo jest jedna lista i wynik jest z góry przewidziany; manifestacje nienawiści do wrogów. Również duma narodowa jest wzięta pod uwagę: służyć jej mają narodowe sztandary, codziennie podawane wiadomości o osiągnięciach gospodarczych czy kulturalnych kraju, nowych gmachach, szosach, kolejach i pomyślnym wykonaniu planów produkcyjnych. Działanie jest skuteczne dzięki powtarzaniu tych samych haseł. Brak jest jednak jakiegoś nieuchwytnego elementu i materiału ludzki jest dręczony przez poczucie fikcji. Nic nie jest spontaniczne. We własnej pracy zawodowej można uzyskać słuszną dumę. Kiedy jednak sięga się dalej, wszystko jest zdeterminowane. Już nazajutrz może gdzieś w górze zapaść decyzja usuwająca cały rząd, przesuwająca granice kraju - czy też pojawić się nakaz, że należy nienawidzić tych, których wczoraj uważało się za przyjaciół. Ujścia dla dumy narodowej są widocznie niedostateczne, skoro stan umysłów Estończyków, Litwinów, Łotyszów, Polaków, Czechów, Węgrów, Rumunów i Bułgarów usprawiedliwia przypuszczenie, że od zarzynania każdego Rosjanina, jaki nawinie im się pod rękę, powstrzymuje ich tylko strach; i można sądzić, że również kadry partyjne tych krajów nie odmówiłyby sobie tak dużej przyjemności. Można ubolewać nad zacofaniem tych narodów i wyrażać nadzieję, że wychowanie socjalistyczne to zmieni. Nie należy jednak zamykać oczu na przykrą rzeczywistość. Co gorzej, dałoby się podobne przypuszczenie snuć o narodach cierpliwie i od znacznie bardziej dawna wychowywanych.

Włączenie krajów bałtyckich dla mieszkańca Chile czy Meksyku wyda się incydentem bez znaczenia. Co innego dla wielomilionowych mas ludności demokracji ludowych. Od szeregu lat rozważają one w myślach ten niezwykły bądź co bądź postępek wielkiego mocarstwa, znajdujący analogię tylko w polityce państw kolonialnych. Jeżeli wielki Związek jest federacją i może wchłonąć dowolną liczbę republik, to kiedyś musi przyjść kolej na inne kraje. Jeżeli to, co tam się stało po włączeniu, ma być prefiguracją rzeczy, które nastąpią, to należy oczekiwać masowych deportacji i zasiedlania miast i wsi przybyszami z głębi euro-azjatyckiego kontynentu. Moment taki przedstawia się świadomości obywateli krajów, o których propaganda lubi mówić jako o suwerennych, jako Sąd Ostateczny. Włączenie krajów bałtyckich stało się poważnym czynnikiem psychologicznym. Sporządzając swój codzienny rachunek słów i uczynków obywatel mierzy je nie tyle doraźną ich użytecznością, ile tym, jak mu będą one poczytane w przyszłości, w owym decydującym dniu.

Mój przyjaciel, który ostrzegł mnie przed gniewem Zeusa, jest filozofem. Pędzi życie wśród książek i wie, że niezależnie od drzenia materiału ludzkiego nie zabraknie mu pięknych wydań Lukrecjusza drukowanych w Moskwie. Im bardziej będzie rosła Wielka Budowla, tym więcej będzie pojawiać się wydań klasyków i człowiek mądry, gardzący nędzną współczesną literaturą, zgarnie zawsze wiele słodyczy z historii filozofii, z dawnych pisarzy i ze skomplikowanych a pasjonujących studiów nad materializmem dialektycznym. W istocie nie może być nic lepszego dla filozofa niż żyć w kraju rządzonej przez ludzi, w porównaniu z którymi prezydenci, królowie i premierzy minionej ery byli zaledwie improwizatorami. Każdy dzień upływa mu na wyteżonej pracy umysłowej, a kiedy spotyka się z podobnymi sobie, wie, że są to uczeni, którzy nie marnują czasu i czerpią jak on z krynicy dialektyki. Spotkania tych ludzi nie mają w sobie nic z bezpłatnych i nieobowiązujących dywagacji inteligentów. Są to spotkania naukowców społecznej budowy. Mój przyjaciel nie wierzy w "filozofowanie". Człowiek jest zwierzęciem społecznym, a jego myślenie jest odbiciem ruchu materii. Poszukiwacze prawdy są pajacami, tym bardziej godnymi pogardy, że usiłują zaprzeczać, jakoby to, co myślą, było tylko odbiciem historycznych procesów. Są to reakcyoniści, gdyż służą interesom wrogim proletariatu, który, dźwigając się, z nieuniknioną koniecznością wytworzył jedynie słuszną metodę dialektycznego materializmu. Zwycięstwo Związku Radzieckiego jest równie pewne, jak pewne jest to, że drzewa wypuszczają liście na wiosnę. Człowiek, który zrozumiał konieczność, jest szczęśliwy i wolny, bo poza zrozumieniem konieczności wszelka inna wolność jest iluzją. Mój przyjaciel sądzi, że ci, którzy cierpią w nowym ustroju, są sami sobie winni. Ludzie, którzy są przedmiotem aresztowań i deportacji, to głupcy i nie należy ich żałować. Ich obciążenie

przeszłością jest tak wielkie, że niezdolni są zrozumieć praw rozwoju. Gdyby zrozumieli, nie spotkałoby ich nic złego i życie ich byłoby twórcze i pogodne.

Mój przyjaciel lubił mnie, bo widział we mnie wielki wstręt do burżuazji, to jest do mentalności tępej i zamglonej, dla której nie istnieją ostre obrazy zjawisk ujmowanych w ich ruchu. Nie mylił się, przypisując mi wewnętrzny płomień, który przez całe moje życie był przyczyną moich cierpień. Zawsze tęskniłem do człowieka, który by był twardy, jasny i czysty, a patrząc na człowieka, jakim jest, odwracałem oczy ze wstydem i odwracałem ze wstydem oczy od siebie, bo byłem do niego podobny. Cała moja poezja była odrzucaniem, pogardą dla siebie i innych za to, że cieszą się tym, co jest niegodne kochania, boleją nad tym, co jest niegodne bólu. Czyż więc nie należałem przez to samo do nowych budowniczych świata, którzy mają wizję człowieka o nadczłowieczej czystości? Byłem na pewno "dobrym poganinem", bo moja zaciekłość była zaciekłością bolszewików. Wszędzie poza krajami, które realizują nowego człowieka, musiałem poczuć się bezdomny.

Posiadałem zadatki prawdziwego szczęścia. W odbudowywanej po wojennych zniszczeniach Warszawie pracowałem w zgodzie z prawami Historii, sięgając wzrokiem w odległą przyszłość. Tłumaczyłem Szekspira - jakąż rozkoszą jest przełamywać opór języka i znajdować zdania równie zwarte jak zdania oryginału! Przeprowadzałem marksistowskie badania nad historią Anglii szesnastego wieku. Zostałem też być może profesorem uniwersytetu. Od czasu do czasu ogłaszałem wiersze świadczące o moim przywiązaniu do rewolucji i jej twórców. Zajmując się dialektyką i przebywając w kręgach filozofów mógłbym zresztą z dużą dozą lekceważenia traktować wysiłki literatów, muzyków i malarzy, wiedząc, że sztuka przez nich stworzona jest zła i nie ma na to rady. Słuchałem Bacha i czytałem Swifta czy Flauberta.

A jednak zawiodłem mego przyjaciela. To, co mnie do tego skłoniło, jest dla mnie samego trudne do rozwikłania. Gdybym to umiał zrobić, byłbym mędrce i mógłbym słusznie zostać nauczycielem filozofów. Myślę, że moje podświadome motywy sięgają daleko wstecz, do pewnego zdarzenia, które opiszę. W moich wędrówkach w początkach drugiej wojny światowej zdarzyło mi się, co prawda na bardzo krótko, być w Związku Radzieckim. Czekałem na pociąg na stacji jednego z wielkich miast Ukrainy. Był to olbrzymi gmach. Ściany były pokryte portretami i transparentami niewymownej brzydoty. Gęsty tłum w kozuchach, mundurach, czapach z uszami i wełnianych chustkach zapełniał każdą wolną przestrzeń i rozgniał grubą warstwę błota na posadzkach. Marmurowe schody pełne były śpiących nędzarzy; ich nagie nogi wyglądały z łachmanów, chociaż była to zima. Z góry nad nimi głośnie ryczały propagandowe hasła. Przechodząc zatrzymałem się, nagle czymś tknięty. Pod ścianą umieszczała się rodzina chłopów: mąż, żona i dwoje dzieci. Siedzieli na koszykach i tobołach. Żona karmiła młodsze dziecko, mąż - o

ciemnej, pomarszczonej twarzy, z opadającymi czarnymi wąsami, nalewał herbatę z czajnika do kubka i podawał starszemu synowi. Mówili ze sobą przyciszonymi głosami po polsku. Patrzyłem na nich długo i nagle poczułem, że łzy płyną mi po policzkach. I to, że właśnie na nich zwróciłem uwagę w tłumie, i moje gwałtowne wzruszenie były spowodowane ich zupełną i n n o ś c i ą. Była to ludzka rodzina, jak wyspa w tłumie, któremu czegoś brakowało do zwyczajnego, małego człowieczeństwa. Gest ręki nalewającej herbatę, uważne, delikatne podanie kubka dziecku, troskliwe słowa, które raczej odgadywałem z ruchu ust, ich odosobnienie, ich prywatność w tłumie - oto co mną wstrząsnęło.

Zrozumiałem wtedy na sekundę coś, co znowu zaraz uciekło.

Polscy chłopcy na pewno nie stali na szczytach cywilizacyjnego rozwoju. Być może ci, których oglądałem, byli analfabetami. Mój przyjaciel powiedziałby zapewne, że są to ohydni, śmierdzący głupcy, których trzeba nauczyć myśleć. Ziarno jednak, jakie w nich czy w Bałtach, czy w Czechach się zachowało, mogło się zachować dlatego, że nigdy nie poddawano ich jeszcze leczeniu metodą pana Homais. Nie jestem pewien, czy czułość, z jaką kobiety bałtyckie pielęgnowały swoje ogródki, zabobonność polskich chłopek zbierających różne gatunki ziela o czarodziejskiej mocy, zostawiane puste talerze dla podróżnego przy wigilijnej wieczerzy - nie są zadatkami dobrych sił, które mogą być rozwinięte, i czy zasypywanie ziaren kamieniami nie prowadzi do wyników, o które trzeba zapytać kobiety niemieckie, które przeżyły rok 1945 w Berlinie. Dla kół, w których przebywa mój przyjaciel, przypuszczenie, że człowiek jest tajemnicą, brzmi jak najgorsza obelga. A przecież chcą wykuć nowego człowieka - ale tak jak rzeźbiarz wykuwa postać z bryły kamienia, odłupując to, co zbędne. Wydaje mi się, że się mylą. Że ich wiedza, przy jej całej doskonałości, jest niedostateczna, i że prawo życia i śmierci, które dzierżą w swoich rękach, jest uzurpacją.

Czy mogłem, będąc po stronie bełkotu i mamrotania, którymi wyrażają się bezradne i przejmujące tęsknoty ludzkie, chodzić po miękkim dywanie swego mieszkania, w dzielnicy uprzywilejowanych, i delektować się Szekspirem? Zamiast ręki, którą gorąca krew płynie od serca do palców trzymających pióro, dano by mi znakomitą protezę dialektyki. Widząc, że w człowieku jest światło, nigdy nie mógłbym po to światło sięgać, bo światło to nie jest, jak wierzę, równoznaczne ze świadomością socjalistyczną i przebywa również w głupcach, zakonnikach, chłopcach stroniących od pracy społecznej i kułakach. Wiedząc, że w człowieku jest zbrodnia, nie mógłbym wskazać jej palcem, bo, jak wierzy mój przyjaciel, jest ona dziełem Historii, a nie ludzi. Zamilczmy, nie umiając zapomnieć o zbrodniach minionych, o setkach tysięcy deportowanych Polaków w roku 1940- 1941, o tych, których zastrzelono czy zatopiono w barkach na Oceanie Lodowatym. Trzeba uczyć się wybaczać. Idzie mi o zbrodnie, które są i które będą. I zawsze w

imię nowego, wspaniałego człowieka, i zawsze wśród dźwięku orkiestr, wśród pieśni, krzyku megafonów i deklamacji optymistycznych poematów.

Teraz jestem bezdomny. Słuszna kara. Ale może urodziłem się po to, żeby przez moje usta przemówili “niewolnicy na wieczność”? Dlaczegoż bym miał siebie zanadto oszczędzać i po to, aby znaleźć się w antologiach klasyków polskiego wiersza, wydawanych przez państwowy dom wydawniczy, wyrzekać się tego, co jest być może jedynym powołaniem poety? Mój przyjaciel akceptuje nagą siłę nadając jej różne nazwy. Rozstaliśmy się. Nie obchodzi mnie, czy znalazłem się po stronie przyszłych zwycięzców, czy zwyciężonych. Wiem jedno: jeżeli mój przyjaciel będzie spożywał słodkie owoce zwycięstwa, planeta ziemska będzie zagospodarowana planowo na długie setki lat, ale biada tym, co tego dożyją. Śpią teraz w swoich łóżkach albo oddają się kretyńskim zabawom i naprawdę każdym swoim czynem starają się zasłużyć na zniszczenie. Tylko że to, co ich zniszczy, nie wyzwoli w nich wolnego człowieka. Jeżeli mój przyjaciel będzie miał możliwość się przekonać, że siła, którą wielbił, nie była koniecznością, nasza planeta wejdzie w okres straszliwych wojen i krwawych rewolucji, ale poszukiwanie się nie zakończy i nadzieja zostanie zachowana.

Niech wielki poeta Ameryki Łacińskiej, Pablo Neruda, walczy o swój lud. Źle by jednak było, gdyby wszystkie głosy, które go dochodzą z Europy Środkowej i Wschodniej, uważał za objawy zamierzchłych nacjonalizmów i pisk pokrzywdzonej reakcji. Oczy, które widziały, nie powinny być zamknięte, ręce, które dotknęły, nie powinny zapominać, kiedy trzymają pióro. Niech raczy zezwolić niektórym pisarzom Europy Środkowej i Wschodniej, aby zajmowali się sprawami, które są odległe od tego, co go boli.

Kiedy, jak powiada mój przyjaciel z Warszawy, stanę przed Zeusem (niezależnie od tego, czy zginę naturalną śmiercią, czy osiągnięty wyrokiem Historii), to mniej więcej będę mógł podać na swoje usprawiedliwienie. Wielu ludzi straciło swoje żywoty na zbieraniu znaczków pocztowych, starożytnych monet czy na hodowaniu rzadkich gatunków tulipanów. Jestem pewien, że choćby to były zabawne i bezużyteczne manie, Zeus okazałby się dla nich łaskawy, jeżeli wkładali w te zajęcia całą swoją namiętność. Powiem mu: “Nie moja wina, że stworzyłeś mnie poetą i dałeś mi dar równoczesnego widzenia, co się dzieje w Nebrasce i w Pradze, w krajach bałtyckich i na brzegach Oceanu Lodowatego. Czułem, że jeżeli czegoś z tym darem nie zrobię, wiersze moje będą dla mnie bez smaku, a sława obmierzła. Wybacz mi”. I być może Zeus, który nie nazwał idiotami zbieraczy starych monet i hodowców tulipanów, wybaczy.